

TAJEMNICA BLADEGO KONIA

PRZEŁOŻYŁA: KRYSTYNA BOCKENHEIM

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE PALE HORSE

Johnowi i Helen Mildmay White

Z serdecznymi podziękowaniami

Za to, że dali mi okazję ujrzeć,

Jak dokonuje się sprawiedliwość

PRZEDMOWA MARKA EASTERBROOKA

Wydaje mi się, że są dwie metody przedstawienia dziwnej sprawy Białego Konia. Wbrew temu, co mówił Biały Król, trudno jest osiągnąć prostotę. Nie można powiedzieć: Zaczęło się na początku, toczyło się do końca i skończyło się. Gdzie jest bowiem początek?

Dla historyka zawsze trudne jest ustalenie, w jakiej chwili zaczyna się pewien okres historii.

W tym wypadku można zacząć od momentu, w którym ojciec Gorman wyruszył z plebanii, aby odwiedzić umierającą kobietę. Można też zacząć wcześniej, od pewnego wieczoru w Chelsea.

Ponieważ napisałem większą część tej opowieści sam, zacznę właśnie od tego.

I. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

Ekspres do kawy syczał za moimi plecami jak rozjuszony wąż. Owo ponure, żeby nie powiedzieć szatańskie skojarzenie nasuwał wydawany przezeń dźwięk. Przyszło mi do głowy, że być może większość współczesnych odgłosów wywołuje takie skojarzenia. Przerażający, zuchwały ryk śmigających po niebie odrzutowców, powolne, groźne dudnienie wyłaniającego się z tunelu pociągu metra, intensywny ruch kołowy, wstrząsający fundamentami twego domu... Nawet niezbyt głośne

codzienne dźwięki domowe, dobroczynne w skutkach, budzą pewnego rodzaju niepokój. "Uważaj! - zdają się mówić. - Jestem duchem oddanym na twoje usługi, ale jeśli twa czujność osłabnie..."

Niebezpieczny świat, właśnie o to chodzi. Niebezpieczny świat.

Zamieszałem zawartość dymiącej przede mną filiżanki. Pachniała przyjemnie.

Co pan jeszcze zje? Pyszną kanapkę z bananem i bekonem?

Zestawienie wydało mi się dziwne. Banany kojarzyły mi się z dzieciństwem albo rzadko podawanym płonącym deserem z cukrem i rumem. Bacon był w moim umyśle ściśle związany z jajkami. Kiedy jednak jesteś w Chelsea, powinieneś jeść to, co tam dają. Zgodziłem się na pyszną kanapkę z bananem i bekonem.

Chociaż mieszkałem w Chelsea - ściśle mówiąc, od trzech miesięcy wynajmowałem tam umeblowane mieszkanie - byłem tu obcy pod każdym względem. Pisałem książkę o pewnych aspektach architektury Wielkich Mogołów, z tego jednak powodu mógłbym zamieszkać w Hampstead, Bloomsbury, Streatham czy Chelsea i to nie stanowiłoby różnicy. Nie dostrzegałem otoczenia, z wyjątkiem moich narzędzi pracy, i sąsiedztwo, w którym żyłem, było mi zupełnie obojętne, przebywałem bowiem we własnym świecie.

Jednakże tego właśnie wieczoru ogarnął mnie nagły niepokój, jaki znają wszyscy pisarze. Architektura Wielkich Mogołów, cesarze Wielkich Mogołów, ich sposób życia i wszystkie fascynujące problemy z tym związane stały się nagle pyłem i popiołem. Co się z nimi stało? Dlaczego pragnąłem o nich pisać?

Czytając ponownie to, co napisałem, odrzuciłem niecierpliwie wiele stron. Wszystkie wydawały mi się jednakowo złe - nędznie napisane i dziwnie nieciekawe. Ktokolwiek powiedział: "Historia to stek bzdur" (Henry Ford?), miał absolutną rację.

Odsunąłem rękopis ze wstrętem, wstałem i spojrzałem na zegarek. Zbliżała się jedenasta wieczór. Spróbowałem przypomnieć sobie, czy jadłem obiad. Sądząc po wewnętrznych objawach, nie. Lunch, owszem, w Athenaeum. Było to już dawno.

Zajrzałem do lodówki. Znajdowała się tam mizerna resztką zeschłego ozora. Popatrzyłem na nią nieżyczliwie. Wobec tego wywlokłem się na King's Road i ostatecznie skręciłem do Espresso Coffee Bar, z imieniem Luigi wypisanym czerwonym neonem w oknie, a teraz przypatrywałem się kanapce z bananem i bekonem, rozważając ponure implikacje codziennych hałasów i ich wpływu na nastrój.

Wszystkie one - myślałem - mają coś wspólnego z moimi wczesnymi wspomnieniami związanymi z pantomimą. Davy Jones, przybywający z zaświatów w kłębach dymu! Pułapki w drzwiach i oknach, wpuszczające piekielne moce zła, wyzywające i prowokujące Dobrą Diamentową Wróżkę czy jak jej tam, która z kolei usuwa skinieniem niepożądaną ścianę i drętwym głosem recytuje banały jako ostateczny triumf dobra i tak doprowadza do nieodzownej "aktualnej pieśni", nie mającej nigdy nic wspólnego z treścią tej właśnie pantomimy.

Przyszło mi nagle na myśl, że zło było zawsze bardziej frapujące niż dobro. Przedstawienie musiało to wykazać! To musiało zaskakiwać i prowokować! To była walka solidności z niestałością. Ale w końcu solidność zawsze zwyciężała. Potrafiła przetrzymać szablonowość Dobrej Diamentowej Wróżki, jej marny głos, rymowane kuplety, nawet bezsensowne słowa pieśni: "Ze Wzgórza biegnie Wietrzna Droga do Starożytnego Miasta, które kocham". Można było zobaczyć wszelkie nędzne chwytły i ta broń zawsze zwyciężała. Pantomima kończyła się przeważnie tak samo. Po schodach zstępowała według starszeństwa obsada - z Dobrą Diamentową Wróżką, która zgodnie z chrześcijańską cnotą pokory nie usiłowała być pierwszą (czyli w tym wypadku ostatnią), ale szła w połowie procesji, ramię w ramię ze swoim niedawnym przeciwnikiem, który nie był już Królem Demonów, zionącym ogniem i siarką, tylko człowiekiem odzianym w czerwone trykoty.

W moich uszach rozległ się znowu gwizd ekspresu. Dałem znak, że chcę jeszcze jedną filiżankę kawy, i rozejrzałem się wokoło. Moja siostra zawsze zarzucała mi, że nie jestem dobrym obserwatorem, nie zauważam, co się obok mnie dzieje. "Żyjesz we własnym świecie" - mówiła oskarżycielsko. W tej chwili, świadomy swoich "zalet", zanotowałem w pamięci zdarzenia. Codziennie natrafiało się w gazetach na notatki o barach kawowych w Chelsea i ich bywalcach; miałem szansę ocenić osobiście współczesne życie.

W barze było dosyć ciemno, więc nie widziało się niczego dokładnie. Klientela składała się głównie z młodych ludzi. Należeli - jak przypuszczałem - do niekonwencjonalnej generacji. Dziewczeta wyglądały, jak zawsze wyglądają według mnie współczesne dziewczeta, po prostu brudno. Wydawały się także ubrane o wiele za ciepło. Zauważyłem to, kiedy parę tygodni wcześniej poszedłem na obiad z przyjaciółmi. Obok mnie siedziała dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia. W restauracji było gorąco, ona jednak miała na sobie żółty wełniany sweter, czarną spódnicę, czarne wełniane pończochy i w ciągu całego posiłku pot spływał jej po twarzy. Czuć ją było przepełnioną wełną i niemytymi włosami. Według moich przyjaciół była bardzo atrakcyjna. Nie dla mnie! Moją jedyną reakcją było pragnienie, aby wrzucić ją do gorącej kąpielni, wręczyć jej kawałek mydła i skłonić do użycia go! Co dowodzi, że utraciłem kontakt z moją epoką. Może wzięło się to stąd, że tak długo mieszkałem za granicą. Wspominałem z przyjemnością hinduskie kobiety z ich pięknie upiętymi czarnymi włosami, w kolorowych sari ułożonych we wdzięczne fałdy, oraz ich rytmiczny, płynny chód...

Z tych przyjemnych wspomnień wyrwał mnie większy hałas. Dwie młode kobiety, siedzące przy sąsiednim stole, zaczęły kłótnię. Towarzyszący im młodzi ludzie na próżno próbowali je pogodzić.

Nagle dziewczyny zaczęły krzyczeć. Jedna z nich spoliczkowała przeciwniczkę, tamta ściągnęła ją z krzesła. Tarmosiły się jak handlarki ryb, obrzucając się histerycznie obelgami. Jedna była rozkudłanym rudzielcem, druga chudą blondynką.

Nie mogłem się połapać, co wywołało awanturę. Słyszałem tylko inwektywy. Przy sąsiednich stolikach rozległy się krzyki i gwizdy.

- Dobra! Dołóż jej, Lou!

Stojący za barem właściciel, szczupły mężczyzna z baczkami, o wyglądzie Włocha, którego uważałem za Luigię, interweniował czystym londyńskim cockneyem:

- No, no... spokój... spokój... Za moment zleci się tu cała ulica. Zaraz będziecie miały gliniarzy na karku. Dosyć, mówię.

Tymczasem blondynka chwyciła rudą za włosy i targając dziko, krzyczała:

- Kradniesz mężczyzn, ty suko!

- Sama jesteś suka!

Luigi wraz z dwoma zmieszanymi towarzyszami dam rozdzielił dziewczęta. W rękach blondynki pozostały wielkie pęki rudych włosów. Trzymała je triumfalnie w górze, potem rzuciła na podłogę. Drzwi od ulicy otworzyły się i odziana w błękit władza stanęła w progu, wypowiadając majestatycznie regulaminowe słowa:

- Co się tu dzieje?

Natychmiast utworzył się wspólny front.

- Tylko trochę żartów - powiedział jeden z młodych ludzi.

- To wszystko - włączył się Luigi. - Trochę żartów między przyjaciółmi.

Zręcznie kopnął pęki włosów pod najbliższy stół. Rywalki uśmiechnęły się do siebie z fałszywym wybaczeniem. Policjant przyjrzał się wszystkim podejrzliwie.

- Właśnie wychodzimy - powiedziała słodko blondynka. - Chodź, Doug.

.Równocześnie wychodziło parę innych osób. Władza obserwowała ich wszystkich groźnie. Wyraz twarzy policjanta mówił, że choć tym razem im się upiecze, to będzie już miał na nich oko. Wycofał się wolno.

Towarzysz rudowłosej zapłacił czekiem.

- Nic ci nie jest? - spytał Luigi dziewczynę, która poprawiała chustkę. - Lou obeszała się z tobą fatalnie, wrywając ci włosy z korzeniami.

- To nie boli - odparła dziewczyna nonszalancko. Uśmiechnęła się. - Przepraszam za drakę, Luigi.

Towarzystwo wyszło. Bar był teraz prawie pusty. Szukałem w kieszeni drobnych.

- Ma sportowego ducha - rzekł Luigi, patrząc z aprobatą na zamykające się drzwi. Wziął szczotkę i zmiótł rude pasma za kontuar.

- To musiała być tortura - zauważyłem.

- Wrzeszczałbym z bólu, gdyby popadło na mnie - zgodził się Luigi. - Ale Tommy ma naprawdę sportowego ducha.

- Zna ją pan dobrze?

- Och, jest tu prawie każdego wieczoru. Nazywa się Tuckerton, Thomasina Tuckerton, jeśli chce pan wiedzieć. Ale tutaj mówią na nią Tommy Tucker. Do tego jest cholernie bogata. Jej stary zostawił prawdziwą fortunę, a co ona robi? Przenosi się do Chelsea, mieszka w nędznym pokoju w połowie drogi do Wandsworth Bridge i włóczy się w okolicy z bandą takich samych jak ona. To przechodzi wszelkie pojęcie: połowa z tej ferajny ma forszę. Mogliby mieć każdą cholerną rzecz, jakiej zapragną, mieszkać u Ritza, jeśli się im spodoba. Ale przez to, co robią, są wyrzuceni poza nawias. Tak, to przechodzi wszelkie pojęcie.

- Pan by się na to nie zdecydował?

- Ach, mam jeszcze rozum! - odparł Luigi. - Jeśli idzie o forszę, inkasuję natychmiast.

Wstałem, żeby wyjść, i zapytałem, o co była kłótnia.

- Och, Tommy poderwała chłopaka tamtej dziewczynie. Nie jest wart, by o niego walczyć, może mi pan wierzyć.

- Tamta uważała, że jest - zauważyłem.

- Lou jest bardzo romantyczna - odparł Luigi tolerancyjnie. Nie była to według mnie romantyczność, ale nie powiedziałem tego.

2

Chyba tydzień później w rubryce "Zgony" w "Timesie" zauważyłem następującą wzmiankę:

2 października w Fallowfield Nursing Home, w Amberley, zmarła Thomasina Ann, lat 20, jedyna córka zmarłego Thomasa Tuckertona, Esq., z Carrington Park, w Amberley, Surrey. Pogrzeb odbędzie się w gronie rodzinnym. Prosimy o nieprzynoszenie kwiatów.

Żadnych kwiatów dla biednej Tommy Tucker i żadnego życia w Chelsea, poza nawiasem. Poczulem nagły przypływ współczucia dla Tommy Tucker. Ostatecznie skąd miałem wiedzieć, który z moich poglądów był właściwy? Kim byłem, żeby określać jej życie jako przegrane? Może to moje życie, spokojne życie naukowca, pogrążone w książkach, zamknięte przed światem, było zmarnowane? Życie z drugiej ręki. Właściwie czy żyłem poza nawiasem? Co za pomysł! Co prawda, nie chciałem tego. Z drugiej jednak strony, może powinienem tego pragnąć? Mało prawdopodobny i niezbyt przyjemny pomysł.

Wyrzuciłem Tommy Tucker z myśli i zająłem się korespondencją.

Najważniejszy był list od mojej kuzynki Rhody Despard, proszącej o przysługę. Zabrałem się do tego

Z zapalem, poniewaz tego ranka nie mialem nastroju do pracy i byla to wspaniala wymowka, zeby sie od niej wymigac.

Wszedlem na King's Road, przywolalem taksowke i pojechalem do rezydencji mojej przyjaciolki, pani Ariadny Oliver.

Pani Oliver byla znana autorka ksiazek kryminalnych. Jej pokojowka, Milly, prawdziwy smok, strzegla swojej pani przed atakami swiata zewnetrznego.

Podnioslem brwi w milczacym pytaniu. Milly skinela skwapliwie glowa.

- Proszę iść prosto na górę, panie Easterbrook. Ma dziś rano humory. Może uda się panu uwolnić ją od tego.

Wspiąłem się na dwie kondygnacje schodów, zapukałem delikatnie do drzwi i wszedłem, nie czekając na zachętę. Gabinet pani Oliver był dużym pokojem, którego ściany wyklejono tapetą przedstawiającą egzotyczne ptaki, gnieźdzące się w tropikalnym lesie. Pani Oliver w stanie granicznym z obłędem snuła się po gabinecie, mamrocząc coś do siebie. Rzuciła na mnie krótkie, obojętne spojrzenie i kontynuowała wędrówkę. Jej niewidzące oczy przesuwwały się po ścianach, prześlizgiwały po oknie i od czasu do czasu zamykały się jakby w przyływie bólu.

- Ale dlaczego - mówiła pani Oliver w przestrzeń - dlaczego ten idiota nie mówi natychmiast, że widział kakadu? Dlaczego nie miałby tego zrobić? Nie mógł tego uniknąć! Jeśli jednak nie wspomina o tym, cały pomysł jest zmarnowany. Musi być sposób... musi być.

Jęknęła, chwyciła się za krótkie, siwe włosy i szarpnęła je z całej siły. Potem spojrzała na mnie nagle oprzytomniałymi oczami i powiedziawszy: "Halo, Mark. Dostaję szału", kontynuowała swoje skargi.

- No i jest jeszcze Monica. Im bardziej się staram, żeby była miła, tym bardziej staje się irytująca... Taka głupia dziewczyna... Przy tym jaka zadowolona z siebie! Monica... Monica? Imię jest chyba nieodpowiednie. Nancy? Czy byłoby lepsze? Joan? Każda nazywa się Joan. Tak samo Annę. Susan? Miałam już Susan. Lucia? Lucia? Lucia? Chyba potrafię ją sobie wyobrazić. Ruda. Sweterek polo... Czarne rajstopy? W każdym razie czarne pończochy.

Ten chwilowy przebłysk dobrego samopoczucia został przyćmiony wspomnieniem problemu kakadu i pani Oliver podjęła na nowo swoją beznadziejną wędrówkę po pokoju, przekładając nieświadomie różne przedmioty z miejsca na miejsce. Troskliwie umieściła swój futerał na okulary w lakierowanej kasetce, zawierającej już chiński wachlarz, po czym westchnęła głęboko, zwracając się do mnie.

- Cieszę się, że cię widzę.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Mógł się trafić ktoś inny. Jakaś głupia baba, która chce, żebym otworzyła kiermasz, albo facet w sprawie polisy ubezpieczeniowej Milly, która absolutnie odmawia zawarcia umowy, albo hydraulik (ale to byłoby zbyt wiele szczęścia, prawda?). Mógłby to być też ktoś proszący o wywiad, zadający

mnóstwo kłopotliwych pytań, za każdym razem tych samych. Co pobudza panią do pisania? Ile książek już pani napisała? Ile pani zarobiła? Itd., itd. Nigdy nie potrafię odpowiedzieć na żadne z nich i wychodzę na idiotkę. Ale nic tak nie doprowadza mnie do szaleństwa jak ta historia z kakadu.

- Coś nie gra? - spytałem ze współczuciem. - Może lepiej sobie pójdę?

- Nie, nie idź. W każdym razie stanowisz rozrywkę. Przyjąłem ten wątpliwy komplement.

- Chcesz papierosa? - zapytała pani Oliver ze zdawkową gościnnością. - Są tu gdzieś. Zobacz w pokrywie maszyny do pisania. .

- Dziękuję, mam własne. Poczęstuj się. Och, prawda, nie palisz.

- Ani nie piję. A chciałabym. Jak ci amerykańscy detektywi mający całe litry żytniówki pod ręką, w bieliźniarce. To rozwiązuje chyba ich problemy. Naprawdę nie wiem, jak można uniknąć kary za morderstwo w normalnym życiu. Wydaje mi się, że od momentu popełnienia morderstwa cała sprawa jest zupełnie oczywista.

- Bzdura. Popełniłaś całą masę morderstw.

- Co najmniej pięćdziesiąt pięć - oświadczyła pani Oliver. - Część dotycząca morderstwa jest łatwa i prosta. Dopiero wyjaśnienie sprawia trudności. To znaczy: dlaczego miały to być ktoś inny niż morderca? Widać go na kilometr.

- Nie w wykończonym produkcie.

- Tak, ale ile mnie to kosztuje - powiedziała pani Oliver ponuro. - Mów, co chcesz, ale to nie jest naturalne, aby pięć czy sześć osób było na miejscu, kiedy B zostaje zamordowany, i żeby wszyscy mieli motyw do zamordowania go, chyba że B jest piekielnie nieprzyjemny, a w takim wypadku nikogo nie obchodzi, czy został zamordowany, czy nie, i nikt nie troszczy się o to, kto jest sprawcą.

- Rozumiem twój problem - odparłem. - Ale jeśli udało ci się uporać z tym pięćdziesiąt pięć razy, będziesz w stanie zrobić to jeszcze raz.

- To właśnie mówię sobie stale, ale za każdym razem nie potrafię w to uwierzyć i przeżywam męczarnie.

Znowu chwyciła się za włosy i szarpnęła je gwałtownie.

- Nie rób tego! - krzyknąłem. - Wyrwiesz z korzeniami.

- Nonsens - odparła. - Włos jest wytrzymały. Chociaż kiedy miałam w wieku czternastu lat odrę z bardzo wysoką gorączką, włosy zupełnie mi wypadły z przodu. Strasznie krępujące. I trwało to całe sześć miesięcy, zanim mi przyzwoicie odrosły. Okropna rzecz dla dziewczynki, dziewczęta tak uważają. Pomyślałam o tym wczoraj, kiedy odwiedziłam Mary Delafontaine w domu opieki. Włosy jej wyszły tak samo jak moje wtedy. Powiedziała, że musi sprawić sobie sztuczną grzywkę, kiedy się lepiej poczuje. Chyba nie zawsze odrastają po sześćdziesiątce.

- Widziałem któregoś wieczoru, jak jedna dziewczyna wydarła drugiej włosy z cebulkami - powiedziałem, zdając sobie sprawę z pewnej nuty dumy w głosie, jako ktoś znający życie.

- A gdzie to ty chadzasz? - spytała pani Oliver.

- To było w barze kawowym w Chelsea.

- Och, w Chelsea. Tam zdarza się wszystko. Bitniki, sputniki, narwańcy, całe to pokolenie. Nie piszę o nich dużo, ponieważ obawiam się użycia niewłaściwych terminów. Myślę, że bezpieczniej jest trzymać się tego, co się zna.

- Na przykład?

- Ludzie na wycieczce morskiej, w domach akademickich, to, co się dzieje w szpitalach, radach kościelnych, na kiermaszach, festiwalach muzycznych i w komitetach. Sprzątaczkę, młodzi ludzie i dziewczęta wędrujący po świecie dla nauki, ekspedienci... - Przerwała zadyszana. - To zrozumiałe, że sobie z tym radzisz.

- Niemniej mógłbyś mnie zabrać kiedyś do baru kawowego w Chelsea, żeby poszerzyła swoje doświadczenia - powiedziała pani Oliver tęsknie.

- Kiedy tylko zechcesz. Dziś wieczór?

- Dzisiaj nie. Jestem zbyt zajęta pisaniem, a raczej denerwowaniem się, że nie mogę pisać. To najbardziej irytuje w pracy, choć wszystko jest nieznośne oprócz tej jednej chwili, gdy uważasz, że masz cudowny pomysł, i nie możesz się doczekać, by zacząć. Powiedz, Mark, czy sądzisz, że można zabić kogoś poprzez zdalne sterowanie?

- Co rozumiesz przez zdalne sterowanie? Nacisnąć guzik i wysłać śmiertelne promienie?

- Nie, nie, nic z science fiction - przerwała z wahaniem. - Mam na myśli prawdziwą czarną magię.

- Woskowe figurki nakłuwane szpilkami?

- Och, figurki z wosku są zupełnie niemodne - oświadczyła pani Oliver pogardliwie. - Zdarzają się jednak dziwne rzeczy, w Afryce czy Indiach Zachodnich. Ludzie opowiadają o nich. Jak to krajowcy po prostu kulą się i umierają. Wudu czy ju-ju... W każdym razie wiesz, o czym myślę.

Powiedziałem, że wiele z tego obecnie przypisuje się sile sugestii. Wmawia się ofierze, że poniesie śmierć z wyroku czarownika, a podświadomość dokonuje reszty.

Pani Oliver prychnęła.

- Gdyby ktokolwiek napomknął mi, że zostałam skazana na to, by położyć się i umrzeć, z przyjemnością pokrzyżowałabym te zamiary!

Zaśmiałam się.

- Masz w swoich żyłach wiele dobrej, zachodniej, septycznej krwi. Brak predyspozycji.

- Uważasz zatem, że to może się zdarzać?

- Za mało wiem na ten temat, żeby wydawać opinie. Co wbiłaś sobie do głowy? Nowym arcydziełem będzie "Morderstwo przez sugestię"?

- Ależ nie. Wystarczy mi dobra staroświecka trutka na szczury albo arszenik. Lub solidne tępe narzędzie. W miarę możliwości nie broń palna. Jest zawsze tak skomplikowana. Nie przyszedłeś jednak tutaj, żeby rozmawiać o moich książkach.

- Szczerze mówiąc, nie... Rzecz w tym, że moja kuzynka, Rhoda Despard, urządza festyn kościelny i...

- Nigdy więcej! - wykrzyknęła pani Oliver. - Wiesz, co się stało ostatnim razem? Urządziłam Polowanie na Mordercę i pierwszą rzeczą, jaka się zdarzyła, było odkrycie prawdziwych zwłok. Nigdy tego nie zapomnę!

- To nie jest polowanie na mordercę. Wszystko, co musiałabyś zrobić, to usiąść w namiocie i podpisywać swoje książki - po pięć szylingów sztuka.

- Noo - zawahała się pani Oliver. - To mogłoby być w porządku. Nie musiałabym otwierać uroczystości? Ani mówić żadnych głupstw? Ani nosić kapelusza?

Zapewniłem ją, że nie będą od niej wymagać żadnej z tych rzeczy.

- I potrwa to tylko godzinę lub dwie - powiedziałem przymilnie. - Potem odbędzie się mecz krykieta - nie, może nie o tej porze roku. Chyba tańce dzieci. Albo konkurs przebierańców.

Pani Oliver przerwała mi dzikim okrzykiem.

- O to chodzi! - zawołała. - Piłka krykietowa! On widzi ją z okna... jak wylatuje w powietrze... i to odwraca jego uwagę... i w ten sposób nie wspomina nigdy o kakadu! Jak to dobrze, że przyszedłeś, Mark. Jesteś cudowny.

- Nie bardzo rozumiem...

- Ty może nie, ale ja tak - odparła pani Oliver. - To jest dosyć skomplikowane i nie chcę tracić czasu na wyjaśnienia. Miło było cię widzieć, ale teraz chciałabym, żebyś sobie poszedł. Natychmiast.

- Oczywiście. A co do festynu...

- Pomyślę o tym. Nie przeszkadzaj mi teraz. Gdzie, na miłość boską, położyłam okulary? Naprawdę, w jaki sposób te rzeczy znikają...

Pani Gerahty otworzyła drzwi plebanii ze zwykłą gwałtownością. Mniej przypominało to reakcję na dzwonek, a bardziej triumfalny manewr, wyrażający się zdaniem: "Tym razem cię przyłapałam!".

- No proszę, a czegoż ty chcesz? - zapytała wojowniczo.

Na schodach stał chłopiec, bardzo niepozorny, trudny do zauważenia i do zapamiętania, chłopiec jak inni. Pociągał nosem, ponieważ miał katar.

- Czy tu mieszka ksiądz?

- Szukasz ojca Gormana?

- Potrzebują go.

- Kto go potrzebuje, gdzie i po co?

- Benthall Street. Dwadzieścia trzy. Mówią, że kobieta umiera. Pani Coppins mnie przysłała. To katolicki kościół, prawda? Kobieta mówi, że nie chce pastora.

Pani Gerahty upewniła go co do tej istotnej kwestii, powiedziała mu, żeby pozostał na miejscu, a sama wycofała się w głąb plebanii. W jakieś trzy minuty później wyszedł stamtąd wysoki, niemłody ksiądz, niosąc małą, skórzaną walizeczkę.

- Jestem ojciec Gorman - powiedział. - Benthall Street? To jest za dworcem, prawda?

- Tak. To bliźniutko.

Wyruszyli razem, ksiądz szedł wielkimi krokami.

- Powiedziałeś: pani Coppins? Tak się nazywa?

- Ona jest właścicielką domu. Wynajmuje pokoje. To jej lokatorka chce księdza. Nazywa się chyba Davis.

- Davis. Ciekawe. Nie przypominam sobie...

- Ona jest od was, na pewno. To znaczy od katolików. Mówili, że nie chce pastora.

Ksiądz skinął głową. Wkrótce znaleźli się na Benthall Street. Chłopiec wskazał wysoki, odrapany dom w rzędzie innych wysokich i odrapanych.

- To właśnie tu.

- Nie wchodzisz?

- Ja tu nie mieszkam. Pani C. dała mi szylinga, żeby księdza zawiadomić.

- Rozumiem. Jak się nazywasz?

- Mike Potter.

- Dziękuję, Mike.

- Nie ma za co - odparł Mike i odszedł, gwizdząc. Bliskość czyjejś śmierci nie wzruszała go.

Drzwi numeru 23 otworzyły się i pani Coppins, duża kobieta o czerwonej twarzy, stanęła na progu, entuzjastycznie witając gościa.

- Proszę wejść, proszę wejść. Złe z nią. Powinna być w szpitalu, nie tutaj. Dzwoniłam, ale dzisiaj nie wiadomo, kiedy się ktoś zjawi. Mąż mojej siostry musiał czekać sześć godzin, jak złamał nogę. Powiadają, że to haniebne. To ma być służba zdrowia! Biorą tylko pieniądze, a kiedy są potrzebni, gdzie są?

Mówiąc to wszystko, prowadziła księdza wąskimi schodami w górę.

- Co jej jest?

- Miała grypę. Niby się poprawiało. Uważam, że za wcześnie wstała. W każdym razie kiedy przyszła wczoraj wieczór, wyglądała jak śmierć. Położyłam ją do łóżka. Nie chciała nic jeść. Nie chciała lekarza. Dziś rano zobaczyłam, że ma okropną gorączkę. Padło jej na płuca.

- Zapalenie płuc?

Pani Coppins, zadyszana, wydała dźwięk podobny do świstu maszyny parowej, mający oznaczać potwierdzenie. Rzuciła się, aby otworzyć drzwi, i odsunęła się na bok, by wpuścić ojca Gorman, mówiąc przy tym przez ramię z udawaną wesołością: "Tu jest ksiądz do pani. Teraz będzie pani lepiej!". Po czym wyszła.

Ojciec Gorman wszedł. Pokój, umeblowany staromodnymi wiktoriańskimi meblami, był ładny i czysty. Leżąca na łóżku przy oknie kobieta z trudem odwróciła głowę. Ksiądz zorientował się natychmiast, że jest bardzo chora.

- Przyszedł ksiądz... Nie ma czasu... - mówiła, oddychając ciężko. - Nikczemność... taka nikczemność... muszę... muszę... Nie mogę umrzeć jak taka... Wyznać... wyznać... moje grzechy... ciężkie grzechy... - jej oczy, na pół zamknięte, błędziły... Z ust padały urywane, monotonne słowa.

Ojciec Gorman podszedł do łóżka. Mówił tak, jak mówił często, bardzo często. Słowa pełne powagi, wzbudzające zaufanie... słowa jego powołania i wiary. Uspokoila się... Cierpienie znikło z umęczonych oczu...

Kiedy kapłan zakończył swoją posługę, umierająca przemówiła znowu:

- Przerwać... To musi zostać powstrzymane... Ksiądz będzie...

Ksiądz powiedział uspokajająco:

- Zrobię wszystko, co konieczne. Może mi pani zaufać... W chwilę później przyjechała karetka pogotowia i zjawił się lekarz. Pani Coppins powitała go z ponurym triumfem. - Jak zwykle za późno! - oświadczyła. - Już odeszła...

2

Ojciec Gorman wracał w zapadającym zmroku. Tego wieczoru pojawiła się mgła, która gęstniała gwałtownie. Zatrzymał się na moment, marszcząc brwi. Co za nieprawdopodobna historia... Jaka jej część zrodziła się z maligny i wysokiej gorączki? Oczywiście, w jakimś stopniu była prawdziwa - ale w jakim? W każdym razie to ważne, aby zanotować pewne nazwiska, póki są świeże w jego pamięci. Kiedy wróci, trzeba będzie zwołać Bractwo św. Franciszka. Skręcił raptownie do małej kawiarenki, zamówił kawę i usiadł. Poszperał w kieszeni sutanny. Ach, ta pani Gerahty! Prosił, żeby zaszyła rozprucie. Jak zwykle nie zrobiła tego. Notesik, ołówek i parę monet znalazło się pod podszewką. Ksiądz wydobył parę monet, ołówek, ale notes sprawiał trudności. Podano kawę, poprosił więc o kawałek papieru.

- Wystarczy księdzu?

Była to podarta papierowa torba. Ojciec Gorman przytaknął i wziął ją. Zaczął zapisywać nazwiska - zależało mu, żeby ich nie zapomnieć. A łatwo zapominał nazwiska.

Drzwi kawiarni otworzyły się, weszło trzech młodych chłopców w strojach jak z epoki edwardiańskiej i rozsiadło się hałaśliwie.

Ojciec Gorman skończył notatkę. Złożył strzęp papieru i zamierzał włożyć go do kieszeni, kiedy przypomniał sobie o dziurze. Zrobił więc to, co wielokrotnie robił już wcześniej: wcisnął złożony kawałek papieru do buta.

Jakiś człowiek wszedł cicho i usiadł w odległym końcu lokalu. Ojciec Gorman wypił parę łyków kawy, poprosił o rachunek i zapłacił. Potem wstał i wyszedł.

Mężczyzna, który dopiero co się zjawił, zmienił chyba zamiar. Popatrzył na zegarek jak ktoś, kto pomylił godzinę, podniósł się i spieszenie skierował do wyjścia.

Mgła gęstniała szybko. Ojciec Gorman wydłużył krok. Znał okolicę bardzo dobrze. Skrócił sobie drogę, skręcając w małą uliczkę, biegnącą wzdłuż torów kolejowych. Mógł usłyszeć kroki z tyłu, ale nie myślał o nich. Dlaczego miałby zwrócić na nie uwagę?

Cios pałki zaskoczył go zupełnie. Pochylił się do przodu i upadł...

Doktor Corrigan wszedł do gabinetu gwizdząc "Ojciec O'Flynn" i tonem pogawędki zwrócił się do detektywa - inspektora Lejeune'a:

- Zrobiłem ci twego ojczulka.

- A rezultat?

- Techniczne terminy zostawmy dla koronera. Został sprawnie zatłuczony. Prawdopodobnie zginął od pierwszego ciosu, ale ktokolwiek był mordercą, chciał mieć pewność. Paskudna historia.

- Tak - zgodził się Lejeune.

Był silnym mężczyzną, ciemnowłosym i szarookim. Miał zwodniczo spokojny sposób bycia, ale jego gesty były czasem zaskakująco malownicze i świadczyły o hugenockich przodkach z Francji.

- Wygląda to na coś gorszego niż rabunek - powiedział w zamyśleniu.

- A czy to był rabunek? - spytał doktor.

- Tak przypuszczamy. Kieszenie zostały wywrócone, a podszywka sutanny odpruta.

- Nie mogli liczyć na wiele - rzekł Corrigan. - Ci proboszcze są zwykle biedni jak myszy kościelne.

- Rozwalili mu czaszkę, żeby mieć pewność - zadumał się inspektor. - Chciałoby się wiedzieć, po co.

- Są dwie możliwe odpowiedzi. Jedna, że zrobił to zdeprawowany młody przestępca, który uwielbia przemoc dla niej samej. Niestety, takich jest coraz więcej.

- A druga możliwość? Doktor wzruszył ramionami.

- Ktoś zrobił to twojemu ojcu Gormanowi umyślnie. Lejeune potrząsnął głową.

- Bardzo mało prawdopodobne. Był popularny, ogromnie kochany w okolicy. O ile wiadomo, żadnych wrogów. A rabunek jest nieprawdopodobny. Chyba że...

- Chyba że co? Policja już ma klucz! Mam rację?

- Miał przy sobie coś, co nie zostało zabrane. Po prostu miał to w bucie.

Corrigan gwizdnął.

- Brzmi to jak historia szpiegowska. Lejeune uśmiechnął się.

- To znacznie prostsze. Miał dziurę w kieszeni. Sierżant Pine rozmawiał z jego gospodynią. Jest chyba trochę niechlujna. Nie reperowała jego rzeczy tak, jak powinna. Przyznawała to czasami.

Ojciec Gorman wolał wepchnąć papier do buta, aby uchronić go przed wypadnięciem z dziurawej sutanny.

- A zabójca nie wiedział o tym?

- Nie przyszło mu to do głowy! Przypuszczalnie szukał tego właśnie papierka, a nie garści drobniaków. - Co było na tej kartce?

Lejeune sięgnął do szuflady i wyjął skrawek pogniecionego papieru.

- To tylko lista nazwisk. Corrigan spojrzał na nią ciekawie.

Ormerod

Sandford

Parkinson

Hesketh-Dubois

Shaw

Harmondsworth

Tuckerton

Corrigan?

Delafontaine?

Podniósł brwi.

- Widzę, że jestem na tej liście!

- Czy któreś z nazwisk mówi ci coś? - zapytał inspektor.

- Żadne.

- Nie spotkałeś nigdy ojca Gormana?

- Nie.

- Zatem niewiele możesz nam pomóc.

- Nie domyślacie się, co znaczy ta lista, jeżeli w ogóle coś znaczy? Lejeune nie odpowiedział wprost.

- Pewien chłopiec zgłosił się do ojca Gormana około siódmej wieczór. Powiedział, że umierająca kobieta prosi księdza i ojciec Gorman poszedł z nim.

- Dokąd? O ile oczywiście wiesz.

- Wiemy. To nie wymagało długiego sprawdzania. Benthall Street 23. Właścicielką domu jest kobieta nazwiskiem Coppins. Chora nazywała się Davis. Ksiądz dotarł tam kwadrans po siódmej i był u niej jakieś pół godziny. Pani Davis zmarła, zanim przyjechała karetka, żeby zabrać ją do szpitala.

- Rozumiem.

- Następnym miejscem, w którym usłyszeliśmy o ojcu Gormanie, jest Tony's Place, mała, podupadła kawiarenka. Zupełnie przyzwoita, żadnych powiązań kryminalnych, podaje się tam mizerne przekąski i dlatego nie jest zbyt licznie odwiedzana. Ojciec Gorman poprosił o filiżankę kawy. Wtedy prawdopodobnie szukał czegoś w kieszeni i nie mogąc znaleźć, poprosił właściciela o kawałek papieru. To - wskazał Lejeune palcem - jest właśnie ten papier.

- A potem?

- Kiedy Tony przyniósł kawę, ksiądz pisał coś na tej kartce. Wkrótce wyszedł, zostawiając kawę praktycznie nietkniętą (o co go nie winię) i wetknąwszy listę do buta.

- W lokalu jeszcze ktoś był?

- Czterech chłopaków w typie bikiniarzy przy jednym stoliku, a przy drugim - starszy mężczyzna. Ten zresztą wyszedł, nie zamówiwszy nic.

- Poszedł za księdzem?

- To możliwe. Tony nie zauważył, w jakim momencie wyszedł. Nie zauważył też, jak wyglądał. Opisał go jako niepozornego człowieka. Poważny. Taki, który wygląda jak każdy inny. Średnia waga, ciemnoniebieski płaszcz, a może brązowy. Włosy ani ciemne, ani jasne. Nie ma powodu sądzić, jakoby miał coś wspólnego z tą sprawą. Po prostu nie wiadomo. Nie zgłosił się, aby powiedzieć, że widział księdza u Tony'ego, ale ma jeszcze czas. Prosiliśmy, by każdy, kto widział ojca Gormana wieczorem, między godziną za kwadrans ósma a ósmą piętnaście, skontaktował się z nami. Dotychczas odpowiedziały tylko dwie osoby: pewna kobieta i aptekarz, mający w pobliżu aptekę. Pójdę teraz zobaczyć się z nimi. Ciało zostało znalezione o ósmej piętnaście przez dwóch małych chłopców na West Street -wiesz, gdzie to jest? Boczna uliczka, ograniczona z jednej strony przez tory. Resztę znasz.

Corrigan skinął głową. Popukał palcem w papier.

- Co o tym sądzisz?

- Wydaje mi się, że to jest coś ważnego - odparł Lejeune.

- Ta umierająca powiedziała mu coś istotnego i musiał zapisać to jak najszybciej, zanim zapomni?

Chodzi o jedno - czy wolno mu było to zrobić, jeżeli dowiedział się tego pod tajemnicą spowiedzi?

- To nie musiało być powierzone jako tajemnica. Przypuśćmy, że te nazwiska mają związek z - powiedzmy - szantażem...

- To jest twój pomysł?

- Nie mam jeszcze żadnego pomysłu. To tylko robocza hipoteza. Ci ludzie byli szantażowani. Umierająca kobieta albo była szantażystką, albo wiedziała o szantażu. Powiedziałbym, że generalnie była to skrucza, wyznanie i pragnienie zadośćuczynienia w miarę możliwości. Ojciec Gorman przyjął na siebie odpowiedzialność.

- A co potem?

- Wszystko jest przypuszczeniem - rzekł Lejeune. Powiedzmy, że to było płacenie okupu i ktoś nie chciał, żeby się to skończyło. Ktoś wiedział, że pani Davis umiera i że posłała po księdza. Dalej już wiadomo.

- Jestem ciekaw - powiedział Corrigan, studiując znowu papier - dlaczego przy ostatnich dwóch nazwiskach jest znak zapytania.

- Może ojciec Gorman nie był pewien, czy zapamiętał dokładnie te nazwiska.

- To mogło być Mulligan zamiast Corrigan - zgodził się doktor z uśmiechem. - To dość podobne. Ale nazwisko Delafontaine zapamiętuje się lub nie - jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Dziwne, że nie ma tu ani jednego adresu... - przeczytał listę jeszcze raz.

- Parkinson - jest mnóstwo Parkinsonów. Sandford - nic niezwykłego. Hesketh-Dubois... trudno wymówić. Nie może ich być wielu.

Pod wpływem nagłego impulsu doktor nachylił się do przodu i wziął książkę telefoniczną, leżącą na biurku.

- E do L. Zobaczmy. Hesketh, pani A..., John & Co., hydraulicy... Sir Isidore. Ach, mam! Hesketh-Dubois, lady, 49 Ellesmere Square, S. W. 1. Co powiesz, żebyśmy do niej zadzwonili?

- I co powiemy?

- Natchnienie przyjdzie - oświadczył doktor beztrósco.

- No to jazda - rzekł Lejeune.

- Co? - Corrigan wytrzeszczył oczy.

- Powiedziałem: jazda - powtórzył inspektor lekko. - Nie trać głowy. - Podniósł słuchawkę. - Daj mi miasto. - Spojrzał na Corrigan. - Numer?

- Grosvenor 64578.

Lejeune powtórzył i wręczył słuchawkę doktorowi.

- Baw się dobrze.

Corrigan, trochę zaskoczony, patrzył na niego, czekając. Sygnał w telefonie trwał jakiś czas, zanim podniesiono słuchawkę. Potem odezwał się zadyszany kobiecy głos:

- Grosvenor 64578.

- Czy to dom lady Hesketh-Dubois?

- No... tak... to znaczy...

Doktor Corrigan nie zważał na to wahanie.

- Czy mógłbym z nią mówić?

- Nie, nie może pan! Lady Hesketh-Dubois zmarła w kwietniu.

- Och! - zaskoczony doktor zignorował pytanie: "Kto mówi?", i delikatnie odłożył słuchawkę.

Spojrzał chłodno na inspektora.

- A więc dlatego tak chętnie pozwoliłeś mi dzwonić? Lejeune uśmiechnął się złośliwie.

- Naprawdę nie zanedbujemy spraw oczywistych.

- Zmarła w kwietniu - powiedział Corrigan z namysłem. - Pięć miesięcy temu. Pięć miesięcy, odkąd zaskoczył ją szantaż czy co to było. Nie popełniła samobójstwa?

- Nie. Zmarła z powodu guza mózgu.

- Zaczniemy więc na nowo - rzekł doktor, patrząc na listę. Lejeune westchnął.

- Naprawdę nie wiemy, czy ta lista ma coś wspólnego z morderstwem. To może być zwyczajny napad w mglisty wieczór. Niewielka nadzieja, że odkryjemy, kto to zrobił, chyba że dopisze nam szczęście...

- Miałbyś coś przeciwko temu, gdybym zajął się listą? - spytał doktor.

- Zajmuj się. Życzę ci wiele szczęścia.

- Uważasz, że ja nie ja nie dostanę się tam, dokąd ty nie możesz się dostać? Nie bądź zbyt pewien. Skupię się na Corriganach. Na panu, pani, czy pannie Corrigan - z wielkim znakiem zapytania.

- Cóż, naprawdę panie Lejeune, nie wiem, co jeszcze mogłabym panu powiedzieć. Wszystko podałam już wcześniej pańskiemu sierżantowi. Nie wiem, kim była pani Davis ani skąd pochodziła. Mieszkała u mnie sześć miesięcy. Płaciła czynsz regularnie i była przyjemną, spokojną, porządną osobą, i nie wiem, czego jeszcze pan ode mnie oczekuje. -Pani Coppins przerwała, by złapać oddech, patrząc na inspektora z pewną irytacją. Uśmiechnął się do niej z łagodną melancholią, co według jego doświadczeń nie pozostawało bez efektu. - To nie znaczy, że nie chciałabym panu pomóc, gdybym mogła - poprawiła się.

- Dziękuję. Właśnie tego potrzebujemy - pomocy. Kobiety wiedzą - czują instynktownie - o wiele więcej, niż mężczyzna zdoła się dowiedzieć.

Była to dobra zagrywka i poskutkowała.

- Ach - rzekła pani Coppins. - Chciałabym, żeby Coppins pana słyszał. Zawsze taki zarozumiały i bezceremonialny. "Gadasz rzeczy bez pojęcia" - powiadał i prychał. A ja miałam rację dziewięć razy na dziesięć.

- Dlatego właśnie chciałbym usłyszeć pani opinię o pani Davis. Czy pani zdaniem była nieszczęśliwa?

- Nie, tego bym nie powiedziała. Solidna. Zawsze na taką wyglądała. Systematyczna. Jakby zaplanowała swoje życie i działała według tego planu. Miała pracę, o ile się orientuję, w jednym z tych towarzystw zajmujących się badaniami rynku. Chodzą i pytają ludzi, jakiego mydła i proszku używają, jakiej mąki, i na co wydają tygodniowe zarobki, i jak są one podzielone. Ja oczywiście uważam to za wtykanie nosa w cudze sprawy i nie mam pojęcia, dlaczego rząd czy ktokolwiek chce znać te rzeczy! Wszystko, czego można się w końcu z tego dowiedzieć, to to, co każdy wie dokładnie - lecz dzisiaj jest to prawdziwa plaga! Ale jeśli chce pan usłyszeć, to sądzę, że pani Davis wykonywała swoją pracę bardzo dobrze. Uprzejma, nie wścibska, tylko solidna i rzeczowa.

- Nie zna pani nazwy firmy czy towarzystwa, które ją ostatnio zatrudniało?

- Nie, niestety nie.

- Wspominała coś o krewnych?

- Nie. Wnioskowałam, że jest wdową, a męża straciła już dawno. Był chyba trochę niesprawny i nigdy nie mówiła o nim wiele.

- Nie wspominała, z jakich stron pochodzi?

- Nie sądzę, żeby była z Londynu. Wydaje mi się, że przyjechała z północy.

- Nie wyczuwała pani w niej czegoś... no, czegoś tajemniczego? Lejeune powiedział to pełen wątpliwości. Jeżeli łatwo ulegała sugestii... Ale pani Coppins nie skorzystała z podsunętej okazji.

- Cóż, tego nie mogę twierdzić. Na pewno nie na podstawie tego, co mówiła. Jediną rzeczą, która trochę mnie zdziwiła, była jej walizka. W dobrym gatunku, ale nie nowa. Miała wymalowane inicjały J.D. - Jessie Davis. Pierwotnie jednak było to J. i coś innego. Wydaje mi się, że H. A może A. Jednak nie myślałam o tym do tej chwili. Często można dostać dobrą walizkę z drugiej ręki bardzo tanio i wtedy naturalnie zmienia się inicjały. Nie miała wielu rzeczy, tylko tę jedną walizę.

Inspektor wiedział o tym. Zmarła kobieta miała zadziwiająco mało osobistych drobiazgów. Nie przechowywała listów, żadnych fotografii. Nie miała karty ubezpieczeniowej, książeczki bankowej, książeczki czekowej. Ubrania jej były praktyczne, dobrej jakości, prawie nowe.

- Wydawała się zupełnie szczęśliwa?

- Sądzę, że tak.

Podchwycił lekką wątpliwość w jej głosie.

- Tylko pani tak sądzi?

- To nie jest to, o czym pan myśli. Powiedziałam, że była dość zamożna, miała dobre zajęcie i była zadowolona z życia. Nie promieniała szczęściem. Oczywiście, kiedy zachorowała...

- Kiedy zachorowała... - ponaglił ją.

- Najpierw była zdenerwowana. Potem zapadła na grypę. Powiedziała, że to pokrzyżowało wszystkie jej plany, straciła umówione spotkania i tak dalej. Ale grypa jest grypą i jak się zdarzy, nie można jej zignorować. Została w łóżku, zrobiła sobie na gazowej kuchence herbatę i wzięła aspirynę. Zapytałam, dlaczego nie chce lekarza, ale powiedziała, że nie ma potrzeby. Nic nie można poradzić na grypę, tylko położyć się i leżeć w cieple, i żebym lepiej nie zbliżała się do niej, bo się zarażę. Gotowałam jej trochę, gdy poczuła się lepiej. Gorącą zupę i tost, i ryżowy pudding od czasu do czasu. Oczywiście choroba osłabiła ją trochę, jak to grypa, ale nie bardziej niż zwykle. Po gorączce ma się często depresję i jej zdarzyło się to, jak każdemu. Siedziała tutaj, przy ogniu, i pamiętam, że powiedziała do mnie: "Chciałoby się nie mieć tak wiele czasu na myślenie. Nie lubię zbyt dużo myśleć. To mnie przygnębia". Lejeune patrzył z napiętą uwagą na panią Coppins, która zapaliła się do tematu.

- Pożyczyłam jej parę magazynów. Nie była jednak w stanie skupić się na czytaniu. Pamiętam, że kiedyś oświadczyła: "Jeżeli coś nie jest takie, jak powinno być, lepiej nie wiedzieć o tym, prawda?" A ja na to: "Racja, kochanie". A ona: "Nie wiem - nigdy naprawdę nie byłam pewna". Zapewniłam ją, że wobec tego wszystko jest w porządku. I wtedy powiedziała: "To, co robiłam, było zawsze uczciwe i szczerze. Nie mam sobie nic do wyrzucenia". A ja znowu: "Jasne, że nie, skarbie". Ale pomyślałam sobie, czy aby ta firma, która ją zatrudniała, nie wdała się w jakieś niewyraźne transakcje finansowe, a ona się przestraszyła, ale czuła, że to nie jej sprawa.

- To możliwe - zgodził się inspektor.

- W każdym razie wyzdrowiała albo prawie wyzdrowiała i wróciła do pracy. Mówiłam jej, że to za szybko, żeby sobie jeszcze podarowała parę dni. I proszę, miałam rację! Wróciła drugiego wieczoru i zobaczyłam zaraz, że ma wysoką gorączkę. Ledwie mogła wejść na schody. "Musisz wezwać doktora" - powiadam, ale nie, nie chciała. Robiło się jej coraz gorzej przez cały dzień, szkliste oczy, policzki jak ogień i dyszała ciężko. Następnego wieczoru powiedziała - a ledwie mogłam zrozumieć słowa: "Za późno. Muszę zobaczyć się z księdzem. I to szybko... bo będzie za późno". Ale nie chciała naszego pastora. Miał być ksiądz katolicki. Nie wiedziałam, że była katoliczką, nie miała krucyfiks ani nic takiego.

Był tam jednak krucyfiks, schowany na dnie walizki. Lejeune nie wspomniał o tym. Siedział, słuchając.

- Zobaczyłam małego Mike'a na ulicy i posłałam go po ojca Gormana do św. Dominika. I zadzwoniłam na własną rękę po lekarza i do szpitala, nic jej nie mówiąc.

- Zaprowadziła pani księdza na górę?

- Tak. I zostawiłam ich samych.

- Żadne z nich nic nie powiedziało?

- Nie pamiętam dokładnie. Powiedziałam, że jest już ksiądz i teraz będzie jej lepiej, próbowałam dodać jej otuchy, ale teraz przypominam sobie, że kiedy zamykałam drzwi, słyszałam, jak mówiła coś o niegodziwości. Tak, i coś o komach... może o wyścigach konnych. Sama lubię czasem postawić pół korony, ale powiadają, że na wyścigach jest wiele nieuczciwości.

- Niegodziwość - rzekł Lejeune. To słowo go uderzyło.

- Musiała wyznać swoje grzechy. Katolicy to robią przed śmiercią. Przypuszczam, że o to chodziło.

Inspektor nie wątpił, że chodziło właśnie o to, ale jego wyobraźnia została pobudzona przez użyte słowo. Niegodziwość...

Była to jakaś szczególna niegodziwość - pomyślał - jeśli ksiądz, który ją poznał, był śledzony i został zatłuczony na śmierć...

2

Od pozostałych trzech lokatorów nie można się było niczego dowiedzieć. Dwaj z nich, urzędnik bankowy i starszy mężczyzna pracujący w sklepie z obuwem, mieszkali tam od lat. Trzecią osobą była dwudziestodwuletnia dziewczyna, która wprowadziła się niedawno i miała posadę w pobliskim domu towarowym. Wszyscy troje znali panią Davis zaledwie z widzenia.

Kobieta, która zawiadomiła, że tamtego wieczoru widziała ojca Gormana na ulicy, również nie dostarczyła przydatnych informacji. Była katoliczką uczęszczającą do kościoła św. Dominika i знаła ojca Gormana z widzenia. Zobaczyła go wychodzącego z Benthall Street i udającego się do Tony's Place mniej więcej dziesięć minut po ósmej. I to było wszystko.

Pan Osborne, właściciel apteki na rogu Barton Street, miał więcej do powiedzenia.

Był to mały człowieczek w średnim wieku, z łysą głową, okrągłą, szczerą twarzą, w okularach.

- Dobry wieczór, inspektorze. Proszę wejść na zaplecze - podniósł klapę staroświeckiego kontuaru. Lejeune przeszedł przez niszę, w której młody człowiek w białym kitlu przygotowywał właśnie butelki leków ze zręcznością zawodowego kuglarza, i przez sklepione przejście do małego pokoju z paroma fotelami, stołem i biurkiem. Pan Osborne konspiracyjnie zasunął zasłonę z tyłu i usiadł w jednym z foteli, wskazując inspektorowi miejsce w drugim. Pochylił się do przodu, a jego oczy błyszczały przyjemnym podnieceniem.

- Tak się złożyło, że mogę panu pomóc. To nie był ruchliwy wieczór - mało pracy, niesprzyjająca pogoda. Moja młoda pomoc stała za kontuarem. Zawsze w czwartki mamy otwarte do ósmej. Nadchodziła mgła i w okolicy nie było widać wielu ludzi. Podszedłem do drzwi, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda, i pomyślałem, że mgła szybko gęstnieje. Zapowiadano to w prognozie. Stałem chwilę. W środku nie działo się nic, z czym moja młoda pomocnica nie mogłaby sobie poradzić - kupowano kremy i sole do kąpieli. Wtedy zobaczyłem ojca Gormana idącego po drugiej stronie ulicy. Oczywiście znałem go dobrze z widzenia. To morderstwo to szokująca sprawa - napaść człowieka o tak dobrej opinii. "To ojciec Gorman" - pomyślałem. Zmierzał w kierunku West Street, która jest następną przecznicą w lewo przed linią kolejową, jak pan wie. Niedaleko za nim szedł inny mężczyzna. Nie przyszłoby mi do głowy zwrócić na to uwagę, ale ten drugi człowiek zatrzymał się, zupełnie nieoczekiwanie, kiedy był naprzeciw moich drzwi. Zaciekawilem się, dlaczego stanął, i wtedy zauważyłem, że ksiądz, idący przed nim, zwolnił. Nie zatrzymał się zupełnie. Wyglądało to tak, jakby zamyślił się głęboko, zapominając, że idzie. Potem ruszył znowu i tamten mężczyzna poszedł również, dosyć szybko. Pomyślałem - o ile w ogóle myślałem - że być może to znajomy ojca Gormana, który chce go złapać i porozmawiać.

- Ale w obecnych okolicznościach można powiedzieć, że po prostu go śledził?

- Teraz jestem tego pewien, choć wówczas nie przyszło mi to do głowy. Przy gęstniejącej mgle straciłem ich z oczu niemal natychmiast.

- Potrafiłby pan opisać tego człowieka?

Lejeune pytał bez przekonania. Był przygotowany na nieokreślony opis. Pan Osborne miał jednak inne ambicje niż Tony z kawiarni.

- Cóż, wydaje mi się, że tak - powiedział z zadowoleniem. - Był wysoki...

- Wysoki? Jak bardzo?

- No... przynajmniej pięć stóp jedenaście cali do sześciu stóp. Choć mógł wyglądać na wyższego, ponieważ był niezwykle szczupły. Pochyłe ramiona i wystająca grdyka. Pod swoim homburgiem miał dosyć długie włosy. Wielki haczykowaty nos. Bardzo rzucający się w oczy. Naturalnie nie potrafiłbym podać koloru jego oczu. Zdaje pan sobie sprawę, że widziałem go z profilu. Miał może pięćdziesiątkę. Oceniam to po chodzie. Młodzi ludzie ruszają się zupełnie inaczej.

Inspektor ocenił w myśli odległość do drugiego chodnika, potem wrócił myślą do pana Osborne'a i zdziwił się. Zdziwił się bardzo...

Podany przez aptekarza opis mógł oznaczać dwie rzeczy. Mógł wynikać z nadmiernie żywej wyobraźni - znał takie przykłady, zwykle dotyczyły one kobiet budujących portret mordercy taki, jaki według nich powinien być. Takie wymyślone portrety zawierały jednak pewne zdecydowanie fałszywe szczegóły, jak rozlatane oczy, krzaczaste brwi, wysunięta szczęka, uderzająca dzikość. Opis pana Osborne'a robił wrażenie rysopisu prawdziwej osoby. W takim razie był to świadek jeden na milion, człowiek będący dokładnym i szczegółowym obserwatorem, niezachwianym w tym, co widział.

Lejeune ponownie ocenił odległość od przeciwległego chodnika. Jego oczy spoczęły w zadumie na aptekarzu.

- Gdyby zobaczył pan ponownie tego człowieka, czy mógłby go pan poznać?

- O tak. - Pan Osborne był pełen ufności. - Nigdy nie zapominam twarzy. To jedno z moich hobby. Zawsze powiadam, iż gdyby jeden z tych morderców żon przyszedł do mojej apteki i kupił paczuszkę arszeniku, mógłbym świadczyć pod przysięgą w sądzie. Miałem nadzieję, że pewnego dnia coś takiego mi się przydarzy.

- Ale nie zdarzyło się jeszcze?

Pan Osborne przyznał ze smutkiem, że nie.

- I jest to mało prawdopodobne - dodał z żalem. - Sprzedaję ten interes. Mam dostać niezłą sumę i wyjeżdżam na emeryturę do Bournemouth.

- Piękny sklep.

- Ma pewną klasę - powiedział pan Osborne z nutą dumy w głosie. - Założyliśmy go prawie sto lat temu. Dziadek i ojciec przede mną. Dobry, staroświecki rodzinny sklep. Jako chłopiec wcale tak nie myślałem. Uważałem, że jest nudny. Ciągnęła mnie scena, jak wielu innych chłopców. Czułem, że potrafię grać. Ojciec nie próbował mnie powstrzymać. "Przekonaj się, co zdołasz zdziałać, mój chłopcze" - powiedział. "Zobaczysz, że nie jesteś sir Henrym Irvingiem". I miał rację! Był mądrym człowiekiem. Półtora roku w teatrze i wróciłem do apteki. Szczyciłem się tym. Zawsze mieliśmy dobry, solidny towar. Staromodny, ale w dobrym gatunku. Obecne czasy jednak... - potrząsnął ze smutkiem głową - są rozczarowaniem dla farmaceutów. Te artykuły drogeryjne. Musi się je sprzedawać. Połowa zysku pochodzi z tej tandety. Pudry, szminki i kremy, szampony do włosów i woreczki na przybory toaletowe. Mam w sklepie młodą damę, która zajmuje się tym wszystkim. Nie,

nie do tego przywykłem, prowadząc aptekę. Włożyłem jednak w interes sporą sumę, dostanę też bardzo ładną cenę i wpłaciłem już zaliczkę na śliczny bungalow w pobliżu Bournemouth. Emerytura, kiedy jeszcze można cieszyć się życiem, to moje motto. Mam różne hobby. Na przykład motyle. I obserwowanie ptaków od czasu do czasu. Ogrodnictwo - mam mnóstwo nowych książek na temat zakładania ogrodu. Są jeszcze podróże. Mógłbym wybrać się na wycieczkę morską, zobaczyć obce kraje, nim będzie za późno.

Lejeune wstał.

- Życzę panu szczęścia - powiedział. - A gdyby, nim opuści pan te strony, udało się panu zobaczyć tego człowieka...

- Zawiadomię pana natychmiast. Oczywiście. Może pan na mnie liczyć. To będzie prawdziwa przyjemność. Jak mówiłem, mam bardzo dobrą pamięć do twarzy. Będę w pogotowiu. Jak powiadają, na straży. O tak. Może pan na mnie polegać. To będzie prawdziwa przyjemność.

IV. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

Wyszedłem z Old Vic z moją przyjaciółką, Hermia Redcliffe. Byliśmy na spektaklu "Makbeta". Padał ulewny deszcz. Kiedy zmierzaliśmy do miejsca, w którym zaparkowałem samochód, Hermia zauważyła niesłusznie, że kiedykolwiek pójdzie się do Old Vic, zawsze pada.

Byłem odmiennego zdania. Oświadczyłem, że - inaczej niż zegar słoneczny - ona pamięta tylko godziny deszczowe.

- Natomiast w Glyndebourne - ciągnęła, kiedy włączyłem sprzęgło - byłem zawsze szczęśliwa. Nie umiem sobie wyobrazić go inaczej niż jako doskonałość: muzyka, wspaniałe klomby, szczególnie z białych kwiatów.

Rozmawialiśmy chwilę o Glyndebourne i tamtejszym festiwalu muzycznym, potem Hermia zauważyła:

- Czy jedziemy na śniadanie do Dover?

- Do Dover? Cóż za pomysł. Sądziłem, że moglibyśmy pójść do Fantasia. Po tym wspaniałym, krwawym i mrocznym "Makbecie" człowiek potrzebuje naprawdę dobrego jedzenia i picia. Szekspir wywołuje u mnie zawsze wilczy głód.

- Tak. Podobnie jak Wagner. Kanapki z wędzonym łososiem w Covent Garden w antrakcie nie wystarczają nigdy, by przerwać męki. A jeśli chodzi o to, dlaczego do Dover, to dlatego, że jedziesz w tym kierunku.

- Musi się jechać naokoło.

- Ale ty zrobiłeś przesadny objazd. Jesteś już dobrze na Old (a może to jest New?) Kent Road.

Rozejrzałem się po okolicy i uznałem, że Hermia, jak zwykle, miała rację.

- Zawsze tu błędę - przyznałem ze skruchą.

- Można się tu zgubić - zgodziła się Hermia. - Wciąż naokoło Dworca Waterloo.

Wyjechawszy wreszcie szczęśliwie na Westminster Bridge, wróciliśmy w naszej rozmowie do oglądanego przez nas przedstawienia "Makbeta". Moja przyjaciółka, Hermia Redcliffe, jest przystojną, dwudziestoosmioletnią kobietą. Pomijając wspaniałe kształty, ma nieskazitelny grecki profil i masę ciemnych, orzechowych włosów, zwiniętych na karku. Moja siostra zawsze określa ją jako "przyjaciółkę Marka", ze szczególną intonacją, co zwykle mnie niepokoi.

W Fantasie przywitano nas miło i wskazano mały stolik pod obitą szkarłatnym pluszem ścianą. Lokal cieszy się zasłużoną popularnością i stoliki ustawione są blisko siebie. Kiedy usiedliśmy, powitali nas wesoło goście od sąsiedniego stolika. David Ardingly, wykładowca historii w Oksfordzie, przedstawił nam swoją towarzyszkę, bardzo ładną dziewczynę, modnie uczesaną, z różnymi loczkami, sterczącymi pod nieprawdopodobnym kątem na czubku głowy. Dziwne, ale pasowało to do niej. Miała olbrzymie niebieskie oczy i stale nie domknięte usta. Była też, jak wszystkie dziewczyny Davida, niezwykle głupia. David, będący wybitnie zdolnym młodym człowiekiem, umiał się odprężyć jedynie w towarzystwie półidiotek.

- To moja najmilsza pieśczołka, Poppy - wyjaśnił. - Poznaj Marka i Hermie. Oni są bardzo poważni, intelektualiści i będziesz musiała się dostosować. Przyszliśmy właśnie z "Do it for Kicks". Świetne przedstawienie! Założę się, że wy idziecie prosto z Szekspira albo ze wznowienia Ibsena.

- "Makbet" w Old Vic - powiedziała Hermia.

- Ach, i co myślicie o przedstawieniu Battersona?

- Podobało mi się - rzekła Hermia. - Oświetlenie było bardzo interesujące. I nigdy nie widziałam tak poprowadzonej sceny uczyty.

- A co z czarownicami?

- Okropne! - wykrzyknęła Hermia. - Zresztą jak zawsze.

David zgodził się.

- Zdają się tam wciskać elementy pantomimy - dodałem. - Te całe ich pląsy i zachowanie przypominające Króla Demonów. Nie można się oprzeć wrażeniu, że zaraz zjawi się Dobra Wróżka w bieli i świecidełkach i powie niskim głosem:

Zło nie zatriumfuje. Na koniec

Makbet tym będzie, kto jest szalony.

Roześmieliśmy się wszyscy, ale David, który orientował się szybko, rzucił mi bystre spojrzenie.

- Co się z tobą dzieje?

- Nic. Któregoś dnia rozważałem właśnie Zło i Króla Demonów w pantomimie. Tak, i Dobre Wróżki również.

- A propos czego?

- Och, w barze kawowym w Chelsea. - Jaki wytworny i nowoczesny jesteś, Mark. Wszystko przez to osiedlenie się w Chelsea. Tam, gdzie dziedziczki w trykotach zaślubiają łobuziaków z ulicy. Tam, gdzie powinna być Poppy, prawda, koteczku?

Poppy otworzyła ogromne oczy jeszcze szerzej.

- Nienawidzę Chelsea! - zaprotestowała. - O wiele bardziej lubię Fantasie! Takie pyszne, wspaniałe jedzenie.

- Brawo, Poppy. W każdym razie nie jesteś wystarczająco bogata na Chelsea. Opowiedz mi jeszcze o "Makbecie", Mark, o strasznych czarownicach. Wiem, jak przedstawiłbym czarownicę, gdybym wystawiał sztukę.

David był kiedyś wybitnym członkiem Koła Dramatycznego Uniwersytetu Oksfordzkiego.

- No jak?

- Zrobiłbym ją bardzo zwyczajnie. Po prostu chytra, cicha, stara kobieta. Jak czarownice z wioski.

- Ale dziś nie ma żadnych czarownic? - spytała Poppy, wpatrując się w niego.

- Mówisz tak, bo pochodzisz z Londynu. W każdej wiosce w rolniczej Anglii są wiedźmy. Stara pani Black w trzecim domku na wzgórzu. Mówi się małym chłopcom, żeby jej nie dokuczali, daje się jej od czasu do czasu jaja i domowe ciasto. Ponieważ - pogroził palcem - jeżeli przetnie ci drogę, twoje krowy przestaną dawać mleko, na ziemniaki padnie nieurodzaj albo mały Johnnie skręci kostkę. Nikt nie mówi dokładnie tak, ale wszyscy to wiedzą.

- Żartujesz - powiedziała Poppy, wydymając wargi.

- Nie, wcale nie. Mam rację, prawda, Mark?

- Na pewno te wszystkie przesady wymarły zupełnie wraz z rozwojem edukacji - rzekła Hermia sceptycznie.

- Ale nie w rolniczych okolicach kraju. Co ty na to, Mark?

- Może masz rację - powiedziałem powoli. - Choć nie wiem na pewno. Nigdy nie mieszkałem na wsi.

- Och, pomyśl tylko. To przypomina szaleństwo. Jeśli widzisz kogoś, kto bredzi i chwieje się, ma słomę we włosach i wygląda na wariata, to nie jest wcale przerażające. Pamiętam jednak, że zostałem kiedyś wysłany z wiadomością do lekarza w szpitalu psychiatrycznym i tam wskazano mi pokój, gdzie miałem poczekać. Siedziała tam miła starsza pani, popijając mleko. Zrobiła banalną uwagę na temat pogody, a potem nagle pochyliła się do przodu i spytała cicho: "Czy to pańskie biedne dziecko jest pochowane za kominkiem?". A potem pokiwała głową i dodała: "Jest dokładnie 12.10. Zawsze to samo każdego dnia. Niech pan udaje, że nie widzi krwi". Rzeczowy sposób, w jaki to powiedziała, mroził krew w żyłach.

- A czy tam był ktoś pochowany za kominkiem? - chciała wiedzieć Poppy.

David zignorował ją i ciągnął:

- Weźmy media. W jednej chwili trans, zaciemniony pokój, pukanie i stuki. A potem medium prostuje się, przygląda włosy i idzie do domu zjeść rybę z frytkami jak zwykła, wesola kobieta.

- A więc tak sobie wyobrażasz czarownice. Trzy szkockie staruszki, mające dar jasnowidzenia, uprawiające swoją sztukę w tajemnicy, mamroczące zaklęcia nad kociołkiem, wywołujące duchy, a przy tym pozostające trójką zwykłych kobiet. Tak, to mogłoby zrobić wrażenie.

- Jeżeli znalazłbyś jakieś aktorki chętne do grania w ten sposób - rzekła sucho Hermia.

- Masz trochę racji - zgodził się David. - Każda wzmianka o szaleństwie w scenariuszu i aktor jest gotów pójść na całego! To samo jest z nagłą śmiercią. Żaden aktor nie pada spokojnie i nie umiera. Musi jęczeć, słać się, przewracać oczami, chwycić się za włosy, za głowę i robić straszliwe przedstawienie. Jeżeli mówimy o przedstawieniach, co myślisz o "Makbecie" Fieldinga?

- Uważam, że jest przerażający - powiedziała Hermia. - "Nie możesz służyć choremu umysłowi". Jasno stawia to, o czym nie pomyślałabym wcześniej, że rozkazał lekarzowi ją zabić. A przy tym kochał żonę. Uwydatnia walkę między swoją miłością i strachem. To "Powinnaś już umrzeć" było najbardziej gorzką rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Szekspir miałby kilka niespodzianek, gdyby zobaczył swoje sztuki grane dzisiaj - wtrąciłem oschle.

- Burbage i spółka zgasili już trochę jego ducha - rzekł David.

- Wiekuiste zaskoczenie autora tym, co z nim zrobił producent - mruknęła Hermia.

- Czy rzeczywiście jakiś Bacon napisał sztuki Szekspira? - zapytała Poppy.

- Ta teoria jest dzisiaj przestarzała - odparł David. - A co ty wiesz o Baconie?

- Wynalazł proch - powiedziała Poppy triumfalnie.

David popatrzył na nas.

- Rozumiecie, dlaczego kocham tę dziewczynę? Mówi zawsze coś zaskakującego. Francis, nie Roger, kochanie.

- Wydało mi się ciekawe - rzekła Hermia - że Fielding grał rolę Trzeciego Mordercy. Czy jest precedens?

- Uważam, że tak - odparł David. - Jakie to musiało być wygodne w owych czasach móc wezwać zręcznego mordercę, kiedy miało się do załatwienia drobną sprawę. Byłoby zabawne, gdyby można było zrobić coś takiego dzisiaj.

- Ależ to się robi - zaprotestowała Hermia. - Gangsterzy, skrytobójcy, czy jak ich nazywacie. Chicago i tak dalej.

- Ach, nie o tym myślę - rzekł David. - Nie o gangsterach, bandytach czy baronach zbrodni. Po prostu zwykły, szary człowiek, który chce kogoś usunąć. Rywala w interesach, ciocię Emily, tak bogatą i niestety długowieczną, okropnego męża, który stoi zawsze na zawadzie. Jak wygodnie byłoby zadzwonić do Harrodsa i powiedzieć: "Proszę przysłać dwóch odpowiednich morderców". Roześmialiśmy się wszyscy.

- Ale można przecież załatwić sprawę w ten sposób, prawda? -zapytała Poppy.

Zwróciliśmy się do niej.

- W jaki sposób, dziecinko? - dowiadywał się David.

- No, chcę powiedzieć, że ludzie robią to, jeśli chcą... Tacy ludzie jak my. Tylko pewnie to jest bardzo kosztowne.

Oczy Poppy były szeroko otwarte i niewinne, usta rozchylone.

- Co masz na myśli? - spytał zaciekawiony David. Poppy zmieszała się.

- Och... wydaje mi się... musiałam wszystko pomieszać. Mówiłam o Bładym Koniu.

- Błady koń? Co za błady koń?

Poppy zarumieniła się i przymknęła oczy.

- Jestem głupia. Słyszałam tylko, jak ktoś o czymś wspomniał... ale musiałam źle zrozumieć.

- Zjedz pyszny puchar Nesselrode - zaproponował David dobrotliwie.

Jedną z najdziwniejszych rzeczy, jakie się nam zdarzają, jest to, że po usłyszeniu jakiejś wzmianki w ciągu dwudziestu czterech godzin spotykamy się z nią ponownie. Miałem tego przykład następnego ranka.

Mój telefon zadzwonił i podniosłem słuchawkę.

- Flaxman 73841.

Usłyszałem głębokie zaczerpnięcie tchu. Potem odezwał się głos zadyszany, ale pełen determinacji:

- Przemyslałam wszystko i przyjdę! Zacząłem w popłochu szperać w myślach.

- Wspaniale - odparłem, zyskując na czasie. - Czy to... ee...

- Ostatecznie nigdy nie ma się pecha dwa razy.

- Jest pani pewna, że to właściwy numer?

- Oczywiście. Pan Mark Easterbrook, prawda?

- Mam! - zawołałem. - Pani Oliver.

- Och - odezwał się głos ze zdziwieniem. - Nie wiedziałeś, kim jestem? Chodzi o ten festyn u Rhody. Jeżeli chce, przyjdę i będę podpisywać książki.

- Strasznie miło z twojej strony. Oni cię oczywiście przenocują.

- Nie będzie żadnych przyjęć? - spytała pani Oliver z obawą. -Znasz te rzeczy - ciągnęła. - Ludzie przychodzą do mnie i pytają, czy piszę coś nowego, a przecież mogą zobaczyć, że piję piwo imbirowe lub sok pomidorowy i niczego nie piszę. I powiadają, że lubią moje książki, co rzecz jasna jest przyjemne, lecz nie potrafię znaleźć właściwej odpowiedzi. Jeżeli powiesz "Cieszę się", to brzmi, jakbym mówiła "Miło mi było poznać". Takie banalne zdanie. Oczywiście tak jest. I nie sądzisz, że zechcą, żebym wyszła z nimi do Różowego Konia i wypła parę drinków?

- Różowego Konia?

- No, Białego Konia. Mam na myśli puby. Źle czuję się w pubach. Jak tylko wypiję odrobinę piwa, zaczynam chichotać.

- Co rozumiesz przez Białego Konia?

- Tak się nazywa pewien pub, prawda? A może chciałam powiedzieć Różowy Koń? A może to jest jeszcze gdzie indziej. Mogłam sobie to wyobrazić. Wyobrażam sobie mnóstwo rzeczy.

- Jak się powodzi kakadu? - zapytałem.

- Kakadu? - nie rozumiała pani Oliver.

- A piłka krykietowa?

- Doprawdy - rzekła pani Oliver z godnością. Musiałeś zwariować albo masz kaca lub coś w tym rodzaju. Różowe konie, kakadu i krykietowe piłki.

Rozłączyła się.

Rozwazałem jeszcze drugą wzmiankę o Białym Koniu, kiedy telefon zadzwonił znowu.

Tym razem był to pan Soames White, wybitny prawnik, który przypominał mi, że zgodnie z testamentem mojej chrzestnej matki, lady Hesketh-Dubois, jestem upoważniony do wybrania trzech z jej obrazów.

- Oczywiście nie jest to nic szczególnie wartościowego - oświadczył pan Soames White melancholijnym tonem. - Jednak, o ile zrozumiałem, wyrażał pan podziw dla niektórych obrazów zmarłej.

- Miała kilka akwarel, przedstawiających urocze sceny indyjskie - powiedziałem. - Pisał pan do mnie w tej sprawie, jak mi się zdaje, ale niestety zapomniałem o tym.

- Tak jest - odparł prawnik. - Poświadczenie autentyczności testamentu zostało przeprowadzone i wykonawcy, z których jednym jestem ja sam, urządzają wyprzedaż ruchomości w londyńskim domu zmarłej. Gdyby mógł pan przyjść na Ellesmere Square w najbliższej przyszłości...

- Przyjdę zaraz - zapewniłem.

Wydawało się, że ten poranek nie sprzyja pracy.

3

Wychodząc z trzema akwarelami pod pachą z domu numer 49 na Ellesmere Square, zderzyłem się z kimś wchodzącym po frontowych schodach. Przeprosiłem, przyjąłem przeprosiny i miałem właśnie przywołać przejeżdżającą taksówkę, kiedy coś odezwało się w moim umyśle. Zatrzymałem się gwałtownie i spytałem:

- Halo - czy to nie Corrigan?

- Czy... tak... Jesteś Mark Easterbrook!

Jim Corrigan i ja byliśmy przyjaciółmi w czasach oksfordzkich - od naszego ostatniego spotkania upłynęło przynajmniej piętnaście lat.

- Pomyślałem sobie, że cię znam, ale w tym momencie nie potrafiłem cię umiejscowić - rzekł Corrigan. - Czytam od czasu do czasu twoje artykuły i muszę powiedzieć, że mi się podobają.

- A co z tobą? Zająłeś się badaniami, jak zamierzałeś? Corrigan westchnął.

- Prawie nie. To kosztowne zajęcie, zwłaszcza jeśli chcesz zostać niezależny. Chyba że znajdziesz łagodnego milionera albo ulegający perswazji trust.

- To była motyllica wątrobowa, prawda?

- Co za pamięć! Nie, porzuciłem motyllicę. Obecnie interesuję się właściwościami wydzielniczymi gruczołów Mandariana. Nie słyszałeś o nich. Są związane ze śledzioną. Pozornie nie służą żadnemu celowi.

Mówił o tym z entuzjazmem naukowca.

- Więc na czym polega wielki pomysł?

- Cóż - w głosie Corriganu słychać było cień usprawiedliwienia - mam teorię, że wpływają na działanie. Tłumacząc z grubsza, mogą działać jak płyn hamulcowy. Nie ma płynu - hamulce nie działają. W organizmie ludzkim brak tego czynnika mógłby - ale tylko mógłby - zrobić z ciebie zbrodniarza.

Gwizdnąłem.

- A co z grzechem pierworodnym?

- A co ma być? - spytał Corrigan. - Pastorzy go nie lubią. Niestety nie potrafiłem zainteresować nikogo moją teorią. Jestem więc lekarzem policyjnym na północnym zachodzie. Dosyć ciekawe. Widzi się wiele kryminalnych typów. Nie chcę cię jednak nudzić sprawami zawodowymi - chyba że pójdziesz ze mną na lunch?

- Chętnie. Ale szedłeś tutaj - wskazałem dom za Corriganem.

- Niezupełnie. Zamierzałem się zakraść.

- Nie ma tam nikogo poza dozorczynią.

- Tak myślałem. Chciałbym jednak dowiedzieć się czegoś o zmarłej lady Hesketh-Dubois.

- Zapewne mogę ci powiedzieć więcej niż dozorczyńni. Była moją matką chrzestną.

- Naprawdę? No to mam szczęście. Gdzie moglibyśmy się pożywić? Jest tu lokalik na Lowndes Square, niezbyt wspaniały, ale dają tam specjalną zupę z owoców morza.

Usiedliśmy w małej restauracyjce. Błady chłopak w spodniach francuskiego marynarza przyniósł nam kociołek parującej zupy.

- Przepyszna - powiedziałem, próbując. - A teraz, Corrigan, co chcesz wiedzieć o starszej pani? I, przy okazji, dlaczego?

- Cóż, to dosyć długa historia - odparł mój przyjaciel. - Po pierwsze, powiedz mi, jaka była.

Zastanowiłem się.

- Była staroświecką osobą. Wiktorianańską. Wdowa po byłym gubernatorze jakiejś skromnej wyspy. Była bogata i lubiła komfort. Zimą jeździła za granicę, do Estorilu i w podobne miejsca. Jej dom był szkaradny, pełen wiktorianańskich mebli i najokropniejszych, niesłychanie ozdobnych wiktorianańskich sreber. Nie miała dzieci, ale trzymała parę naprawdę dobrze wychowanych pudli, które niezwykle kochała. Była oddaną i zawziętą konserwatystką. Miła, ale autokratyczna. Bardzo stała w poglądach. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Nie jestem całkiem pewien - rzekł Corrigan. - Czy możliwe, żeby była kiedykolwiek szantażowana?

- Szantażowana? - spytałem, ogromnie zaskoczony. - Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś bardziej nieprawdopodobnego. O co tu chodzi?

Właśnie wtedy usłyszałem po raz pierwszy o okolicznościach śmierci ojca Gormana.

Odłożyłem łyżkę i zapytałem:

- A ta lista nazwisk? Masz ją?

- Nie oryginał. Ale skopiowałem ją. Proszę.

Wziąłem podany papier i przystąpiłem do studiowania go.

- Parkinson? Znam dwóch Parkinsonów. Arthura, który wstąpił do marynarki. Jest jeszcze Henry Parkinson w jednym z ministerstw. Ormerod... jest major Ormerod w gwardii... Sandford... nasz stary proboszcz - w moich latach chłopięcych - nazywał się Sand-fordi Harmondsworth? Nie... Tuckerton... - przerwałem. - Tuckerton... przypuszczam, że nie Thomasina Tuckerton?

Corrigan spojrzał na mnie z ciekawością.

- Z tego, co wiem, mogłoby tak być. Kim jest i co robi?

- Obecnie nic. Informacja o jej śmierci ukazała się w gazecie mniej więcej tydzień temu.

- A więc to wiele nie pomoże.

Czytałem dalej.

- Shaw. Znam Shawa, dentystę. No i jest Jerome Shaw, Doradca Królowej... Delafontaine... słyszałem ostatnio to nazwisko, ale nie pamiętam gdzie. Corrigan. Może przypadkowo wiąże się z tobą?

- Jestem szczerze przekonany, że nie. Mam uczucie, że figurować na tej liście to pech. - Możliwe. Co sprawiło, że pomyślałeś w związku z tą listą o szantażu?

- O ile dobrze pamiętam, była to sugestia inspektora Lejeune'a. Wydawało się to najbardziej prawdopodobne. Jest jednak wiele innych możliwości. Może to być lista narkomanów, przemytników narkotyków lub tajnych agentów - kogokolwiek. Jedno jest pewne, była ona wystarczająco ważna, by popełnić morderstwo dla przechwycenia jej.

- Zawsze interesuje cię tak bardzo policyjna strona twojej pracy? - zapytałem z ciekawością.

Potrząsnął głową.

- Nie mogę tego powiedzieć. Zajmuje mnie charakter zbrodniarza. Przeszłość, wychowanie, a szczególnie działanie hormonów.

- Dlaczego zatem interesujesz się tą listą?

- Niech mnie diabli, jeżeli wiem dlaczego - powiedział Corrigan wolno. - Może podzielał na mnie widok mego nazwiska. Niech żyją Corriganowie! Jeden Corrigan ratuje drugiego!

- Ratuje? Uważasz więc, że nie jest to lista złoczyńców, tylko ofiar. Ale możliwe jest jedno i drugie.

- Masz całkowitą rację. To byłoby na pewno dziwne, gdybym się upierał. Może to tylko wrażenie. Może ma jakiś związek z ojcem Gormanem. Nie spotykałem go często, ale był wspaniałym człowiekiem, szanowanym przez wszystkich, kochanym przez swoich parafian i wysoce etycznym. Nie mogę oprzeć się myśli, że uważał tę listę za sprawę życia i śmierci...

- Policja sprawdza chyba wszystko?

- O tak, ale to długa historia. Trzeba szukać tu i tam. Sprawdzić pochodzenie kobiety, która go wezwała tamtego wieczoru.

- Kim była?

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wdowa. Wydawało się nam, że jej mąż mógł mieć coś wspólnego z wyścigami konnymi, ale chyba nie. Pracowała w małej firmie prowadzącej badania rynku. Nie ma w tym nic niejasnego. Są szacownym, choć skromnym przedsiębiorstwem. Nie wiedzą o niej wiele. Przyjechała z północy, z Lancashire. Jedyne dziwne rzecz z nią związana to mała ilość przedmiotów osobistych.

Wzruszyłem ramionami.

- Przypuszczam, że to dotyczy większej liczby ludzi, niż sądzimy. Świat jest samotny.

- Masz rację.

- W każdym razie zdecydowałeś się zacząć działać?

- Właśnie węższą w okolicy. Hesketh-Dubois nie jest częstym nazwiskiem. Myślałem, że dowiem się trochę na temat tej damy... - nie dokończył. - Ale z tego, co mi mówisz, wynika, że to prowadzi

donikąd.

- Nie była narkomanką ani przemytniczką - zapewniłem go. - Ani agentką. Prowadziła zbyt nieskazitelne życie, aby można ją było szantażować. Nie umiem sobie wyobrazić, na jakiej liście mogłaby się znaleźć. Bizuterię trzymała w banku, nie stwarzała więc okazji do rabunku.

- Nie wiesz nic o innych osobach tego nazwiska? Synowie?

- Nie miała dzieci. Miała siostrzeńca i siostrzenicę, ale nosili inne nazwiska. Mąż był jej jedynym dzieckiem.

Corrigan powiedział mi kwaśno, że ogromnie mu pomogłem. Popatrzył na zegarek, zauważył wesoło, że powinien kogoś pokroić, i rozstaliśmy się.

Poszedłem do domu zamyślony, stwierdziłem, że nie mogę skoncentrować się na pracy, i ostatecznie pod wpływem impulsu zadzwoniłem do Davida Ardingly'ego.

- David? Tu Mark. Chodzi o tę dziewczynę, z którą nas poznałeś tamtego wieczoru. Poppy. Jak brzmi jej nazwisko?

- Zamierzasz poderwać moją dziewczynę, co? - David wydawał się bardzo ubawiony.

- Masz ich tak dużo - odciąłem się. - Mógłbyś odstąpić jedną.

- Sam masz niezłą sztukę, stary. Myślałem, że jesteś z nią na stałe.

- Zamierzam być na stałe.

Paskudne określenie. A jednak - pomyślałem uderzony jego trafnością - jak dobrze określa mój związek z Hermią. Dlaczego jednak tak mnie to przygnębia? Zawsze czułem podświadomie, że pewnego dnia pobierzemy się z Hermią... Lubiłem ją bardziej niż kogokolwiek innego. Mieliśmy tyle wspólnego...

Bez powodu poczułem ogromną chęć ziewnięcia... Przyszłość stanęła przede mną. Hermia i ja idący na głośne spektakle - to było ważne. Dyskusje o sztuce, o muzyce. Nie ma wątpliwości, że Hermia jest świetną towarzyszką.

"Nie jest jednak zabawna" - podpowiedział drwiący diabełek, wyskakujący z mojej podświadomości. Poczułem się zaszokowany.

- Zasnąłeś? - spytał David.

- Ależ nie. Szczerze mówiąc, twoja przyjaciółka, Poppy, okazała się bardzo zabawną osobą.

- Dobre określenie. Istotnie jest zabawna - w małych dawkach. Nazywa się Pamela Stirling i pracuje w jednej z tych artystycznych kwiaciarni w Mayfair. Wiesz, trzy suche gałązki, tulipan z płatkami przypiętymi szpilką i cętkowany liść laurowy. Cena trzy gwinee.

Podał mi adres.

- Idź z nią gdzieś i baw się dobrze - rzekł przyjaźnie, w stylu dobrego wujaszka. - Bardzo się odprężysz. Ta dziewczyna nie wie nic -ma absolutnie pustą głowę. Uwierz we wszystko, co jej powiesz. Nawiasem mówiąc, jest cnotliwa, żebyś nie miał fałszywych nadziei.

Rozłączył się.

4

Wtargnąłem do Flower Studies Ltd z pewną obawą. Przytłaczająca woń gardenii niemal zwała mnie z nóg. Liczba dziewcząt, ubranych w jasnozielone stroje i wyglądających dokładnie jak Poppy, wprowadziła mnie w zakłopotanie. Ostatecznie zidentyfikowałem ją. Zapisywała adres z niejaką trudnością, zastanawiając się nad pisownią Fortescue Crescent. Jak tylko się uwolniła, po pokonaniu trudności związanych z wydaniem reszty z pięciofuntowego banknotu, zwróciłem jej uwagę na siebie.

- Spotkaliśmy się któregoś wieczoru, z Davidem Ardinglym -przypomniałem jej.

- O tak! - zgodziła się Poppy entuzjastycznie. Jej oczy przesunęły się niezdecydowanie gdzieś za moją głowę.

- Chciałem zapytać cię o coś. - Poczulem nagły niepokój. - Może lepiej kupiłbym trochę kwiatów?

Jak automat, w którym naciśnięto właściwy guzik, Poppy powiedziała:

- Mamy śliczne róże, świeże, dzisiejsze.

- Może te żółte? Róże stały wszędzie.

- Ile kosztują?

- Bahdzo, bahdzo tanio - rzekła Poppy tonem słodkiej namowy. - Tylko pięć szylingów sztuka.

Przełknąłem to i zażądałem sześciu.

- I trochę tych bahdzo, bahdzo nadzwyczajnych liści do nich? Popatrzyłem z powątpiewaniem na nadzwyczajne liście, będące w stanie zaawansowanego więdnienia. W zamian wybrałem trochę jaskrawozielonego asparagusa, który to wybór najwyraźniej obniżył ocenę mojej osoby w oczach Poppy.

- Chciałem cię o coś zapytać - powtórzyłem, podczas gdy Poppy układała gałązki asparagusa wokół róż. - Tamtego wieczoru wspomniałaś coś nazywanego Bładym Koniem.

Wzdrygnąwszy się nagle, Poppy upuściła na podłogę róże i asparagus.

- Możesz powiedzieć mi o tym coś więcej? Poppy wyprostowała się.

- Co powiedziałaś?

- Pytałem cię o Błatego Konia.

- Błatego konia? Co masz na myśli?

- Wspomniałaś tę nazwę owego wieczoru.

- Jestem pewna, że nie zrobiłam nic takiego! Nawet nie słyszałam o czymś podobnym.

- Ktoś powiedział ci o tym. Kto to był?

Poppy zaczerpnęła głęboko tchu i zaczęła mówić bardzo szybko:

- Nie wiem absolutnie, co masz na myśli! I nie wolno nam rozmawiać z klientami... - zacisnęła papier wokół mego sprawunku. - Proszę, to będzie trzydzieści pięć szylingów.

Podaliśmy jej dwa banknoty funtowe. Wepchnęła mi do ręki sześć szylingów i zwróciła się szybko do następnego klienta.

Zauważyłem, że ręce lekko jej drżały.

Wyszedłem powoli. Kiedy oddaliłem się kawałek, uświadomiłem sobie, że źle obliczyła należność (gałązka asparagusa kosztowała siedem szylingów i sześć pensów), a także wydała mi za wiele reszty. Poprzednio zrobiła błąd arytmetyczny w drugą stronę.

Ujrzałem znowu śliczną, pustą twarz i szeroko otwarte niebieskie oczy. W tych oczach coś mignęło.

Strach - pomyślałem. - Panika... Ale dlaczego? Dlaczego?

V. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

- Co za ulga! - westchnęła pani Oliver. - Pomyśleć, że już minęło i nic się nie zdarzyło!

Był to moment odprężenia. Festyn Rhody przeszedł tak jak wszystkie inne. Gwałtowny niepokój o pogodę, która wczesnym rankiem zapowiadała się bardzo kapryśnie. Poważna kłótnia, czy niektóre stoiska mogą być ustawione na wolnym powietrzu, czy wszystko powinno odbyć się w długiej stodole i w namiocie. Rozmaite namiętne spory dotyczyły przygotowań do herbaty, ustawiania stoisk i tak dalej, taktownie wyciszane przez Rhodę. Regularne ucieczki uroczych, ale niezdyscyplinowanych psów Rhody, które miały siedzieć zamknięte w domu ze względu na wątpliwości co do ich zachowania podczas tej wielkiej imprezy. Wątpliwości w pełni uzasadnione!

Przybycie sympatycznej, lecz roztargnionej gwiazdki, tonącej w jasnych futrach, w celu otwarcia festynu. Zrobiła to w czarujący sposób, dodając parę słów na temat sytuacji imigrantów, co zaskoczyło wszystkich, ponieważ powodem festynu była restauracja wieży kościelnej. Ogromne powodzenie kiosku z trunkami. Zwykle trudności z wydawaniem reszty. Pandemonium w porze podwieczorku, kiedy wszyscy goście usiłowali jednocześnie wejść do namiotu.

Wreszcie szczęśliwie nadszedł wieczór. Popis lokalnych tańców w stodole jeszcze trwał. Zaplanowano fajerwerki i ogniska, ale znużeni domownicy wycofali się do domu i jedli zaimprovizowany zimny posiłek w stołowym pokoju, prowadząc przy tym jedną z tych beładnych rozmów, w których każdy wypowiada swoje własne myśli, poświęcając niewiele uwagi temu, co mówią inni. Uwolnione psy, szczęśliwe, gryzły kości pod stołem.

- Zdobędziemy więcej pieniędzy niż w zeszłym roku na pomoc dzieciom - oświadczyła rozradowana Rhoda.

- Wydaje mi się dziwne - rzekła panna Macalister, szkocka guwernantka - że Michael Brent już trzeci rok z rzędu znajduje zakopany skarb. Ciekawa jestem, czy dostaje jakieś informacje.

- Lady Brookbank wygrała świnie - powiedziała Rhoda. - Nie sądzę, żeby tego pragnęła. Wydawała się okropnie zakłopotana.

Towarzystwo składało się z mojej kuzynki Rhody i jej męża -pułkownika Despada, panny Macalister, młodej rudowłosej kobiety imieniem Ginger, pani Oliver oraz pastora - wielebnego Caleba Dane Calthropa - i jego żony. Pastor był czarującym erudytą w średnim wieku, któremu największą przyjemność sprawiało znajdowanie trafnych komentarzy klasyków. Choć często było to kłopotliwe i powodowało przerwanie konwersacji, obecnie nie wadziło. Pastor nigdy nie wymagał, by rozumiano jego górnolotną łacinę; jego przyjemność polegała na satysfakcji ze znalezienia stosownego cytatu.

- Jak powiada Horacy... - zauważył, rozpromieniony. Nastąpiła zwykła pauza.

- Myślę, że pani Horsefall oszukała w sprawie tego szampana -rzekła Ginger w zamyśleniu. - To jej siostrzeniec go miał.

Pani Dane Calthrop, niepokojąca kobieta o pięknych oczach, przyglądała się pani Oliver z namysłem. Nagle spytała:

- Co według pani miało się zdarzyć na tym festynie?

- No cóż, morderstwo albo coś w tym rodzaju. Pani Dane Calthrop wydawała się zainteresowana.

- Ale dlaczego?

- Bez powodu. Istotnie to bardzo mało prawdopodobne. Ale na ostatnim przyjęciu, w którym brałam udział, właśnie się zdarzyło*.

- Rozumiem. I przerażyło to panią?

- Ogromnie.

Pastor przeszedł z łaciny na grekę.

Po przerwie panna Macalister wyraziła wątpliwość co do rzetelności loterii, w której fantami były żywe kaczki.

- To bardzo przyzwoicie ze strony starego Lugga z Królewskiego Herbu, że przysłał nam dwanaście tuzinów butelek piwa do kiosku z napojami - rzekł Despard.

- Królewski Herb? - spytałem ostro.

- Nasz pub, kochanie - wyjaśniła Rhoda.

- Czy jest tu w okolicy jeszcze jeden pub? Ten Błady Koń, jak mówiłaś - zwróciłem się do pani Oliver.

Reakcja, jakiej się po trosze spodziewałem, nie nastąpiła. Twarze zwróciły się ku mnie roztargnione i niezainteresowane.

- Błady Koń nie jest pubem - powiedziała Rhoda.

- To była stara gospoda - rzekł Despard. - Z szesnastego stulecia, jak sędzę. Ale teraz jest to zwyczajny dom. Zawsze uważałem, że powinien zmienić nazwę.

- Och, nie! - wykrzyknęła Ginger. - To byłoby strasznie niemądre nazwać go Wayside albo Fairview. Myślę, że Błady Koń brzmi znacznie przyjemniej i jest tam też śliczny stary szyld gospody. One wmontowały go w hollu.

- Kto to są "one"? - spytałem.

- Dom należy do Thyrzy Grey - odparła Rhoda. - Nie wiem, czy widziałeś ją dzisiaj. Wysoka kobieta z krótkimi, siwymi włosami.

- Jest zapaloną okultystką - powiedział Despard. - Zajmuje się spirytyzmem, seansami i magią. Nie są to czarne msze, ale coś w tym rodzaju.

Ginger wybuchnęła nagle śmiechem.

- Przepraszam - usprawiedliwiła się. - Wyobraziłam sobie pannę Grey jako panią de Montespan na czarnym, aksamitnym ołtarzu.

- Ginger! - skarciła ją Rhoda. - Nie w obecności pastora!

- Przepraszam, panie Dane Calthrop.

- Nie szkodzi - powiedział pastor promiennie. - Jak to wyrażają starożytni... - jakiś czas mówił po

grecku.

Po pełnej szacunku chwili ciszy przystąpiłem do ataku.

- Wciąż chcę wiedzieć, kto to są "one". Panna Grey i kto jeszcze?

- Och, jest przyjaciółka mieszkająca z nią, Sybil Stamfordis. Działa jako medium. Musisz ją zobaczyć... Cała masa skarabeuszy i paciorków, a czasami wkłada sari... Nie wiem po co. Nigdy nie była w Indiach.

- I jest jeszcze Bella - dorzuciła pani Dane Calthrop. - Ich kucharka. Jest czarownicą. Pochodzi z wioski Little Dunning. Miała tam opinię prawdziwej wiedźmy. To dotyczy rodziny. Jej matka była też czarownicą. - Mówiła to w sposób rzeczowy.

- To brzmi, jakby wierzyła pani w czarownice - zauważyłem.

- Ależ oczywiście! Nie ma w tym nic tajemniczego ani sekretnego. To zupełnie naturalne. To dar rodzinny, który się dziedziczy. Poleca się dzieciom, żeby nie niepokoiły twego kota, ludzie przynoszą ci od czasu do czasu twarożek albo słoik domowego dżemu.

Patrzyłem na nią z powątpiewaniem. Wydawało się, że mówi całkiem poważnie.

- Sybil pomagała nam dzisiaj, przepowiadając przyszłość - rzekła Rhoda. - Siedziała w zielonym namiocie. Jest w tym chyba dobra.

- Przepowiedziała mi wspaniały los - przyznała Ginger. - Bogactwo. Przystojny, ciemnowłose przybysz zza morza, dwóch mężów i sześcioro dzieci. Naprawdę bardzo szczerze.

- Widziałam małą Curtisównę, jak wychodziła, chichocząc - powiedziała Rhoda. - Potem była bardzo powściągliwa wobec swojego chłopaka. Oświadczyła mu, żeby nie myślał, że jest jedynym kamyczkiem na plaży.

- Biedny Tom - wtrącił jej mąż. - Zareagował na to?

- O tak. "Nie wiesz, co ona mnie obiecała. Może nie podobałoby ci się zbytnio, dziewczyno!"

- Brawo Tom.

- Stara pani Parker była bardzo kwaśna - rzekła Ginger, śmiejąc się. - "To wszystko są głupstwa - oświadczyła. - Żebyście w to nie wierzyły". Wtedy jednak pani Cripps zapiszczała: "Wiesz, Lizzie, równie dobrze jak ja, że panna Stamfordis widzi rzeczy, których inni nie potrafią widzieć, a panna Grey zna dzień, w którym nadejdzie śmierć. Nigdy się nie myli. Naprawdę, czasami przechodzą mnie dreszcze". A pani Parker na to: "Przewidywanie śmierci to co innego. To taki dar". Pani Cripps dodała: "W każdym razie nie chciałabym urazić żadnej z tych trzech!"

- To brzmi bardzo ekscytująco. Mam szaloną ochotę spotkać się z nimi - oświadczyła pani Oliver tęsknie.

- Zabierzemy panią do nich jutro - obiecał pułkownik Despard. - Stara gospoda jest rzeczywiście warta obejrzenia. Wprowadziły tam bardzo mądrze wszelkie wygody, nie psując jej charakteru.

- Zadzwoń do Thyrzy jutro rano - powiedziała Rhoda. Muszę przyznać, że poszedłem do łóżka z uczuciem lekkiego rozczarowania.

Blady Koń, który majaczył w mojej wyobraźni jako symbol czegoś nieznanego i ponurego, nie był niczym takim.

Chyba że był gdzieś inny Blady Koń, w zupełnie innym miejscu. Zastanawiając się nad tym pomysłem, zasnąłem.

2

Nazajutrz była niedziela, dzień odpoczynku. Uczucie odprężenia po przyjęciu. Na trawniku markiza i namioty łopotały lekko w podmuchach wilgotnego wiatru, czekając, aż o świcie rozmontują je pracownicy dostawcy żywności. W poniedziałek mieliśmy wszyscy zabrać się do roboty, ocenić zrobione szkody i uporządkować wszystko. Dzisiaj Rhoda zdecydowała mądrze, że najlepiej będzie wyjść tak wcześnie, jak się da.

Poszliśmy do kościoła i wysłuchaliśmy z szacunkiem uczonego kazania pastora Dane Calthropa, opartego na tekście Izajasza, który -jak się wydawało - miał mniej wspólnego z religią niż z historią Persów.

- Idziemy na lunch do pana Venablesa - wyjaśniła potem Rhoda. - Polubisz go, Mark. Jest naprawdę niezwykle interesującym człowiekiem. Był wszędzie i robił wszystko. Zna różne niezwykle rzeczy. Kupił Priors Court trzy lata temu. To, co tam zrobił, musiało kosztować majątek. Przeszedł chorobę Heine-Medina i jest na pół sparaliżowany, tak że musi poruszać się w fotelu na kółkach. To bardzo smutne, ponieważ do czasu choroby był zapalonym podróżnikiem. Oczywiście jest niezwykle bogaty i - jak powiedziałam - urządził ten dom cudownie, a był on kompletnie zrujnowany, rozsypywał się. Te- raz jest pełen przepięknych mebli. Obecnie pana Venablesa interesują głównie salony sprzedaży.

Priors Court był odległy jedynie o kilka mil. Pojechaliśmy tam, a nasz gospodarz wyjechał w fotelu do holu, by nas powitać.

- Miło, że przyjechaliście wszyscy - powiedział serdecznie. - Musicie być wyczerpani po wczorajszym dniu. Cała impreza była wielkim sukcesem, Rhodo.

Pan Venables był człowiekiem około pięćdziesiątki, o szczupłej, jastrzębiej twarzy i haczykowatym nosie, sterczącym arogancko. Miał na sobie koszulę z wykładanym kołnierzykiem, co nadawało mu nieco staroświecki wygląd.

Rhoda dokonała prezentacji.

Venables uśmiechnął się do pani Oliver.

- Spotkałem tę damę wczoraj przy zawodowym zajęciu - powiedział. - Sześć książek z podpisem zapewni mi sześć prezentów gwiazdkowych. Wspaniałe rzeczy pani pisze, pani Oliver. Proszę dać nam ich więcej. Nigdy nie może być za dużo.

Wyszczерzył zęby do Ginger.

- Omal nie wpakowała mi pani wczoraj żywej kaczki, młoda kobieto.

Potem zwrócił się do mnie:

- Podobał mi się pański artykuł w "Review" z ostatniego miesiąca.

- To bardzo uprzejmie z pana strony, że przyszedł pan na festyn - powiedziała Rhoda. - Po przysłanym nam czeku na ogromną sumę nie miałam doprawdy nadziei, że zjawi się pan osobiście.

- Och, świetnie się bawię na takich imprezach. To część życia wiejskiej Anglii. Przyszedłem do domu, ściskając okropną lalkę, wygraną za rzucanie kólkami, i wspaniałą, choć mało prawdziwą, przepowiednię przyszłości, przekazaną mi przez naszą Sybillę, ubraną w ozdobiony świecidełkami turban i prawie tonę przeklętych egipskich paciorków, zawieszonych na szyi.

- Poczciwa, stara Sybil - zauważył pułkownik Despard. - Idziemy tam na herbatę dziś po południu. To interesujący stary dom.

- Błady Koń? Tak. Wolałbym, żeby był nadal gospodą. Czuję, że ma tajemniczą i bardzo brzydką historię. Nie mogło to być przemytnictwo, nie mamy w okolicy morza. Siedziba rozbójników? A może bogaci podróżni spędzali tam noc i nikt ich już więcej nie widział? To raczej banalne zmienić taki dom w przyjemną siedzibę trzech starych panien.

- Och, ja nigdy nie myślę o nich w ten sposób - wykrzyknęła Rhoda. - Sybil Stamfordis, może, ze swoimi sari, skarabeuszami i widzeniem aury wokół głów ludzi jest dosyć śmieszna. Ale Thyrza naprawdę ma w sobie coś budzącego lęk, zgodzi się pan? Wyczuwa się, że zna twoje myśli. Nie mówi, iż ma dar widzenia przyszłości, ale wszyscy twierdzą, że tak jest.

- No i Bella jako żywo nie jest starą panną, pochowała dwóch mężów - dodał pułkownik Despard.

- Serdecznie ją przepraszam - zaśmiał się Venables.

- Co sąsiedzi oceniają złowieszczo - ciągnął pułkownik. - Powiadają, że mężowie narazili się jej, więc rzuciła na nich urok i zaczęli marnieć, aż sczeźli.

- Oczywiście, zapomniałem, ona jest chyba miejscową czarownicą.

- Tak twierdzi pani Dane Calthrop.

- Ciekawa rzecz, magia - powiedział Venables w zamyśleniu. - Na całym świecie spotyka się różne odmiany. Pamiętam, że kiedy byłem w Afryce Wschodniej...

Mówił o tym swobodnie i zajmująco. Opowiadał o zachorach afrykańskich, o mało znanych kultach na Borneo. Obiecał, że po lunchu pokaże nam maski zachodnioafrykańskich czarowników.

- W tym domu jest wszystko - oznajmiła Rhoda ze śmiechem.

- No cóż - wzruszył ramionami - jeżeli nie możesz pójść wszędzie, wszystko musi przyjść do ciebie. - W jego głosie przez moment odczuwało się gorycz. Rzucił szybkie spojrzenie na swoje sparaliżowane nogi. - "Świat jest pełen różnych spraw" - zacytował. - Myślę, że to zawsze było moją zgubą. Tyle chcę poznać i widzieć! Prawda, w swoim czasie nie robiłem mało. A nawet teraz życie ma swoje uroki.

- Dlaczego tutaj? - spytała nagle pani Oliver.

Pozostali byli lekko zażenowani, jak ludzie, którym majaczy wspomnienie tragedii. Sama pani Oliver nie była speszona. Pytała, bo chciała wiedzieć. Jej szczerą ciekawość przywróciła niefrasobliwą atmosferę.

Venables popatrzył na nią pytająco.

- Chciałam powiedzieć - wyjaśniła - dlaczego osiedlił się pan tutaj, w tej okolicy? Tak daleko od toczących się zdarzeń. Może ma pan tu przyjaciół?

- Nie. Wybrałem te strony, jeżeli to panią ciekawi, właśnie dlatego, że nie mam tu przyjaciół. - Nikły, ironiczny uśmiech przemknął przez jego wargi.

Byłem ciekaw, jak dalece wpłynęło na niego kalectwo. Czy utrata możliwości nieskrępowanego poruszania się, swobody poznawania świata zraniła głęboko jego duszę? A może zdołał się przystosować do zmienionych warunków ze względny spokojem, z prawdziwą wielkością ducha?

Venables zareagował tak, jakby czytał w moich myślach.

- W swoim artykule rozważa pan termin "wielkość", porównując różne znaczenia przypisywane mu na Wschodzie i Zachodzie. Ale co rozumiemy dzisiaj, tu w Anglii, przez określenie "wielki człowiek"?

- Na pewno wielkość rozumu, a także siłę moralną. Popatrzył na mnie, a oczy mu się zaiskrzyły. - A zatem nie istnieje zły człowiek, którego można określić mianem wielkiego?

- Oczywiście, że istnieje! - wykrzyknęła Rhoda. - Napoleon i Hitler, i... och, cała masa innych. To byli wielcy ludzie.

- Ze względu na skutki ich działalności? - spytał Despard. - Gdyby jednak poznać ich osobiście, ciekaw jestem, czy odniosłoby się takie wrażenie.

Ginger pochyliła się do przodu i przesunęła palcami po swojej marchewkowej czuprynie.

- To interesująca myśl - powiedziała. - Może wydawaliby się żalonymi, małymi postaciami.

Puszającymi się, pozującymi, mającymi poczucie małej wartości, zdecydowanymi zostać kimś, nawet za cenę obalenia otaczającego ich świata?

- O nie! - zawołała Rhoda porywczo. - Nie potrafiliby uzyskać takich rezultatów, gdyby tacy byli.

- Nie wiem - rzekła pani Oliver. - Mimo wszystko najgłupsze dziecko potrafi z łatwością podpalić dom.

- Zaraz, zaraz - powiedział Venables. - Naprawdę nie potrafię zgodzić się z tym współczesnym umniejszaniem znaczenia zła, jakby ono naprawdę nie istniało. Zło jest. I zło jest potężne. Czasem potężniejsze niż dobro. Jest tutaj. Musi zostać rozpoznane i pokonane. W przeciwnym razie... - rozłożył ręce - powędrujemy w ciemność.

- Oczywiście uczyłam się o diable - rzekła pani Oliver, tłumacząc się. - To znaczy: wierzę w jego istnienie. Ale wie pan, on zawsze wydawał mi się taki niemądry. Z kopytami i ogonem, i tym wszystkim. Płásający jak aktor. Często w moich książkach występuje mistrz zbrodni - ludzie to lubią - ale naprawdę mam coraz trudniejsze zadanie. Dopóki nie wiadomo, kim on jest, wywiera głębokie wrażenie, ale kiedy wszystko wychodzi na jaw, staje się nieadekwatny. Przynosi pewnego rodzaju rozczarowanie. Jest znacznie łatwiej, jeśli masz dyrektora banku, który sprzeniewierzył fundusze, albo męża pragnącego pozbyć się żony i ożenić się z guwernantką swoich dzieci. To znacznie naturalniejsze, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Wszyscy się roześmieli i pani Oliver dodała przepaszająco:

- Wiem, że nie wyjaśniłam tego dobrze - ale zrozumieliście, o co mi chodzi?

Zgodziliśmy się, że wiemy dokładnie, co chce powiedzieć.

VI. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Było już po czwartej, kiedy opuściliśmy Priors Court. Po wyśmienitym lunchu Venables oprowadził nas po domu. Znajdował prawdziwą przyjemność w pokazywaniu nam swoich ruchomości. Był to prawdziwy skarbiec.

- On musi opływać w forszę - zauważyłem, kiedy wreszcie wyruszyliśmy w drogę. - Te jadeity, afrykańskie rzeźby, nie mówiąc o porcelanie miśnieńskiej i z Bow. Jesteście szczęśliwi, mając takiego sąsiada.

- Sądysz, że nie wiemy? - powiedziała Rhoda. - Tutejsi ludzie są przeważnie mili, ale zdecydowanie nudni. Pan Venables w porównaniu z nimi jest po prostu egzotyczny.

- W jaki sposób doszedł do takich pieniędzy? - zapytała pani Oliver. - A może miał je zawsze?

Despard zauważył kwaśno, że w dzisiejszych czasach nikt nie mógłby się poszczycić odziedzczeniem wielkiej sumy. Zawdzięcza się to podatkowi spadkowemu i innym należnościom.

- Ktoś mi mówił - dodał - że on zaczynał jako robotnik portowy, ale wydaje się to mało prawdopodobne. Nigdy nie opowiada o dzieciństwie ani o rodzinie. - Zwrócił się do pani Oliver. - Oto Tajemniczy Człowiek dla pani...

Pani Oliver oświadczyła, że ludzie ofiarowują jej zawsze rzeczy, których nie potrzebuje...

Blady Koń był budynkiem w połowie drewnianym (ta część była autentyczna, nie podrabiana). Stał nieco w głębi, przy głównej ulicy wioski. Zza muru widać było ogród, co nadawało mu przyjemny, staroświecki wygląd.

Byłem rozczarowany i oznajmiłem to.

- Nie jest wystarczająco ponury. Żadnej atmosfery.

- Poczekaj, aż wejdiesz - rzekła Ginger.

Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy w kierunku drzwi, które otworzyły się w chwili, gdy się zbliżyliśmy.

Na progu stała panna Thyrza Grey, wysoka, nieco męska postać w tweedowym kostiumie. Miała zmierzwiłone siwe włosy nad wysokim czołem, wielki, haczykowaty nos i bardzo przenikliwe, jasnoniebieskie oczy.

- No, wreszcie przyszliście - powitała nas serdecznie basowym głosem. - Myślałam, że zabłądziliście.

Za odzianymi w tweed ramionami dostrzegłem majaczącą w ciemnościach holu twarz. Dziwną, bezkształtną, jakby ulepioną z gliny przez dziecko zabłąkane w pracowni rzeźbiarskiej. Pomyślałem, że takie twarze spotyka się wśród tłumu w prymitywnym malarstwie włoskim lub flamandzkim.

Rhoda przedstawiła nas i wyjaśniła, że byliśmy na lunchu u pana Venablesa w Priors Court.

- Ach! - powiedziała panna Grey. - To wyjaśnia wszystko. Jedzonko. Ten jego włoski kucharz! I wszystkie te skarby nad skarbami. Och, wiem, biedak musi mieć coś, co go cieszy. Ale proszę wejść, proszę. Jesteśmy dumne z naszego małego domku. Piętnasty wiek, a częściowo czternasty.

Hol był niski i ciemny, z krętymi schodami, prowadzącymi na górę. Znajdował się tam wielki kominek, a ściany były obwieszane obrazami.

- To szyld starej gospody - wyjaśniła panna Grey, zauważywszy moje spojrzenie. - W tym świetle nie zobaczy pan wiele. Blady Koń.

- Zamierzam wam go wyczyścić - powiedziała Ginger. - Już to proponowałam. Proszę mi pozwolić, a będzie pani zaskoczona.

- Mam pewne wątpliwości - odparła Thyrza Grey i dodała bez ogródek: - A jeśli to go zniszczy?

- W żadnym wypadku - oświadczyła Ginger z oburzeniem. - Na tym polega moja praca. Pracuję w London Galleries - wyjaśniła mi. - To wielka przyjemność.

- Odświeżanie obrazów staje się po trosze zwyczajem - zauważyła Thyrza. - Zatyka mnie za każdym razem, kiedy idę do Galerii Narodowej. Wszystkie obrazy wyglądają jak wykąpane w najnowszym detergencie.

- Chyba nie woli pani, żeby były ciemne i w brunatnym sosie - zaprotestowała Ginger. Przyjrzała się bacznie szyldowi. - Może wyjść znacznie więcej. Koń może mieć jeźdźca.

Zacząłem oglądać tablicę razem z nią. Był to prymitywny malunek, nie posiadający większej wartości, oprócz tej jednej, wątpliwej, że był stary i brudny. Błada sylwetka ogiera odbijała od ciemnego, nieokreślonego tła.

- Halo, Sybil - zawołała Thyrza. - Ci goście obgadują naszego Konia, co za impertynencja!

Panna Sybil Stamfordis dołączyła do nas.

Była wysoką, smukłą kobietą, z ciemnymi, tłustymi włosami, rybimi ustami i skłonnością do wdzięczenia się. Nosila szmaragdowozielone sari, które nie dodawało jej uroku. Głos miała słaby i drżący.

- Nasz najmilszy Koń - powiedziała. - Zakochałyśmy się w tym starym szyldzie, jak tylko go zobaczyłyśmy. Myślę, że wpłynął na naszą decyzję kupna domu. Prawda, Thyrzo? Ale proszę bardzo, wejdźcie.

Pokój, do którego nas wprowadziła, mały, kwadratowy, w swoim czasie prawdopodobnie służył jako bar. Obecnie, umeblowany w stylu chippendale, był zdecydowanie kobiecą wiejską bawialnią. Stały tam wazon z chryzantemami.

Z kolei zostaliśmy zabrani do ogrodu, który - jak się domyślałem - mógł być czarujący w lecie, i następnie zaprowadzeni znowu do domu, gdzie nakryto do herbaty. Podano kanapki i domowe ciasto, a kiedy usiedliśmy, stara kobieta, której twarz mignęła mi przez moment w holu, weszła, niosąc srebrny czajnik z herbatą. Była ubrana w zwykły, ciemnozielony kitel. Wrażenie, że jej głowa została ulepiona niezdarnie z plasteliny przez dziecko, potwierdziło się po bliższym obejrzeniu. Miała tępą, prymitywną twarz, nie potrafiłem jednak zrozumieć, dlaczego wydała mi się ponura.

Nagle poczułem się zły na siebie. Te wszystkie bzdury o przebudowanej gospodzie i trzech kobietach w średnim wieku!

- Dziękuję, Bello - powiedziała Thyrza.

- Masz to, co chciałaś? Zabrzmiało to jak mamrotanie.

- Tak, dziękuję.

Bella skierowała się do drzwi. Nie popatrzyła na nikogo, ale tuż przed wyjściem podniosła oczy i

rzuciła szybkie spojrzenie na mnie. W tym spojrzeniu coś mnie zaskoczyło, choć trudno mi sprecyzować, co. Była w nim złośliwość i dziwnie intymna wiedza. Poczułem, że bez wysiłku, a nawet niemal bez żadnego zainteresowania z jej strony, ta kobieta zna dokładnie moje myśli.

Thyrza Grey zauważyła moją reakcję.

- Bella wprawia człowieka w zakłopotanie - rzekła cicho. - Zwróciłam uwagę, jak patrzyła na pana.

- Ona pochodzi stąd, prawda? - dołożyłem starań, by wykazać tylko uprzejme zainteresowanie.

- Tak. Nie wątpię, że musiano pana poinformować, iż jest lokalną czarownicą.

Sybil Stamfordis zabrzączała paciorkami.

- Muszę się panu zwierzyć, panie... ee...

- Easterbrook.

- Easterbrook. Usłyszał pan - jestem pewna - że my wszystkie uprawiamy czary. Niech się pan przyzna. Mamy taką opinię...

- Nie bez powodu - wtrąciła Thyrza. Wydawała się ubawiona. - Sybil posiada wspaniały dar.

Sybil westchnęła z zadowoleniem.

- Zawsze pociągał mnie okultyzm - mruknęła. - Już jako dziecko zauważyłam, że posiadam niezwykłą siłę. Automatyczne pisanie wy- stąpiło u mnie w sposób naturalny. Nie wiedziałam nawet, o co chodzi. Po prostu siedziałam z ołówkiem w ręce i nie miałam pojęcia, co się dzieje. Oczywiście zawsze byłam nadwrażliwa. Kiedyś na podwieczorku w domu przyjaciółki zasłabłam. Okazało się, że w tym pokoju wydarzyło się coś strasznego. Wyczułam to! Później sprawa się wyjaśniła. Dwadzieścia pięć lat wcześniej popełniono tam morderstwo. I to właśnie w tym pokoju! - Pokiwała głową i rozejrzała się wokoło z ogromną satysfakcją.

- Nadzwyczajne - oświadczył pułkownik Despard z uprzejmym niesmakiem.

- W tym domu zdarzały się złowieszcze historie - powiedziała Sybil tajemniczo. - Podjęliśmy jednak konieczne działania. Związane duchy zostały uwolnione.

- Coś w rodzaju wiosennych porządków duchowych? - podsunąłem.

Sybil popatrzyła na mnie podejrzliwie.

- Sari, które pani nosi, jest w cudownym kolorze - rzekła Rhoda. Sybil rozpromieniła się.

- Tak, dostałam je, gdy byłam w Indiach. To był ciekawy okres. Badałam jogę i podobne rzeczy. Nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że to wszystko jest zbyt wydumane, nie dość naturalne i prymitywne. Jestem jedną z niewielu kobiet, które odwiedziły Haiti. Czułam, że trzeba wrócić do

początku, do sił macierzystych. Tam człowiek styka się z pierwotnym źródłem wiedzy tajemnej. Pokrytym, być może, pewnym zepsuciem i zafałszowaniem. Ale korzenie okultyzmu tkwią właśnie tam. Pokazano mi bardzo dużo, zwłaszcza gdy dowiedzieli się, że mam siostry bliźniaczki, nieco starsze niż ja. Powiedziano mi, iż dziecko urodzone po bliźniętach jest obdarzone szczególną siłą. Ciekawe, prawda? Ich tańce śmierci są cudowne. Pełny ceremoniał, czaszki i skrzyżowane piszczele, i narzędzia grabarza, łopata, kilof i motyka. Są ubrani jak karawaniarze, w cylindry i czarne ubrania... Wielkim Mistrzem jest Baron Samedi, a wzywany bogiem - Legba, bóg "łamiący bariery". Wysyłasz śmierć - powodujesz śmierć. Niesamowita myśl, prawda? Jeszcze to. - Sybil wstała i wzięła z okna jakiś przedmiot. - To jest mój Asson. Jest to wysuszona tykwa z siecią paciorków i - widzicie te cząstki? - z kręgosłupem węża.

Popatrzyliśmy uprzejmie, choć bez entuzjazmu. Sybil zagrzechotała czule swoją wstrętną zabawką.

- Bardzo interesujące - oświadczył grzecznie Despard.

- Mogłabym opowiedzieć wam znacznie więcej...

W tym momencie moje myśli zaczęły błądzić. Słowa docierały do mnie mgliście, podczas gdy Sybil popisywała się swoją wiedzą o czarach i wudu - mistrz Carrefour, Coa, rodzina Guide...

Odwrociłem się i spostrzegłem, że Thyrza przygląda mi się pytająco.

- Nie wierzy pan w nic z tego - stwierdziła cicho. - Ale jest pan w błędzie. Nie da się uznać wszystkiego za zabobon, strach czy religijny fanatyzm. Istnieją nadziemskie prawdy i nadziemskie moce. Zawsze były i będą.

- Nie sądzę, bym chciał o tym dyskutować - odparłem.

- Mądry człowiek. Chodźmy obejrzyć moją bibliotekę. Wyszliśmy przez francuskie okno do ogrodu i podążyliśmy wzdłuż ściany domu.

- Zrobiłyśmy ją ze starych stajen - wyjaśniła.

Stajnie i oficyny zostały przebudowane na jeden wielki pokój. Jedna ze ścian była w całości zapełniona książkami. Podeszedłem do nich i aż krzyknąłem.

- Ma pani tu trochę rarytasów, panno Grey. Czy to oryginał "Malleus Maleficorum"? Daję słowo, ma pani tu skarby.

- Rzeczywiście mam.

- Ten Grimoire... bardzo rzadka rzecz.

Zdejmowałem z półek jeden tom po drugim. Thyrza obserwowała mnie. Można było wyczuć jej cichą satysfakcję, której nie rozumiałem.

Odłożyłem właśnie z powrotem "Sadducismus Triumphatus", kiedy Thyrza powiedziała:

- Miło jest spotkać kogoś, kto potrafi docenić te skarby. Większość ludzi ziewa albo gapi się.

- Nie ma zapewne wielu dzieł o magii, czarach i podobnych sprawach, których pani nie zna. Co pierwotnie wywołało pani zainteresowanie tym tematem?

- Trudno powiedzieć... To trwa już tak długo... Zaczyna się od niechęci i... nagle to wciąga! Fascynująca sprawa. W co też ci ludzie wierzą i jakie cholerne głupstwa robią!

Roześmiałem się.

- To pocieszające. Rad jestem, że nie wierzy pani we wszystkie czytane historie.

- Nie musi mnie pan sądzić według biednej Sybil. O tak, widziałam, jak pan patrzy na nią z wyższością. Myli się pan jednak. Pod wieloma względami jest głupią kobietą. Bierze wudu, demonologię i czarną magię i robi z tego wspaniały okultystyczny bigos, ale posiada moc.

- Moc?

- Nie wiem, jak mógłby pan to nazwać... Pewni ludzie są żyjącym mostem między tym światem a światem dziwnych, tajemniczych sił. Sybil jest taką osobą. Jest znakomitym medium. Nigdy nie robi tego dla pieniędzy. Ale jej dar jest zupełnie wyjątkowy. Kiedy ona, ja i Bella...

- Bella?

- O tak. Bella ma również zdolności. Wszystkie je posiadamy, choć w różnym stopniu. Jako zespół... Przerwała.

- Czarownice, Spółka z o.o. - podsunąłem z uśmiechem.

- Można to tak nazwać.

Spojrzałem na tom, który trzymałem w ręku.

- Nostradamus i tak dalej?

- Nostradamus i tak dalej.

- Pani w to wierzy? - spytałem spokojnie.

- Ja nie wierzę. Ja wiem - powiedziała z triumfem.

- Jak to? Dlaczego? Z jakiego powodu? Wyciągnęła rękę ku półkom z książkami.

- Z powodu tego wszystkiego! Tyle nonsensów! Śmieszna, pompatyczna frazeologia! Ale wystarczy odrzucić zabobony i przesady epoki i to, co pozostanie, jądro, jest prawdą! Trzeba tylko ubrać je

odpowiednio - zawsze się to robiło - a uczyni wrażenie na ludziach.

- Nie jestem pewien, czy nadążam za panią.

- Drogi panie, dlaczego ludzie przez całe stulecia chodzą do czarnoksiężników, magów, znachorów? Wyłącznie z dwóch powodów. Są tylko dwie rzeczy, pożądane tak silnie, że warto zaryzykować potępienie wieczne. Napój miłosny i kielich trucizny.

- Ach!

- To proste, prawda? Miłość i śmierć. Napój miłosny - zdobycie upragnionego człowieka - czarna msza - zatrzymanie kochanka. Napój trzeba zażyć podczas pełni księżyca. Wymienić imiona diabłów lub demonów. Nakreślić ich symbole na podłodze lub ścianie. Afrodyzjakiem w napoju jest prawda.

- A śmierć?

- Śmierć? - zaśmiała się, a ten dziwny śmiech zrobił na mnie nieprzyjemne wrażenie. - Interesuje się pan śmiercią?

- Któż nie jest ciekawy - odparłem lekko.

- Zastanawiam się - rzuciła na mnie bystre, badawcze spojrzenie. Zaskoczyło mnie to. - Śmierć. Na to był zawsze większy popyt niż na napoje miłosne. A jednak - jakie to wszystko było kiedyś dziecinne! Borgiowie i ich słynne tajemnicze trucizny. Wie pan, czego naprawdę używali? Zwykłego arszeniku. Takiego samego, jakim posługuje się nędzny morderca żony w bocznej uliczce. Dzisiaj nastąpił wielki postęp w tej dziedzinie. Nauka rozszerzyła granice.

- Trucizny nie pozostawiające śladu? - mój głos zabrzmiał sceptycznie.

- Trucizny! Stary numer. Dziecinada. Otworzyły się nowe horyzonty.

- Na przykład?

- Umysł. Świadomość, czym jest umysł, co może działać, co potrafi zrobić.

- Proszę mówić dalej. To niezwykle interesujące.

- Zasada jest dobrze znana. Znachorzy korzystali z niej od stuleci w prymitywnych społecznościach. Nie musisz zabijać swojej ofiary. Wystarczy jej powiedzieć, że umrze.

- Sugestia? Działa tylko wtedy, gdy ofiara w nią wierzy.

- Chce pan powiedzieć, że nie działa w wypadku Europejczyków - poprawiła mnie. - Czasami działa. Ale nie w tym rzecz. Doszliśmy dalej, niż kiedykolwiek się udało jakiemuś znachorowi. Drogę wskazali psychologowie. Tęsknota za śmiercią. To tkwi w każdym. Nie przestaje działać. Wpływa na pragnienie śmierci.

- Ciekawy pomysł - mówiłem z łagodnym zainteresowaniem naukowca. - Wpłynięcie na podmiot, by popełnił samobójstwo? O to chodzi?

- Wciąż pan nie nadaża. Słyszał pan o chorobie powstrząsowej?

- Oczywiście.

- Ludzie, którzy podświadomie chcą uniknąć pracy, odczuwają prawdziwe dolegliwości. Nie symulują, są naprawdę chorzy ze wszystkimi objawami, prawdziwymi bólami. Są zagadką dla lekarzy przez długi czas.

- Zaczynam się orientować, co pani ma na myśli - powiedziałem wolno.

- Aby zniszczyć podmiot, siła musi być skierowana na jego podświadomość. Pragnienie śmierci, które istnieje w nas wszystkich, musi zostać wzmocnione, zwielokrotnione. - Jej podniecenie rosło. - Czy pan tego nie widzi? Prawdziwa choroba może zostać wywołana, spowodowana przez tę szukającą śmierci jaźń. Chcesz być chory, chcesz umrzeć - a zatem zachorujesz i umrzesz.

Odrzuciła głowę triumfującym ruchem. Nagle poczułem zimno. Naturalnie to wszystko bzdury. Ta kobieta ma lekkiego fioła...

A jednak...

Thyrza Grey zaśmiała się nagle.

- Pan mi nie wierzy, prawda?

- To fascynująca teoria, panno Grey, zupełnie odpowiadająca współczesnym poglądom. Ale jak zamierza pani pobudzić to pragnienie śmierci, które wszyscy posiadamy?

- To moja tajemnica. Ten sposób. Te środki. Istnieje komunikacja bez kontaktu. Pan ma na myśli tylko radio, radar, telewizję. Eksperymenty z pozazmysłową percepcją nie przebiegły tak, jak się spodziewano, ale to dlatego, że nie zrozumiano pierwszej prostej zasady. Potrafisz dokonać tego czasami przez przypadek, ale kiedy już wiesz, jak to działa, możesz wywołać to zawsze...

- Potrafi pani to zrobić?

Nie odpowiedziała od razu. Potem rzekła, odchodząc:

- Nie może pan żądać, bym wyznała panu wszystkie moje sekrety. Poszedłem za nią do drzwi wychodzących na ogród. - Po co powiedziała mi pani to wszystko?

- Rozumie pan moje książki. Każdy potrzebuje czasami z kimś pogadać. A poza tym...

- Tak?

- Przyszło mi do głowy - Belli też - że pan... że pan może nas potrzebować.

- Potrzebować was?

- Bella uważa, że przyjechał pan tutaj, żeby nas odnaleźć. Ona rzadko się myli.

- Dlaczego miałbym "was odnaleźć", jak to pani określa?

- Tego nie wiem... na razie - odparła Thyrza Grey łagodnie.

VII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

- No, wreszcie was znalazłam! Zastanawialiśmy się, gdzie jesteście

- Rhoda weszła przez otwarte drzwi, a pozostali za nią. Rozejrzała się. - Tu właśnie urządzenie swoje seanse, co?

- Jest pani dobrze poinformowana - zaśmiała się wesoło Thyrza.

- W wiosce każdy zna lepiej cudze sprawy niż własne. Jak słyszałam, mamy tu fatalną reputację. Setki lat temu zostałybyśmy utopione przy próbie splawiania albo posłano by nas na stos. Moja cioteczna prapraprababka, o ile wiem, została spalona w Irlandii jako czarownica. To były czasy!

- Myślałam, że jest pani Szkotką?

- Ze strony ojca - i dlatego umiem czytać przyszłość. Ze strony matki jestem Irlandką. Sybil jest naszą kapłanką, pochodzenia greckiego. Bella reprezentuje Starą Anglię.

- Straszliwy koktajl ludzki - zauważył pułkownik Despard.

- Racja.

- Zabawne! - wtrąciła Ginger.

Thyrza rzuciła na nią szybkie spojrzenie.

- Pod pewnym względem tak. - Zwróciła się do pani Oliver: -Mogłaby pani napisać jedną ze swoich książek na temat morderstwa, które popełniono, posługując się czarną magią. Mogę dostarczyć pani mnóstwo ciekawostek na ten temat.

Pani Oliver zamrugnęła, trochę zakłopotana.

- Piszę tylko o bardzo zwyczajnych morderstwach - powiedziała ze skruchą. Brzmiało to tak, jakby mówiła: "Gotuję tylko zwyczajne potrawy". - Piszę o ludziach, którzy chcą usunąć innych ze swojej drogi i uważają się za dość sprytnych, by tego dokonać.

- Dla mnie są zwykle za mądrzy - wtrącił Despard. Spojrzał na zegarek. - Rhoda, sądzę...

- O tak, musimy iść. Jest znacznie później, niż myślałam.

Po zwykłych podziękowaniach i pożegnaniach wyszliśmy nie przez dom, tylko do bocznej bramy. -
Macie tu dużo drobiu - zauważył pułkownik, zaglądając za drucianą siatkę.

- Nienawidzę kur - wtrąciła Ginger. - Gdaczą tak irytująco.

- To przeważnie koguciki - powiedziała Bella. Pojawiła się przed bocznymi drzwiami.

- Białe koguciki - dodałem.

- Trzymacie je na stół? - zapytał Despard.

- Przydają się nam - rzekła Bella.

Jej usta rozciągnęły się w długą, zakrzywioną linię na okrągłej, nieforemnej twarzy. W oczach
błysnęła przebiegłość.

- To włości Belli - wtrąciła Thyrza lekko.

Gdy się zegnaliśmy, od strony wejściowych drzwi ukazała się Sybil Stamfordis i przyłączyła się do
nas.

- Nie podoba mi się ta kobieta - oświadczyła pani Oliver, kiedy odjechaliśmy. - Nie podoba mi się
ani trochę.

- Nie musi pani brać tak poważnie zacnej Thyrzy - powiedział Despard pobłażliwie. - Bawi się,
wygadując przed wami te wszystkie głupstwa i obserwując efekt.

- Nie myślałam o niej. Jest kobietą bez skrupułów, pilną własnych interesów. Nie jest jednak tak
niebezpieczna, jak ta druga.

- Bella? Muszę przyznać, że jest trochę niesamowita.

- To również nie o nią chodzi. Miałam na myśli tę Sybil. Wydaje się po prostu głupia. Wszystkie te
paciorki i draperie i gadanie o wudu, te opowieści o reinkarnacjach. (Dlaczego pomoce kuchenne czy
brzydkie stare wieśniaczki nigdy nie ulegają reinkarnacji? Zawsze jest to egipska księżniczka albo
piękna niewolnica babilońska. Bardzo podejrzane.) Mimo wszystko, choć ona jest głupia, mam
uczucie, że ta kobieta naprawdę robi coś - powoduje dziwne rzeczy. Nie umiem tego dobrze
wytłumaczyć, wydaje mi się jednak, iż mogłaby zostać wykorzystana do czegoś, właśnie dlatego, że
jest taka głupia. Wątpię, czy ktoś zrozumiał, o co mi chodzi.

- Ja rozumiem - rzekła Ginger. - I nie zdziwiłabym się, gdyby miała pani rację.

- Naprawdę powinniśmy pójść na jeden z ich seansów - powiedziała Rhoda w zadumie. - To

mogłoby być zabawne.

- Nie, nie pójdziesz - odparł twardo Despard. - Nie chcę, żebyś się mieszała w coś takiego.

Zaczęli się sprzeczać ze śmiechem. Ocknąłem się dopiero wtedy, kiedy usłyszałem, jak pani Oliver dopytuje się o poranne pociągi.

- Możesz jechać ze mną - zaproponowałem. Pani Oliver patrzyła z powątpiewaniem.

- Wydaje mi się, że lepiej będzie pociągiem...

- Och, daj spokój. Jeździłaś już ze mną. Jestem bardzo solidnym kierowcą.

- Nie w tym rzecz, Mark. Muszę iść jutro na pogrzeb, więc nie mogę przyjechać do miasta zbyt późno. - Westchnęła. - Nienawidzę pogrzebów.

- A musisz iść?

- W tym wypadku muszę. Mary Delafontaine była moją bardzo starą przyjaciółką... i myślę, że chciałaby, żebym przysłała. Taka już była.

- Oczywiście! - wykrzyknąłem. - Delafontaine... Oczywiście!

Reszta towarzystwa patrzyła na mnie zaskoczona.

- Przepraszam. To tylko... No, zastanawiałem się, gdzie słyszałem ostatnio nazwisko Delafontaine. Od ciebie, prawda? - spojrzałem na panią Oliver. - Mówiłaś coś o odwiedzaniu jej w domu opieki.

- Naprawdę? To bardzo możliwe.

- Na co umarła?

Pani Oliver zmarszczyła brwi.

- Polineuritis toxica, coś w tym rodzaju.

Ginger popatrzyła na mnie z ciekawością. Jej spojrzenie było przenikliwe.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, oznajmiłem nagle:

- Zamierzam się trochę przejść. Tak się najadłem. Wspaniały lunch i jeszcze na dodatek podwieczorek. Trzeba się tego jakoś pozbyć.

Odszedłem szybko, zanim ktokolwiek zdążył zaproponować mi swoje towarzystwo. Bardzo pragnąłem zostać sam i uporządkować myśli.

Co to za historia? Muszę to sobie wyjaśnić. Zaczęło się od przypadkowej, lecz zaskakującej uwagi Poppy, że jeśli "chcesz się kogoś pozbyć", to Błady Koń jest tym miejscem, do którego należy się

udać.

Dalej nastąpiło moje spotkanie z Jimem Corriganem i jego listą nazwisk powiązanych ze śmiercią ojca Gormana. Na tej liście było nazwisko Hesketh-Dubois i nazwisko Tuckerton, przypominające mi ów wieczór w barze kawowym Luigiego. Znajdowało się tam nazwisko Delafontaine, również mętnie znajome. Wspomniała je pani Oliver w związku z chorą przyjaciółką. Chora przyjaciółka teraz nie żyła.

Potem - z jakiegoś powodu, którego nie umiałem ustalić - poszedłem stawić czoło Poppy w jej kwiatowym gniazdku. I Poppy zaprzeczyła gwałtownie, jakoby wiedziała coś o instytucji zwanej Błady Koń. Jeszcze bardziej znamienny był lęk Poppy.

A dzisiaj zobaczyłem Thyrzę Grey.

Z całą pewnością Błady Koń i jego mieszkanki to jedna rzecz, a lista nazwisk to coś zupełnie innego. Dlaczego, na Boga, połączyłem je w mojej świadomości? Dlaczego w jednej chwili wyobraziłem sobie, że jest między nimi jakiś związek?

Pani Delafontaine przypuszczalnie mieszkała w Londynie. Dom Thomasiny Tuckerton znajdował się gdzieś w Surrey. Nikt z tej listy nie miał związku z małą wioską Much Deeping. Chyba że...

Znalazłem się właśnie tuż przy Królewskim Herbie. Był to prawdziwy pub, sprawiający wrażenie pierwszorzędnego, ze świeżo wymalowaną informacją o lunchach, obiadach i podwieczorkach.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Po lewej stronie był bar, jeszcze zamknięty, po prawej małej hol, woniejący zastarzałym dymem. Obok schodów wisiała kartka z napisem "Biuro". Biuro składało się z zamkniętego szczelnie okna i drukowanej kartki: PROSZĘ DZWONIĆ. Cały lokal robił wrażenie opustoszałego, jak zwykle puby o tej porze dnia. Na półce przy oknie biura leżała sfatygowana książka hotelowa. Otworzyłem ją i rzuciłem okiem na strony. Niewiele było zajętych, może pięć lub sześć pozycji tygodniowo, zwykle na jedną noc. Przerzucałem strony, zwracając uwagę na nazwiska.

To było tuż przed zamknięciem księgi. Na razie nikt się nie pojawił. Na tym etapie nie chciałem o nic pytać. Wszedłem znowu w ciche, wilgotne popołudnie.

Czy był to tylko zbieg okoliczności, że ktoś nazwiskiem Sandford i ktoś inny, nazywający się Parkinson zatrzymali się w Królewskim Herbie w ciągu ostatniego roku? Oba nazwiska znajdowały się na liście Corriganów. To prawda, ale były też dość pospolite. Zauważyłem jednak inne nazwisko - Martin Digby. Jeżeli to ten, którego znałem, to był on ciotecznym wnukiem kobiety, którą nazywałem ciocią Min, czyli lady Hesketh-Dubois.

Maszerowałem dalej, nie wiedząc, dokąd idę. Koniecznie chciałem porozmawiać z Jimem Corriganem. Albo z Davidem Ardinglym. Albo z Hermią, mającą tyle chłodnego rozsądku. Byłem sam z chaotycznymi myślami, a bardzo tego nie chciałem. To, czego pragnąłem, to było spotkanie kogoś, z kim mógłbym przedyskutować trapiące mnie myśli.

Po półgodzinnej wędrówce błotnistą ścieżką skręciłem do bramy plebanii, poszedłem kiepsko utrzymanym podjazdem i pociągnąłem zardzewiały dzwonek przy frontowych drzwiach.

2

- On nie działa - powiedziała pani Dane Calthrop, ukazując się w drzwiach w niespodziewanym przebłysku geniuszu. Właśnie to podejrzewałem.

- Reperowali go już dwa razy, ale nigdy długo nie działał. Muszę więc być czujna. Na wypadek gdyby było coś ważnego. Ma pan ważną sprawę, prawda?

- To... no cóż... tak, to jest ważne. Chcę powiedzieć, że jest ważne dla mnie.

- Właśnie to miałam na myśli... - popatrzyła na mnie z namysłem. - Tak, widzę, że to dosyć przykre... Z kim się pan chce zobaczyć? Z pastorem?

- Ja... nie jestem pewien...

Chciałem zobaczyć się z pastorem, ale teraz, nieoczekiwanie, zacząłem mieć wątpliwości. Nie miałem pojęcia dlaczego. Pani Dane Calthrop odpowiedziała mi natychmiast.

- Mój mąż jest bardzo zacnym człowiekiem. Oprócz tego, że jest pastorem. I to sprawia czasem trudności. Widzi pan, dobrzy ludzie naprawdę nie rozumieją zła. - Zamilkła, a potem dodała energicznie: - Myślę, że ja jestem bardziej odpowiednia.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Zło jest pani działką?

- Tak jest istotnie. To ważna rzecz wiedzieć o różnych... no... grzechach, które zdarzają się w parafii.

- Czy grzech nie jest domeną pani męża? Jego oficjalnym zainteresowaniem, że tak powiem.

- Odpuszczanie grzechów - poprawiła mnie. - Może udzielić rozgrzeszenia. Ja nie mogę. Natomiast ja potrafię grzechy sklasyfikować i przedstawić mu. A jeśli się zna to wszystko, można zapobiec krzywdzeniu innych ludzi. Nie można pomóc samym ludziom. Ja nie potrafię. Tylko Bóg może wywołać skruchę, jak pan wie - albo i nie wie. Mnóstwo ludzi dzisiaj nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Nie mogę współzawodniczyć z pani wiedzą eksperta, ale chciałbym zapobiec krzywdzeniu ludzi.

Rzuciła mi szybkie spojrzenie.

- A więc to tak? Lepiej niech pan wejdzie i rozgości się. Bawialnia była duża i dosyć zaniedbana. Zacieniały ją potężne wiktoriańskie zarośla, których najwyraźniej nikt nie miał siły przyciąć. Ale ten półmrok nie był ponury z pewnych szczególnych powodów. Przeciwnie, był wręcz uspokajający.

Wszystkie te wielkie, zniszczone krzesła nosiły ślady postaci, które siadywały na nich przez całe lata. Pokażny zegar na kominku tykał głośno z kojącą regularnością. W tym pokoju zawsze był czas, by porozmawiać, powiedzieć to, co się chciało, odpocząć od obowiązków jasnego dnia, tam na zewnątrz.

Domyślałem się, że właśnie tutaj przestraszone dziewczyny, które stwierdziły, iż spodziewają się dziecka, zwierzały się pani Dane Calthrop i otrzymywały rozsądne, choć nie zawsze ortodoksyjne rady, tu rozgniewam krewni wyrzucali z siebie urazy do swoich bliskich, tu matki wyjaśniały, że ich Bob nie jest złym chłopcem, tylko bardzo żywym, i wysyłanie go do domu poprawczego jest absurdem. Tu mężowie i żony wyjawiali swoje małżeńskie kłopoty.

I tutaj ja, Mark Easterbrook, naukowiec, pisarz, człowiek światowy, stałem twarz w twarz z siwowłosą, ogorzałą kobietą o pięknych oczach, gotów powierzyć jej swoje kłopoty. Dlaczego? Nie wiedziałem. Miałem tylko dziwną pewność, że jest ona właściwą osobą.

- Właśnie byliśmy na herbacie u Thyrzy Grey - zacząłem. Przedstawianie swych kłopotów pani Dane Calthrop nie było trudne. Wychodziła rozmówcy naprzeciw.

- Ach, rozumiem. To pana niepokoi. Te trzy kobiety trudno przełknąć, zgadzam się. Sama się zastanawiałam... Za dużo chępliwości. Według mojego doświadczenia prawdziwie nikczemni ludzie nie chwalą się tym. Potrafią ukrywać swoją niegodziwość. Tak jakby ich grzechy nie były prawdziwie złe, jeśli mówią o nich zbyt wiele. Grzech jest taką wstrętną, nikczemną, haniebną małą rzeczą. Koniecznie trzeba zrobić go wspaniałym i ważnym. Wioskowe czarownice są zwykle głupimi, złośliwymi, starymi kobietami, lubiącymi straszyć ludzi i w ten sposób zyskać coś za nic. Oczywiście to bardzo łatwe. Kiedy kury pani Brown zdychają, wystarczy, jeśli pokiwasz głową i powiesz ponuro: "Ach, jej Billy drażnił mojego kiciusia w zeszły wtorek". Bella Webb mogłaby być tylko taką czarownicą. Może jednak-być czymś więcej... Czymś, co istnieje od bardzo wczesnej młodości i pojawia się tu i tam na wsi. To dość przerażające zjawisko, ponieważ jest to prawdziwa złowrogość, a nie tylko chęć wywarcia wrażenia. Sybil Stamfordis to jedna z najgłupszych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałam, ale jest naprawdę medium, cokolwiek to znaczy. Co do Thyrzy - nie wiem... Co ona panu powiedziała? Czy coś z tego właśnie pana zaniepokoiło?

- Ma pani wielkie doświadczenie. Czy na podstawie tego, co pani wie i co pani słyszała, mogłaby pani stwierdzić, że jakaś istota ludzka może zostać unicestwiona na odległość, bez widocznego kontaktu, przez inną istotę ludzką?

Pani Dane Calthrop otworzyła szerzej oczy.

- Kiedy mówi pan "unicestwiona", ma pan na myśli "zabita"? Zwyczajny fakt fizyczny?

- Tak.

- Uznałabym to za nonsens - oświadczyła zdecydowanie.

- Ach! - westchnąłem z ulgą.

- Oczywiście mogą się mylić. Mój ojciec mówił, że samoloty to bzdura, a pradziadek przypuszczalnie uważał za absurd kolej. Obaj mieli rację. W ich czasach były to rzeczy niemożliwe. Nie są jednak niemożliwe teraz. Co robi Thyrza, aktywizuje promienie śmierci czy coś takiego? A może wszystkie trzy rysują pentagramy i wyrażają życzenie śmierci?

Roześmiałem się.

- Potrafi pani wyrażać się precyzyjnie. Muszę przyjąć, że ta kobieta mnie zahipnotyzowała.

- Ależ nie! - zawołała pani Dane Calthrop. - Proszę tego nie robić. Pan nie jest wcale człowiekiem łatwo ulegającym sugestii. Musi być coś jeszcze. Coś musiało zdarzyć się wcześniej.

- Ma pani rację.

Opowiedziałem jej najprościej, jak się dało, o morderstwie ojca Gormana i przypadkowej uwadze o Bładym Koniu w nocnym klubie. Potem wyjąłem listę nazwisk przepisanych z kartki, którą pokazał mi doktor Corrigan.

Pani Dane Calthrop spojrzała na nią i zmarszczyła brwi.

- Rozumiem - powiedziała. - A ci ludzie? Co mają wspólnego z tą sprawą?

- Nie jesteśmy pewni. Może to być szantaż... albo narkotyki...

- Nonsens. Nie to pana niepokoi. Naprawdę uważa pan, że oni wszyscy nie żyją?

Zaczerpnałem głęboko powietrza.

- Tak - odparłem. - Tak właśnie sędzę. Nie wiem jednak tego naprawdę. Trzy osoby nie żyją. Minnie Hesketh-Dubois, Thomasina Tuckerton i Mary Delafontaine. Wszystkie trzy zmarły w łóżkach, z przyczyn naturalnych. To właśnie według Thyrzy może się zdarzyć.

- Chce pan powiedzieć, że ona przypisuje sobie te zgony?

- Nie, nie. Nie mówiła o konkretnych ludziach. Tłumaczyła, że uważa to za naukową możliwość.

- Co wydaje się na pierwszy rzut oka bzdurą - rzekła pani Dane Calthrop w zamyśleniu.

- Wiem. Starłem się tylko być grzeczny i śmiałybym się pod nosem, gdyby nie ta dziwna wzmianka o Bładym Koniu.

- Tak - zadumała się pastorowa. - Błady Koń. To wydaje się znaczące. - Milczała chwilę. Potem podniosła głowę. - To niedobrze. To bardzo niedobrze. Cokolwiek się za tym kryje, trzeba to powstrzymać. Ale pan zdaje sobie z tego sprawę.

- No tak... Ale co można zrobić?

- To będzie pan musiał wymyślić. Nie ma czasu do stracenia. -Pani Dane Calthrop wstała. - Musi pan dotrzeć do tego natychmiast. - Zastanowiła się. - Nie ma pan jakiegoś przyjaciela, który mógłby panu pomóc?

Zamyśliłem się. Jim Corrigan? Zajęty człowiek, nie mający zbyt wiele czasu, przypuszczalnie robi już wszystko, co się da. David Ardingly? Ale czy uwierzy choć w jedno słowo? Hermia? Tak, była Hermia. Jasny umysł, godna podziwu logika. Prawdziwa ostoja, jeśli da się ją przekonać, by została moim sprzymierzeńcem. Ostatecznie ona i ja... Nie dokończyłem myśli. Hermia była moim oparciem. Hermia była właściwą osobą. - Znalazł pan kogoś? Dobrze. - Pani Dane Calthrop mówiła energicznie i rzeczowo. - Ja będę miała na oku te trzy czarownice. Wciąż mam uczucie, że one są... że w jakiś sposób nie stanowią właściwej odpowiedzi. Na przykład ta Stamfordis wygaduje mnóstwo idiotyzmów na temat tajemnic Egipcjan i prorocत्व z tekstów piramid. Wszystko, co mówi, to czyste banialuki, ale piramidy, teksty oraz tajemnice świątyń przecież istnieją. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Thyrza Grey złapała coś, odkryła albo usłyszała jakąś rozmowę i używa tego w jakimś okropnym galimatiasie, aby podnieść swoją ważność i kontrolować tajemne siły. Ludzie bywają tak dumni ze swojej niegodziwości. Dziwne, że dobrzy ludzie nigdy nie szczyją się swoimi zaletami. Przypuszczam, że dzięki chrześcijańskiej pokorze. Nie wiedzą nawet, że są dobrzy.

Milczała chwilę.

- To, czego potrzebujemy naprawdę, to jakieś ogniwo. Ogniwo, łączące te nazwiska i Białego Konia. Coś konkretnego.

VIII

Inspektor Lejeune na dźwięk znanej melodii "Ojciec O'Flynn", gwizdanej w korytarzu, podniósł głowę. Do pokoju wszedł doktor

Corrigan.

- Przykro mi, że nie zadowolę wszystkich - powiedział - ale kierowca tego jaguara nie miał alkoholu we krwi... To, co konstabl Ellis wywąchał, musiało być tworem jego imaginacji lub nieświeżym oddechem.

Lejeune nie był w tej chwili zainteresowany codzienną serią wykroczeń drogowych.

- Chodź i rzuć okiem na to.

Corrigan wziął wręczony mu list. Był napisany drobnym, ładnym pismem. Nadano go w Everest, Glendower Close, Bournemouth.

Drogi inspektorze Lejeune.

Przypomina pan sobie być może, że prosił pan mnie o kontakt, gdyby zdarzyło mi się zobaczyć

mężczyznę, który szedł za ojcem Gormanem tego wieczoru, kiedy został zabity. Obserwowałem pilnie okolice mego zakładu, ale nigdy nawet mi nie mignął.

Wczoraj jednak byłem obecny na festynie kościelnej w wiosce odległej o około dwadzieścia mil. Przyciągnęła mnie wiadomość, że pani Oliwer, znana autorka powieści kryminalnych, zamierza podpisywać tam swoje książki. Jestem wielkim miłośnikiem historii detektywistycznych i chciałem zobaczyć tę damę we własnej osobie.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu ujrzałem tam człowieka, którego panu opisałem jako mijającego mój sklep w wieczór zabójstwa ojca Gormana. Od tego czasu musiał mieć wypadek, ponieważ tym razem poruszał się w fotelu inwalidzkim. Dyskretnie wypytałem o niego i okazało się, że jest tamtejszym mieszkańcem, nazywa się Venables. Miejscem jego zamieszkania jest Pñors Court, Much Deeping. Mówiono o nim, że posiada znaczny majątek.

Mam nadzieję, że te szczegóły się panu przydadzą.

Oddany

Zachariah Osborne

- No? - spytał Lejeune.

- Brzmi zupełnie nieprawdopodobnie - ostudził jego zapał Corrigan. - Na pierwszy rzut oka, może. Jednak nie jestem pewny...

- Ten facet, Osborne... Przecież nie mógł widzieć niczyjej twarzy wyraźnie w tak mglisty wieczór jak wtedy. Wydaje mi się, że to tylko przypadkowe podobieństwo. Wiesz, jacy są ludzie. Dzwonią z końca kraju, żeby powiedzieć, iż widzieli zaginioną osobę, i dziewięć razy na dziesięć nie ma podobieństwa nawet do rysopisu.

- Osborne nie jest taki - odparł Lejeune. ' - A jaki?

- Szacowny, elegancki aptekarz, staroświecki, prawdziwa indywidualność i dobry obserwator. Jednym z jego marzeń jest zgłosić się i zidentyfikować truciciela żony, który nabył arszenik w jego aptece.

Corrigan zaśmiał się.

- W tym wypadku jest to czysty przykład pobożnych życzeń.

- Może.

Corrigan popatrzył na inspektora z ciekawością.

- Więc ty uważasz, że w tym coś jest? Co zamierzasz zrobić?

- Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli zasięgnę dyskretnie informacji o tym panu Venables z... -
zajrzał do listu - z Priors Court, Much Deeping.

IX. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

- Cóż za ekscytujące rzeczy dzieją się na wsi! - powiedziała Hermia lekko.

Skończyliśmy właśnie obiad. Stał przed nami dzbanek czarnej kawy.

Spojrzałem na nią. Nie były to słowa, których się spodziewałem. Przez ostatnie piętnaście minut opowiadałem jej swoją historię. Słuchała inteligentnie i z zainteresowaniem. Ale odpowiedź nie była wcale taka, jakiej oczekiwałem. W jej głosie brzmiało pobłażanie, nie wydawała się ani zaszokowana, ani poruszona.

- Ludzie utrzymujący, że wieś jest nudna, a miasto pełne atrakcji, nie wiedzą, o czym mówią -
ciągnęła. - Ostatnie czarownice ukrywają się w walącym się domu, czarne msze są celebrowane w
odludnych dworach przez młodych dekadentów. Przesady pienią się w odciętych od świata
wioseczkach. Stare panny w średnim wieku pobrzękują fałszywymi skarabeuszami i urządzają
seanse, a ołówki biegają niesamowicie nad pustymi kartkami papieru. Można napisać o tym
wszystkim bardzo zabawną serię artykułów. Dlaczego nie wypróbujesz swojego pióra?

- Nie sądzę, byś naprawdę zrozumiała, co ci opowiedziałem, Hermio.

- Ależ zrozumiałam, Mark! Myślę, że to jest niezwykle interesujące. Jest to stronica wyjęta z historii,
ginącej, zapomnianej wiedzy średniowiecza.

- Nie interesuje mnie historia - powiedziałem z irytacją. - Interesują mnie fakty. Lista nazwisk na
kartce. Wiem, co się stało z niektórymi z tych ludzi. A co się dzieje lub co się stało z resztą?

- Czy czasami nie dajesz się ponieść fantazji?

- Nie - oświadczyłem uparcie. - Myślę, że niebezpieczeństwo jest realne. Nie jestem odosobniony w
tej opinii. Żona pastora zgadza się ze mną. - Och, żona pastora! - w głosie Hermii brzmiała pogarda.

- Nie, nie "żona pastora"! To naprawdę niezwykła kobieta. Cała sprawa jest faktem, Hermio.

Hermia wzruszyła ramionami.

- Być może.

- Ale ty tak nie uważasz?

- Sądzę, że trochę cię poniosła wyobraźnia. Nie wątpię, że twoje panusie w średnim wieku są

szczerze i same w to wierzą. Jestem pewna, że są okropnymi starymi babami.

- Ale nie są złowieszcze?

- Doprawdy, Mark, jak mogłyby być?

Chwilę panowała cisza. Moje przekonanie zachwiało się - zwróciło się od światła ku ciemności i z powrotem. Ciemność reprezentował Błady Koń, światło - Hermia. Zaczne, codzienne,, rozsądne światło, żarówka mocno osadzona w oprawce, oświetlająca wszystkie ciemne kąty. Nie było nic, nic zupełnie, tylko zwykłe przedmioty, zawsze znajdujące się w pokoju. Jednak... jednak... światło Hermii, które mogło wydobywać z mroku rzeczy, było światłem sztucznym.

Moje przekonanie wróciło zdecydowanie, uparcie...

- Chciałbym to zbadać, Hermio. Dotrzeć do sedna sprawy.

- Zgadzam się. Myślę, że powinieneś. To mogłoby być interesujące. Naprawdę dosyć zabawne.

- Nie zabawne! - powiedziałem ostro. - Chciałem cię prosić o pomoc, Hermio.

- Pomoc? Jaką pomoc?

- Pomoc w śledztwie. W dobraniu się do istoty sprawy.

- Ależ Mark, kochanie, właśnie w tej chwili jestem okropnie zajęta. Muszę napisać artykuł do "Journala". I ta rzecz o Bizancjum. No i obiecałam dwóm moim studentom...

Jej głos płynął - rozsądny, praktyczny, a ja ledwie słuchałem.

- Rozumiem - przerwałem. - Masz za wiele na talerzu.

- Właśnie.

Moje zrozumienie wyraźnie przyniosło Hermii ulgę. Uśmiechnęła się do mnie. Jeszcze raz uderzyła mnie jej pobłażliwość. Taka pobłażliwość, jaką może okazać matka, widząc swego synka zajętego nową zabawką.

Do diabła z tym, ja nie byłem małym chłopcem. Nie szukałem matki, a na pewno nie takiej matki. Moja własna matka była urocza i bezradna i każdy łącznie z jej synem uwielbiał się nią zajmować. Obserwowałem Hermie przez stół zupełnie trzeźwo.

Przystojna, dojrzała, inteligentna, odcytana! I tak bardzo - jak to wytłumaczyć? - i tak piekielnie nudna.

Następnego dnia próbowałem złapać Jima Corrigan - bez powodzenia. Zostawiłem jednak informację, że będę w domu między szóstą a siódmą, gdyby zechciał wpaść na drinka. Był człowiekiem zajęтым i wątpiłem, czy będzie w stanie przyjść z powodu tak krótkiej notatki, zjawił się jednak za dziesięć siódma. Podczas gdy przygotowywałem mu whisky, przechadzał się, oglądając moje obrazy i książki. W końcu zauważył, że nie miałby nic przeciwko stanowisku Wielkiego Mogoła zamiast funkcji wykorzystywanego i przepracowanego lekarza policyjnego.

- Chociaż śmiem twierdzić - zauważył, usiadłszy - że oni mieli sporo kłopotów z kobietami. Ja przynajmniej tego uniknąłem.

- A więc nie jesteś żonaty?

- Nie ma obawy! Podobnie jak ty, wniosując z wygodnego bałaganu, w jakim żyjesz. Żona uprzątnełaby to wszystko natychmiast.

Powiedziałem mu, że nie sędzę, by kobiety były tak złe, jak on je przedstawia.

Usiadłem z moim drinkiem na krześle naprzeciw niego i zacząłem:

- Jesteś pewnie ciekaw, dlaczego tak nagle chciałem cię złapać, ale szczerze mówiąc, pojawiło się coś, co może odnosić się do sprawy, o której dyskutowaliśmy, spotkawszy się ostatnio.

- Co to było?... Ach, naturalnie... Sprawa ojca Gormana.

- Tak... Ale najpierw, czy mówi ci coś nazwa Blady Koń?

- Blady Koń... Blady Koń... Nie, chyba nie - a dlaczego?

- Ponieważ myślę, że może pozostawać w związku z listą nazwisk, którą mi pokazałeś. Byłem na wsi u przyjaciół w miejscowości Much Deeping i oni zabrali mnie do starego pubu, a raczej dawnego pubu, nazywającego się Blady Koń.

- Zaczekaj! Much Deeping? Much Deeping... Czy to gdzieś w pobliżu Bournemouth?

- Około piętnastu mil od Bournemouth.

- Przypuszczam, że nie spotkałeś tam nikogo nazwiskiem Venables?

- Właśnie, że spotkałem.

- Naprawdę? - Corrigan wyprostował się, podniecony. - Masz dryg do trafiania w odpowiednie miejsca! Jaki on jest?

- Bardzo nietuzinkowy człowiek.

- Nietuzinkowy? W jakim sensie?

- Przede wszystkim ze względu na silną osobowość. Choć jest zupełnym kaleką z powodu choroby Heine-Medina...

Corrigan przerwał mi ostro.

- Co?

- Przeszedł tę chorobę kilka lat temu. Jest sparaliżowany od pasa w dół.

Corrigan odchylił się na krześle z wyrazem niesmaku.

- To rozwała wszystko! Uważałem, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Musisz się spotkać z inspektorem Lejeune'em - oświadczył Corrigan. - To; co masz do powiedzenia, bardzo go zainteresuje. Kiedy Gorman został zabity, Lejeune prosił o informacje wszystkich, którzy widzieli go tego wieczoru na ulicy. Większość zeznań była jak zwykle nieużyteczna. Zgłosił się jednak aptekarz nazwiskiem Osborne, mający sklep w tej okolicy. Zeznał, że widział Gormana przechodzącego obok jego apteki i mężczyznę, który szedł tuż za nim - naturalnie w tym czasie nie zastanawiał się nad tym. Był jednak w stanie opisać faceta dokładnie i wydawało się pewne, że potrafi go rozpoznać. No i przed paroma dniami Lejeune, dostał list od Osborne'a, który przeszedł na emeryturę i mieszka w Bournemouth. Był na lokalnym festynie i twierdzi, że widział tam wspomnianego mężczyznę. Zapytał o niego i podano mu nazwisko Venables.

Popatrzył na mnie pytająco. Skinąłem głową.

- Tak jest - potwierdziłem. - Venables był na festynie. Nie mógł jednak być człowiekiem idącym ulicą w Paddington za ojcem Gormanem. To fizycznie niemożliwe. Osborne się pomylił.

- Opisał go bardzo szczegółowo. Wzrost około sześciu stóp, wydatny, haczykowaty nos i wyraźne jabłko Adama. Pasuje?

- Tak. Odpowiada rysopisowi Venablesa. Jednakże...

- Wiem. Pan Osborne nie musi tak dobrze rozpoznawać ludzi, jak mu się to wydaje. Najwyraźniej został zmylony przez przypadkowe podobieństwo. Niemniej niepokojące jest, że zjawiasz się, mając usta pełne opowieści o tej właśnie okolicy, mówiąc o jakimś bladym koniu czy jak tam. Co to jest blady koń? Posłuchajmy twojej opowieści.

- Nie uwierzysz - ostrzegłem go. - Sam nie wierzę w to naprawdę.

- Zaczynaj. Posłuchamy.

Powtórzyłem mu moją rozmowę z Thyrzą Grey. Zareagował natychmiast.

- Co za niesłychane brednie!

- Prawda?

- Jasne, że tak! Co się z tobą dzieje, Mark? Białe koguty. Zapewne ofiarne! Jakieś medium, miejscowa czarownica i typowa prowincjonalna stara panna, wysyłająca gwarantowane śmiertelne promienie. To szaleństwo, chłopie, absolutne szaleństwo!

- Tak, to szaleństwo - przyznałem niechętnie.

- Och! Przestań mi potakiwać, Mark. Kiedy to mówisz, sprawiasz wrażenie, że coś w tym jest. Ty wierzysz, że coś w tym jest, prawda?

- Pozwól mi najpierw zadać pytanie. Ta gadanina o tym, że każdy posiada podświadomą skłonność lub pragnienie śmierci. Czy jest to uzasadnione naukowo?

Corrigan wahał się chwilę.

- Nie jestem psychiatrą. Mówiąc między nami, uważam, że połowa tych facetów jest zbzikowana. Są stuknięci na punkcie teorii. I posuwają się za daleko. Muszę ci wyznać, że policja nie przepada za medycznymi ekspertami, których zawsze wzywa obrona, by usprawiedliwić gościa, który zabił bezbronną starą kobietę dla pieniędzy ze sklepowej kasy.

- Wolisz teorię gruczołową? Uśmiechnął się szeroko.

- Dobra. Dobra. Jestem również teoretykiem. Przyznaję. Ale za moją teorią przemawiają silne przesłanki praktyczne - jeżeli potrafię kiedykolwiek do nich dotrzeć. Ale te wszystkie bzdury na temat podświadomości! Phi!

- Nie wierzysz w nie?

- Wierzę, rzecz jasna. Tylko że ci faceci posuwają się za daleko. Nieświadome "pragnienie śmierci" i tak dalej - coś w tym jest, naturalnie, ale bynajmniej nie tak wiele, jak im się wydaje.

- Istnieje jednak coś takiego - upierałem się.

- Lepiej kup sobie książkę z dziedziny psychologii i przeczytaj o tym sam.

- Thyrza Grey utrzymuje, że wie wszystko, co trzeba.

- Thyrza Grey! - prychnął. - Co może wiedzieć o psychologu niedowarzona stara panna z prowincji?

- Powiada, że wie dużo.

- Jak już poprzednio stwierdziłem, brednie!

- To zawsze ludzie mówią o wszelkich odkryciach, które nie zgadzają się z uznanymi poglądami. Żaby wykręcają sobie nogi na ogrodzeniach...

Przerwał mi.

- Połknąłeś wszystko, haczyk, linkę i ciężarek?

- Wcale nie - odparłem. - Chciałem się tylko dowiedzieć, czy istnieje jakaś podstawa naukowa dla tej historii.

Corrigan parsknął.

- Podstawa naukowa, u licha!

- W porządku. Po prostu chciałem wiedzieć.

- Zaraz powiesz, że ona jest kobietą ze szkatułką.

- Jaką kobietą ze szkatułką?

- To jedna z szalonych historii, które pojawiają się od czasu do czasu - przez Nostradamusa do Matki Shipton. Niektórzy ludzie połkną wszystko.

- Mógłbyś mi wreszcie powiedzieć, jak daleko posunęliście się z tą listą nazwisk.

- Chłopcy pracowali ciężko, ale takie sprawy zajmują masę czasu i wymagają mnóstwa rutynowych czynności. Nazwiska bez adresów i imion nie są łatwe do wytropienia czy identyfikacji.

- Popatrzmy na to pod innym kątem. Chciałbym założyć się z tobą o pewną rzecz. W ciągu bardzo krótkiego okresu, powiedzmy roku do półtora, każde z nazwisk tych ludzi pojawiło się na świadectwie zgonu. Mam rację?

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Masz rację, choć nie wiem, do czego zmierzasz.

- Jest coś, co łączy ich wszystkich - śmierć.

- Tak, ale to nie musi znaczyć tak wiele, jak się wydaje. Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi na Wyspach Brytyjskich umiera każdego dnia? A niektóre z tych nazwisk są zupełnie pospolite, co nie pomaga w poszukiwaniach.

- Delafontaine - powiedziałem. - Mary Delafontaine. To nie jest popularne nazwisko, prawda? O ile wiem, pogrzeb odbył się w zeszły wtorek.

Rzucił mi szybkie spojrzenie.

- Skąd o tym wiesz? Pewnie przeczytałeś w gazecie.

- Usłyszałem od jej przyjaciółki.

- W tej śmierci nie ma nic niejasnego. To mogę ci powiedzieć. W rzeczywistości policja nie wykryła nic wątpliwego w żadnym z tych zgonów. Gdyby to były "wypadki", to mogłyby być podejrzane. Były to jednak zupełnie zwyczajne zgony. Zapalenie płuc, wylew, guz mózgu, kamica żółciowa, jeden przypadek choroby Heine-Medina - nic tajemniczego.

Skinąłem głową.

- Nie wypadki. Nie otrucia. Po prostu zwyczajne choroby, prowadzące do śmierci. Właśnie to, co twierdzi Thyrza.

- Czy naprawdę sugerujesz, że ta kobieta potrafi spowodować, że ktoś, kogo nigdy nie widziała na oczy, oddalony o setki mil, może złapać zapalenie płuc i umrzeć na nie?

- Nie sugeruję nic podobnego. Ona to robiła. Uważam rzecz za fantastyczną i chciałbym uznać ją za niemożliwą. Są jednak pewne dziwne czynniki. Jest przypadkowa uwaga o Bładym Koniu w związku z możliwością usunięcia niepożądanego osoby. Istnieje miejsce nazywane Błady Koń, a kobieta tam mieszkająca chełpi się właściwie możliwością takiej operacji. W sąsiedztwie żyje mężczyzna, który został bardzo stanowczo rozpoznany jako człowiek idący za ojcem Gormanem tego wieczoru, kiedy ten został wezwany do umierającej kobiety, która - jak słyszano - mówiła o "wielkiej niegodziwości". Dostyc dużo zbiegów okoliczności, nie sądzisz?

- Tym mężczyzną nie mógł być Venables, ponieważ według ciebie jest od lat sparaliżowany.

- Czy jest możliwe - z medycznego punktu widzenia - aby paraliż był oszustwem?

- Oczywiście nie. Kończyny uległyby atrofi.

- To z pewnością rozwiązuje tę kwestię - przyznałem. Westchnąłem. - Szkoda. Jeżeli tam działa jakaś - zupełnie nie wiem, jak to nazwać - jakaś organizacja, która specjalizuje się w "humanitarnych likwidacjach", Venables ma rozum, który pozwoliłby mu na prowadzenie tego. Przedmioty, które posiada w domu, przedstawiają ogromną wartość pieniężną. W jaki sposób doszedł do tych pieniędzy? - Przerwałem i po chwili podjąłem: - Wszyscy ci ludzie, którzy zmarli spokojnie w swoich łóżkach w taki czy inny sposób... czy był ktoś, kto skorzystał na ich śmierci?

- Ktoś zawsze odnosi korzyść ze zgonu, w większym lub mniejszym stopniu. Nie występują tam szczególnie podejrzane okoliczności, jeśli to masz na myśli.

- Niezupełnie.

- Lady Hesketh-Dubois, jak przypuszczalnie wiesz, zostawiła około pięćdziesięciu tysięcy funtów netto. Dziedziczą siostrzenica i siostrzeniec. Siostrzeniec mieszka w Kanadzie. Siostrzenica jest zamężna i mieszka na północy Anglii. Oboje mogli popełnić morderstwo dla takich pieniędzy. Ojciec Thomasiny Tuckerton zostawił jej bardzo duży majątek. Zmarła przed osiągnięciem pełnoletności, pieniądze wracają do jej macochy, która wydaje się osobą nieskazitelną. Potem twoja pani Delafontaine - pieniądze zostawiła kuzynce...

- Ach tak. A ta kuzynka?

- W Kenii, z mężem.
- Wspaniale się składa, że wszyscy są nieobecni. Corrigan popatrzył na mnie z irytacją.
- Z trzech Sandfordów, którzy strzelili w kalendarz, jeden zostawił znacznie młodszą żonę, która dość szybko wyszła za mąż. Zmarły Sandford był wyznania rzymskokatolickiego i nie mógł jej dać rozwodu. Facet nazwiskiem Sidney Harmondsworth, który zmarł wskutek wylewu krwi do mózgu, był podejrzewany przez Yard o pomnożenie swego majątku przez dyskretny szantaż. Kilku ludzi na wysokich stanowiskach musiało poczuć ogromną ulgę na wieść, że już go nie ma.
- Z tego, co mówisz, wynika, że te wszystkie zgony były dla wielu bardzo dogodne. A co z Corriganem?

Mój przyjaciel wyszczerzył zęby.

- Corrigan jest pospolitym nazwiskiem. Zmarło sporo Corriganów ale - o ile nam wiadomo - nikt nie odniósł szczególnej korzyści z tego powodu.
- Sprawa jasna! Ty jesteś następną spodziewaną ofiarą. Musisz się dobrze pilnować.
- Będę uważał. I nie myśl, że twojej czarownicy z Endoru uda się powalić mnie za pomocą wrzodu dwunastnicy lub grypy hiszpanki. Nie w wypadku zaprawionego w bojach lekarza!
- Słuchaj, Jim. Chcę prześledzić to twierdzenie Thyrzy Grey. Pomożesz mi?
- Nie, nie pomogę! Nie rozumiem, jak taki mądry i wykształcony facet nabiera się na takie brednie.

Westchnąłem.

- Nie możesz użyć innego terminu? Ten już mnie zmęczył.
- Androny, jeśli wolisz.
- Nie bardzo.
- Uparty z ciebie facet, co, Mark?
- Tak jak ja to widzę, ktoś musi się uprzeć.

X

Glendower Close było nowiutkim osiedlem. Rozciągało się nierównym półkolem, a na jego niższym krańcu domy były jeszcze w budowie. Mniej więcej w jego połowie znajdowała się brama z umieszczoną na niej nazwą Everest.

Zza ogrodzenia widać było plecy schylnego człowieka, sadzącego cebulki. Inspektor Lejeune rozpoznał bez trudu pana Zachariaha Osborne'a. Otworzył bramę i wszedł. Pan Osborne wyprostował się i odwrócił, żeby zobaczyć, kto wszedł na teren jego posiadłości. Kiedy rozpoznał gościa, jego rumiana twarz zarumieniła się z radości jeszcze mocniej. Pan Osborne na wsi wyglądał dokładnie tak samo jak pan Osborne w swojej aptece w Londynie. Nosił mocne, sportowe buty, koszulę z krótkimi rękawami, ale nawet ten poranny ubiór niewiele szkodził jego eleganckiej schludności. Drobne krople potu połyskiwały na łysej głowie. Wytrzeł je starannie wyjętą z kieszeni chustką, nim pośpieszył, by powitać gościa.

- Inspektor Lejeune! - wykrzyknął radośnie. - Uważam to za zaszczyt. Naprawdę, sir. Otrzymałem pańskie potwierdzenie odbioru mego listu, ale nie miałem nadziei na ujście pana we własnej osobie. Witam w mojej siedzibie. Witam w Everest. Nazwa zdziwiła może pana? Zawsze fascynowały mnie Himalaje. Śledziłem wszelkie szczegóły ekspedycji na Mount Everest. Co za triumf dla naszego kraju! Sir Edmund Hillary! Co za człowiek! Jaka wytrzymałość! Jako ktoś, kto nigdy nie zaznał osobiście niewygód, wysoko sobie cenię tych, którzy wdzierają się na szczyty niezdobytých gór albo żeglują przez skute lodem morza, by odkryć tajemnice bieguna. Ale proszę wejść i przyjąć skromny poczęstunek.

Wskazując drogę, pan Osborne wprowadził inspektora do małego bungalowu, który był niezwykle wytworny mimo dość nielicznych mebli.

- Jeszcze niezupełnie się zainstalowałem - wyjaśnił gospodarz. - Bywam na miejscowych wyprzedazach, kiedy tylko mogę. Można znaleźć w ten sposób dobre rzeczy za jedną czwartą sklepowej ceny. A teraz, co mogę panu zaproponować? Kieliszek sherry? Piwo? Filiżankę herbaty? Natychmiast zaparzę.

Lejeune zdecydował się na piwo.

- Proszę bardzo - powiedział pan Osborne, wracając w chwilę później z dwoma cynowymi kuflami, napełnionymi po brzegi. - Usiądziemy i odpoczniemy sobie. Everest. Ha ha! Nazwa mojego domu ma podwójne znaczenie. Zawsze lubiłem żarciki.

Spełniwszy towarzyskie obowiązki, pan Osborne nachylił się do przodu pełen nadziei.

- Moja informacja przydała się panu? Lejeune maksymalnie złagodził cios.

- Obawiam się, że nie tak bardzo, jak się spodziewaliśmy.

- Ach, muszę się przyznać, że jestem rozczarowany. Chociaż naprawdę nie ma powodu przypuszczać, że ten dżentelmen, idący w tym samym kierunku co ojciec Gorman, musiał być akurat jego mordercą. Oczekiwać tego to rzeczywiście zbyt wiele. I ten Venables jest zamożny i bardzo szanowany w okolicy. O ile wiem, obraca się w najlepszych sferach.

- Rzecz w tym - rzekł inspektor - że nie mógł pan widzieć pana Venablesa owego wieczoru.

Pan Osborne wyprostował się gwałtownie.

- Ale to był on. Absolutnie nie mam wątpliwości. Nigdy się nie myślę, jeśli chodzi o twarzę.

- Obawiam się, że tym razem musiało się to panu zdarzyć - powiedział łagodnie inspektor. - Widzi pan, pan Venables jest ofiarą poliomyelitis. Od ponad trzech lat jest sparaliżowany od pasa w dół i nie może chodzić.

- Poliomyelitis! - wykrzyknął pan Osborne. - Mój Boże... To zmienia sprawę. A jednak... Proszę wybaczyć, panie inspektorze. Mam nadzieję, że nie poczuje się pan dotknięty. Ale czy tak jest na pewno? Chcę powiedzieć, czy ma pan medyczne świadectwo tego stanu?

- Tak, proszę pana. Pan Venables jest pacjentem sir Williama Dugdale'a z Harley Street, jednego z najwybitniejszych specjalistów.

- Oczywiście, oczywiście. Członek Królewskiego Kolegium Lekarzy. No cóż, fatalnie wpadłem. Byłem całkowicie pewny. I tyle niepotrzebnych kłopotów dla was.

- Nie musi pan tego przyjmować w ten sposób - wtrącił szybko Lejeune. - Pańska informacja jest wciąż bardzo cenna. Jasne, że mężczyzna, którego pan widział, musi być bardzo podobny do pana Venablesa, a ponieważ ma on uderzający wygląd, posiadliśmy niezwykle wartościową wiadomość. Nie może być wielu osób odpowiadających temu opisowi.

- Prawda - pan Osborne poweselał troszkę. - Człowiek ze sfer kryminalnych, przypominający z wyglądu pana Venablesa. Takich na pewno nie może być zbyt wielu. W archiwum Scotland Yardu... - Popatrzył z nadzieją na inspektora.

- To może nie być tak proste - powiedział Lejeune wolno. - Ten człowiek może nie być notowany. I w każdym razie, jak pan powiedział, na razie nie ma powodu przypuszczać, że miał coś wspólnego z napaścią na księdza.

Pan Osborne znowu się zatroskał.

- Musi pan mi wybaczyć. Obawiam się, że to było z mojej strony pobożne życzenie... Tak bardzo chciałbym zeznawać w procesie o morderstwo... Nie byłiby w stanie podważyć moich zeznań. Zapewniam pana. Nie odstąpiłbym od swego zdania!

Lejeune milczał, przyglądając się gospodarzowi z namysłem. Pan Osborne zareagował na to milczące badanie.

- Tak?

- Panie Osborne, dlaczego nie odstąpiłby pan od swego zdania, jak pan to określił?

Pan Osborne wydał się zaskoczony.

- Ponieważ jestem tak pewien... och... tak, rozumiem, co pan ma na myśli. Ten mężczyzna nie był właściwym człowiekiem. Nie mam więc powodu czuć się pewnym. A jednak...

Lejeune pochylił się ku niemu.

- Może jest pan ciekaw, dlaczego przyszedłem do pana dzisiaj? Mając zeznanie lekarza, że człowiekiem widzianym przez pana nie może być pan Venables, w jakim celu się tu zjawiłem?

- Właśnie. Właśnie. Dlaczego więc pan mnie odwiedził?

- Przyszedłem, ponieważ uderzyła mnie stanowczość pana identyfikacji. Chciałem się dowiedzieć, na czym opiera pan swoją pewność. Proszę pamiętać, że ten wieczór był mglisty. Byłem w pańskiej aptece. Stałem w drzwiach, tam gdzie pan stał, i patrzyłem na ulicę. Sądzę, że w mglisty wieczór postać z tej odległości musiała być bardzo niewyraźna, tak że wprost niemożliwe wydało mi się dokładne rozróżnienie rysów.

- Co do tego naturalnie ma pan rację. Zaczynała się mgła. Ale nadchodziła płatami. Rozjaśniało się na niewielkiej przestrzeni raz po raz. Nastąpiło to w takim momencie, że dostrzegłem ojca Gormana przechodzącego szybko po przeciwległym chodniku. Dlatego właśnie zobaczyłem jego i idącego tuż za nim mężczyznę tak dokładnie. Co więcej, kiedy tamten człowiek zrównał się ze mną, błysnął zapalniczką, zapalając papierosa. Jego profil stał się przez moment bardzo wyraźny - nos, podbródek, wystająca grdyka. Pomyślałem, że to facet o uderzającym wyglądem. Nigdy nie widziałem go przedtem. Gdyby był kiedykolwiek w mojej aptece, musiałbym go zapamiętać. Zatem widzi pan... - Pan Osborne urwał.

- Tak, rozumiem - powiedział w zamyśleniu inspektor.

- Brat - podsunął z nadzieją Osborne. - Może bliźniak? No, to mogłoby być rozwiązanie zagadki.

- Wyjaśnienie tajemnicy identycznych bliźniaków? - Inspektor uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Tak bardzo wygodne w beletrystyce, ale w prawdziwym życiu... - Znowu potrząsnął głową. - Wie pan, to się nie zdarza. To się naprawdę nie zdarza.

- Nie... Pewnie nie. Ale może zwykły brat. Duże podobieństwo rodzinne... - Pan Osborne popatrzył błagalnie.

- O ile mogliśmy się upewnić, pan Venables nie ma brata.

- O ile mogliście się upewnić? - powtórzył Osborne.

- Choć jest narodowości angielskiej, urodził się za granicą. Rodzice przywieźli go do Anglii, kiedy miał już jedenaście lat.

- Więc nie wiecie o nim zbyt dużo? To znaczy o jego rodzinie?

- Nie - odparł Lejeune w zamyśleniu. - Nie jest łatwo wyszukać informacje o panu Venables - oczywiście bez rozmowy z nim, a do tego nie mamy podstaw.

Powiedział to rozmyślnie. Były sposoby wykrycia różnych spraw bez wypytywania, ale nie miał zamiaru informować o tym pana Osborne'a.

- Zatem gdyby nie było orzeczenia lekarza - zapytał, wskazując swoje nogi - byłby pan pewny identyfikacji?

- O tak - odpowiedział pan Osborne. - Zapamiętywanie twarzy to, jak pan wie, moje hobby - zachichotał. - Zaskakiwałem wielu klientów w ten sposób. "Jak pańska astma?" - pytałem kogoś i ten ktoś był zdziwiony. "Ostatnio był pan w marcu - mówiłem - z receptą doktora Hargreavesa". I jak nie miał się zdziwić! Pomagało mi to bardzo w prowadzeniu interesu. Ludziom sprawia przyjemność, kiedy się ich pamięta, choć z nazwiskami nie szło mi tak dobrze jak z twarzami. Uczyniłem z tego hobby, będąc jeszcze zupełnie młodym człowiekiem. Jeśli rodzina królewska potrafi - mówiłem sobie - ty też możesz się nauczyć. Po jakimś czasie staje się to automatyczne. Prawie nie trzeba się starać.

Lejeune westchnął.

- Chciałbym mieć w sądzie takiego świadka jak pan. Identyfikacja jest zawsze delikatną sprawą. Większość ludzi nie potrafi powiedzieć w ogóle nic. Mówią przeważnie: Och, myślę, że taki wyższy. Jasne włosy, no, nie bardzo jasne, takie średniawe. Zwyczajna twarz. Oczy niebieskie - albo szare - a może brązowe. Szary płaszcz deszczowy - a może ciemnoniebieski.

Pan Osborne roześmiał się.

- Takie zeznania niewiele panu dają.

- Szczerze mówiąc, świadek podobny do pana byłby wybawieniem.

Osborne wydawał się zadowolony.

- To jest pewien dar - oświadczył skromnie. - Ale proszę pamiętać, jak go kultywowałem. Zna pan grę, w którą grają dzieci - mnóstwo przedmiotów przyniesionych na tacy i kilka minut na zapamiętanie ich. Potrafiłem mieć sto procent punktów za każdym razem. Zdumiewało to ludzi. "Cudowne" - mówili. To nie jest cudowne. To talent. Zwiększa się w miarę ćwiczeń - zachichotał. - Jestem też niezłym iluzjonistą, zabawiałem dzieciaki na Boże Narodzenie. Proszę wybaczyć, panie Lejeune, co ma pan w kieszeni na piersi? - Pochylił się do przodu i wyjął małą popielniczkę. - No, no, i pan jest w policji!

Zaśmiał się serdecznie, a inspektor razem z nim. Potem Osborne westchnął.

- Kupiłem tutaj przyjemną małą posiadłość. Sąsiedzi wydają się mili i przyjaźni. To jest życie, na które cieszyłem się od lat, ale muszę panu wyznać, że to nie zastępuje mi zajęcia w moim sklepie. Tam wciąż ktoś przychodził i odchodził. Typy, rozumie pan, typy, które można studiować. Czekałem na to, by mieć własny ogródek, i bardzo mnie to interesuje. Jak mówiłem panu, motyle i obserwacja ptaków od czasu do czasu. Ale nie straciłem zainteresowania elementem ludzkim, że się tak wyrażę. Cieszyłem się z krótkiego wyjazdu za granicę. Odbyłem weekendową wycieczkę do Francji. Muszę przyznać, że było przyjemnie, ale odczułem bardzo mocno, że Anglia zupełnie mi wystarcza. Przede wszystkim nie odpowiada mi zagraniczna kuchnia. Nie mają najmniejszego pojęcia, o ile mogłem się przekonać, jak przyrządzić jajka na bekonie. - Westchnął jeszcze raz. - To wykazuje, jaka jest ludzka

natura. Nie mogłem się doczekać emerytury. A teraz - czy wie pan, że walczę z pomysłem kupienia małego udziału w interesie farmaceutycznym, tu w Bournemouth, wystarczającym, by zaspokoić moje zainteresowania, a nie wymagającym uwiązania w aptecce przez cały czas. Czułbym się jednak znowu w centrum zdarzeń. Przypuszczam, że tak samo będzie z panem. Snuje pan plany na przyszłość, a kiedy nadejdzie czas, utraci pan podniety obecnego życia. Lejeune uśmiechnął się.

- Życie policjanta nie niesie tak romantycznych emocji, jak pan sądzi. Ma pan na zbrodnię pogląd amatora. Większość pracy to nudne zajęcia rutynowe. Nie zawsze ściga pan zbrodniarzy i idzie tajemniczym tropem. To może być zupełnie nudne zajęcie.

Pan Osborne nie wyglądał na przekonanego.

- Pan wie najlepiej - zgodził się. - Do widzenia, panie inspektorze, przykro mi, że nie zdołałem panu pomóc. Gdyby było coś... kiedyś...

- Powiadomię pana - obiecał Lejeune.

- Dzień festynu- wydawał się taką szansą - mruknął Osborne smutno.

- Wiem. Szkoda, że świadectwo lekarskie jest tak stanowcze, ale tego nie da się przeskoczyć, prawda?

- No... - pan Osborne pozwolił słowu zawisnąć, ale inspektor nie zwrócił na to uwagi. Oddalił się szybkim krokiem. Aptekarz stał przy bramie, spoglądając za nim.

- Świadectwo lekarskie - mruknął. - Lekarze! Gdyby wiedział połowę tego, co ja wiem o lekarzach... Lekarze!

XI. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

Najpierw Hermia. Teraz Corrigan.

Dobrze więc. Robiłem z siebie durnia!

Przyjąłem brednie za prawdę. Musiałem zostać zahipnotyzowany przez tę fałszywą kobietę, Thyrzę Grey, nakłoniony do zaakceptowania tej mieszanki nonsensów. Byłem łatwowiernym, przesądnym durniem.

Postanowiłem zapomnieć o całej tej paskudnej sprawie. W końcu - co to miało ze mną wspólnego?

Przez mgłę rozczarowania usłyszałem echo przekonującego tonu pani Dane Calthrop.

"Musi pan coś zrobić!"

Dobrze jest gadać takie rzeczy.

"Potrzebuje pan kogoś, kto panu pomoże..."

Potrzebowałem Hermii. Potrzebowałem Corrigan. Ale żadne z nich nie chciało podjąć gry. Nikogo więcej nie było.

Chyba że...

Siedziałem, rozważając ten pomysł.

Pod wpływem impulsu podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do pani Oliver.

- Halo. Tu Mark Easterbrook.

- Słucham?

- Możesz mi powiedzieć, jak się nazywała dziewczyna, która była w tamtym domu podczas festynu?

- Myślę, że tak. Zaraz... Tak, oczywiście, Ginger. Miała na imię Ginger.

- To wiem. A dalej?

- Co dalej?

- Wątpię, czy na chrzcie dano jej imię Ginger. Poza tym każdy musi się jakoś nazywać.

- Rzeczywiście. Ale nie mam pojęcia, jakie ma nazwisko. W dzisiejszych czasach nikt nie zwraca uwagi na nazwiska. Spotkałem ją pierwszy raz. - Nastąpiła krótka pauza, potem pani Oliver powiedziała: - Musisz zadzwonić do Rhody i zapytać ją.

Nie podobał mi się ten pomysł. Czułem jakąś obawę.

- Och, nie umiem tego zrobić - odparłem.

- To zupełnie proste - ośmielała mnie pani Oliver. - Powiesz, że zgubiłeś adres, nie pamiętasz nazwiska, a obiecałeś posłać jej jedną z twoich książek albo podać nazwę sklepu, gdzie sprzedają tani kawior, albo zwrócić chusteczkę, którą ci pożyczyła, kiedy krwawiłeś z nosa, albo przekazać adres bogatego przyjaciela, chcącego odrestaurować obraz. Coś z tego pasuje? Jeżeli chcesz, mogę wymyślić jeszcze więcej.

- Któryś z tych pretekstów będzie znakomity - zapewniłem ją. Rozłączyłem się, wykręciłem 100 i niebawem rozmawiałem z Rhodą.

- Ginger? - powiedziała. - Och, mieszka w domu przerobionym ze starych stajen. Calgary Place, 45. Poczekaj moment. Dam ci jej numer telefonu. - Odeszła i wróciła po minucie. - Capricorn 35987.

Zapisałeś?

- Tak, dziękuję. Ale nie mam jej nazwiska. Nigdy go nie słyszałem.

- Nazwisko? Ach, tak. Corrigan. Katherine Corrigan. Co mówisz?

- Nic. Dziękuję, Rhoda.

Zbieg okoliczności wydał mi się dziwny. Corrigan. Dwoje Corriganów. Może to omen.

Wykręciłem Capricorn 35987.

2

Ginger siedziała naprzeciw mnie przy stoliku w White Cockatoo, gdzie spotkaliśmy się, żeby wypić drinka. Wyglądała świeżo, tak samo jak w Much Deeping - potargana szopa rudych włosów, przyjemnie piegowata twarz i żywe, zielone oczy. Była ubrana w londyński strój artystów, obcisłe skórzane spodnie, porozciągany sweter i czarne wełniane pończochy, ale mimo wszystko była to ta sama Ginger. Lubiłem ją bardzo.

- Musiałem się sporo napracować, żeby cię wytropić. Nie znałem nazwiska, adresu ani telefonu. Mam pewien problem.

- Tak właśnie mówi zawsze moja dochodząca pomoc. Zwykle oznacza to, że muszę kupić nowy proszek do czyszczenia albo szczotkę do dywanów lub inne nudziarstwo.

- Nie musisz niczego kupować - zapewniłem ją.

Potem opowiedziałem jej wszystko. Nie trwało to tak długo, jak historia relacjonowania Hermii, ponieważ Ginger знаła już Błedego Konia i jego mieszkanki. Kiedy skończyłem opowieść, odwróciłem wzrok od dziewczyny. Nie chciałem widzieć jej reakcji, pogardliwego rozbawienia czy zupełnego niedowierzania. Cała historia brzmiała jeszcze bardziej idiotycznie niż kiedykolwiek. Nikt (oprócz pani Dane Calthrop) nie mógł przypuszczalnie czuć tego tak jak ja. Widelcem rysowałem wzory na plastikowej powierzchni stolika. Głos Ginger był ożywiony.

- To wszystko?

- Tak - przyznałem.

- I zamierzasz coś z tym zrobić?

- Oczywiście! Ktoś musi działać! Nie można trafić na organizację zajmującą się ukatrupianiem ludzi i nie zareagować.

- Ale jak ja mogę pomóc?

Mógłbym rzucić się jej na szyję i uściskać.

Popijała pernod i marszczyła brwi. Udzieliła mi się jej serdeczność. Nie byłem dłużej sam.

Wkrótce powiedziała w zadumie:

- Musisz wykryć, co to wszystko znaczy.

- Zgadzam się. Ale jak?

- Jest parę kierunków działania. Może będę mogła cię poratować.

- Naprawdę? Masz przecież swoją pracę.

- Mnóstwo rzeczy można zrobić poza godzinami. Zmarszczyła się znowu w zamyśleniu.

- Ta dziewczyna - powiedziała wreszcie. - Taż kolacji po Old Vic. Poppy czy jak tam. Wie coś o tej sprawie... i musi powiedzieć, co wie.

- Tak, ale kiedy próbowałem zadawać jej pytania, przestraszyła się i wykręciła. Wpadła w popłoch. Zdecydowanie nie chciała mówić.

- Tu właśnie potrafię pomóc - rzekła Ginger z przekonaniem. - Powie mi rzeczy, których nie chciała powiedzieć tobie. Mógłbyś zaaranżować spotkanie? Twój przyjaciel z nią, ja i ty. Jakies przedstawienie albo obiad czy coś w tym rodzaju - popatrzyła niepewnie. - A może to zbyt kosztowne?

Zapewniłem ją, że potrafię wytrzymać wydatki.

- A jeśli chodzi o ciebie... - Ginger myślała chwilę. - Sądzę, że twoim najlepszym planem byłoby pójść tropem Thomasiny Tuckerton.

- Ale w jaki sposób? Ona nie żyje.

- I ktoś pragnął jej śmierci, jeśli twoje pomysły są słuszne! I zorganizował to przy pomocy Błedego Konia. Mogą być dwie możliwości. Macocha albo ta dziewczyna, z którą walczyła u Luigiego o poderwanego chłopca. Może chciała go poślubić? To nie odpowiadałoby ani macosze, ani tamtej dziewczynie, jeżeli szalała za chłopakiem. Każda z nich mogła się zwrócić do Błedego Konia. Moglibyśmy dostać wskazówkę stamtąd. Jak się nazywała ta druga dziewczyna, wiesz?

- Chyba Lou.

- Popielatoblond proste włosy, średni wzrost, duży biust?

Zgodziłem się z tym opisem.

- Wydaje mi się, że zetknęłam się z nią. Lou Ellis. Sama ma trochę pieniędzy...

- Nie wyglądała na to.
- Może i nie wygląda, ale ma na pewno. W każdym razie mogłaby pokryć honorarium Białego Konia. One zapewne nie robią niczego za darmo.
- Trudno to sobie wyobrazić.
- Mogłbyś się zabrać do tej macochy. To bardziej twoja działka niż moja. Idź i zobacz się z nią...
- Nie wiem, gdzie mieszka i w ogóle nic.
- Luigi wie coś o domu Tommy. Będzie wiedział, w jakim hrabstwie ta kobieta mieszka. Parę listów polecających powinno dokonać reszty. Ale jacy z nas idioci! Widziałeś nekrolog w "Timesie". Musisz tylko zajrzeć do ich kartotek.
- Będę musiał mieć pretekst do niepokojenia tej macochy - powiedziałem w zamyśleniu.

Ginger orzekła, że to łatwe.

- Widzisz, ty jesteś kimś - podkreśliła. - Historyk, wykładowca i masz literki po nazwisku. Pani Tuckerton będzie pod wrażeniem i prawdopodobnie oszaleje z radości.
- A pretekst?
- Jakieś osobliwości jej domu? - zaproponowała Ginger niejasno. - Na pewno jest coś takiego, jeżeli to stary budynek.
- Nie ma nic wspólnego z moimi zainteresowaniami - sprzeciwiłem się.
- Ona nie będzie tego wiedziała. Ludzie zawsze uważają, że jeśli coś ma sto lat, musi interesować historyka czy archeologa. A może obraz? Tam muszą być jakieś stare obrazy. W każdym razie umawiasz się, przybywasz tam, potem przypoehlebiasz się jej, jesteś czarujący i wtedy wspominasz, że kiedyś spotkałeś jej córkę - jej pasierbicę - i mówisz, jakie to smutne itd., itd... I nagle robisz wzmiankę na temat Białego Konia. Jeśli chcesz, bądź trochę ponury.
- A potem?
- Zwróć uwagę na reakcję. Jeżeli wspomnisz o Białym Koniu niespodziewanie, a ona ma nieczyste sumienie, twierdząc, że nie zdoła tego ukryć.
- Powiedzmy, że to się zdarzy - i co dalej?
- Najważniejsze, byśmy wiedzieli, że jesteśmy na właściwym tropie. Kiedy się upewnimy, możemy ruszać naprzód pełną parą. - Pokiwała głową w zadumie. - Jest jeszcze coś. Jak myślisz, dlaczego ta Grey powiedziała ci to wszystko? Dlaczego była taka chętna?
- Normalnie odpowiedziałbym, że jest stuknięta.

- Wcale nie. Zastanawiam się - dlaczego ty? Dlaczego właśnie ty? Ciekawa jestem, czy nie ma tu pewnego związku.

- Związku z czym?

- Poczekaj moment, muszę uporządkować myśli. Czekałem. Ginger parę razy skinęła energicznie głową.

- Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że to było tak. Ta Poppy wie wszystko o Bładym Koniu, ale niedokładnie, dlatego że nie została poinformowana, lecz tylko słyszała rozmowy. Wygląda na taką dziewczynę, której można nie zauważyć podczas rozmowy, ale która rozumie przypuszczalnie znacznie więcej, niż się wydaje. Głupi ludzie bywają tacy. Powiedzmy, że kiedy mówiła do ciebie tamtego wieczoru, została podsłuchana i ktoś ją objechał. Następnego dnia zjawiasz się ty i zaczynasz zadawać pytania. Dziewczyna wpada w panikę i nie chce mówić. Ale fakt, że przyszedłeś i ją wypytywałeś, także gdzieś dociera. Jaki mógł być powód twoich pytań? Nie jesteś z policji. Najbardziej prawdopodobne, że jesteś potencjalnym klientem.

- Ależ z pewnością...

- Powiadam ci, że to logiczne. Słyszałeś plotki na ten temat, chcesz dowiedzieć się więcej dla swoich własnych celów. Najpierw zjawiasz się na festynie w Much Deeping. Zostajesz przyprowadzony do Bładego Konia - przypuszczalnie dlatego, że o to poprosiłeś - i co się dzieje? Thyrza Grey przechodzi wprost do rozmowy handlowej.

- Przypuszczam, że to możliwe... Myślisz, że ona potrafi zrealizować to, co mówi?

- Osobiście byłabym skłonna uważać, że oczywiście nie! Ale zdarzają się dziwne rzeczy. Szczególnie w takich sprawach jak hipnoza. Poleca się komuś, żeby poszedł i odgryzł kawałek świecy jutro o czwartej po południu i on to robi, nie wiedząc dlaczego. Są takie historie. Elektryczna aparatura, do której wpuszczasz kroplę krwi, i ona mówi ci, czy zachorujesz na raka w ciągu dwóch lat. Wszystko to brzmi nieprawdopodobnie i może tak jest, ale może też niezupełnie. Co do Thyrzy - nie sądzę, że mówi prawdę, ale okropnie się boję, że tak mogłoby być!

- Tak - zgodziłem się ponuro. - To dobre wyjaśnienie.

- Mogę poświęcić trochę czasu Lou - powiedziała Ginger. - Znam wiele miejsc, w których mogę na nią trafić. Luigi musi znać jeszcze parę.

- Ale najpilniejsze jest skontaktowanie się z Poppy.

To udało się zaaranżować z łatwością. David miał wolny wieczór za trzy dni, umówiliśmy się na musical i on przyholował Poppy. Poszliśmy na kolację do Fantasia i zauważyłem, że Ginger i Poppy, które wyszły przypudrować sobie nosy, po dłuższej nieobecności wróciły w doskonałej komitywie. Zgodnie z instrukcją Ginger podczas spotkania nie poruszaliśmy żadnych kontrowersyjnych tematów. Wreszcie się rozstaliśmy, a ja odwiozłem Ginger do domu.

- Nie mam zbyt dużo do relacjonowania - powiedziała wesoło. - Dotarłam do Lou. Mężczyzna, o

którego się pokłóciły, nazywa się Gene Pleydon. Dobry numer z niego, gdyby się kto pytał. Rozglądał się pilnie za forszą. Dziewczęta go uwielbiały. Kręcił z Lou i wtedy zjawiała się Tommy. Lou mówi, że nie zależało mu na niej ani trochę, tylko na jej pieniądzach, ale przypuszczalnie sama chce w to uwierzyć. W każdym razie rzucił Lou jak rozpalone żelazo, a ją to oczywiście zraniło. Według niej nie była to wielka awantura, tylko dziewczęce nieporozumienie.

- Dziewczęce nieporozumienie! Wyrywała Tommy włosy z cebulkami!

- Powtarzam tylko to, co Lou powiedziała mnie.

- Była chyba bardzo rozmowna.

- Och, one wszystkie chętnie opowiadają o swoich przygodach. Mówią z każdym, kto zechce ich słuchać. W każdym razie Lou ma teraz nowego przyjaciela, powiedziałabym, że to następny niewypał, ale już za nim szaleje. Nie wydaje mi się, aby ona była klientką Błedego Konia. Wprowadziłam tę nazwę do rozmowy, ale bez reakcji. Myślę, że możemy ją wykreślić. Luigi też nie uważa, żeby miała z tym coś wspólnego. Z drugiej strony sądzi, że Tommy była poważnie zajęta Gene'em. I Gene chodził z nią poważnie. A co ty zdołałaś w sprawie macochy?

- Jest za granicą. Jutro wraca. Napisałem do niej list - a raczej kazałem napisać mojej sekretarce - z prośbą o spotkanie.

- Dobrze. Ruszyliśmy sprawę z miejsca. Mam nadzieję, że to wszystko nie zawiedzie.

- Jeśli doprowadzi nas dokądkolwiek!

- Musi - odparła Ginger entuzjastycznie. - Aha! Wróćmy do początku tego wszystkiego, do teorii, że ojciec Gorman został zabity po wezwaniu go do umierającej kobiety i że został zamordowany z powodu czegoś, co mu powiedziała lub wyznała na spowiedzi. Co się stało z tą kobietą? Czy umarła? Kim była? To powinno nas do czegoś doprowadzić.

- Umarła. Naprawdę nie wiem o niej wiele. Nazywała się chyba Davis.

- A nie mógłbyś dowiedzieć się trochę więcej?

- Zobaczę, co się da zrobić.

- Gdybyśmy dotarli do jej przeszłości, moglibyśmy stwierdzić, jak zdobyła informacje.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

Złapałem Jima Corrigan telefonicznie wczesnym rankiem następnego dnia i zapytałem o panią Davis.

- Zaraz, zaraz. Posunęliśmy się trochę dalej, ale nie bardzo. Davis nie było jej prawdziwym nazwiskiem, dlatego sprawdzenie zabrało trochę czasu. Sekundę, zanotowałem gdzieś parę rzeczy... O, mam. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało Archer, a jej mąż był drobnym oszustem. Zostawiła go i

wróciła do panińskiego nazwiska.

- Jakiego rodzaju oszustem był Archer? I gdzie jest teraz?

- Och, bardzo drobne sprawy. Kradł różne przedmioty w domach towarowych. Lekkomyślne wpadki od czasu do czasu. Miał kilka wyroków. Co do tego, gdzie teraz jest, to umarł.

- Nie za dużo tego.

- Rzeczywiście nie. Pani Davis przed śmiercią pracowała w firmie BRK (Badania Reakcji Klientów), która najwyraźniej nie wiedziała nic o niej ani o jej przeszłości.

Podziękowałem mu i rozłączyłem się.

XII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Trzy dni później zadzwoniła do mnie Ginger.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała. - Nazwisko i adres. Zapisz. Wziąłem swój notes.

- Jazda.

- Nazwisko Bradley, adres 78 Municipal Square Buildings, Birmingham.

- Niech mnie diabli, co to wszystko znaczy?

- Bóg raczy wiedzieć! Ja nie mam pojęcia. Wątpię, czy Poppy rzeczywiście wie.

- Poppy? Czy to...

- Tak. Pracowałam nad Poppy całą parą. Powiedziałam ci, że - jeśli spróbuję - uda mi się coś z niej wydobyć. Kiedy ją rozrzewniłam, było już łatwo.

- Jak się do tego zabrałaś? - spytałem z ciekawością. Ginger zaśmiała się.

- Wspólne głupstewka dziewcząt. Nie rozumiałbyś. Rzecz w tym, że gdy dziewczyna mówi coś innej, to się naprawdę nie liczy. Ona nie sądzi, że to ma znaczenie.

- Wszystko zostaje w rodzinie?

- Można tak powiedzieć. W każdym razie jadłyśmy razem lunch i ja paplałam trochę o mojej miłości i różnych kłopotach - żonaty człowiek, związany z okropną żoną, katoliczką, która nie chce mu dać rozwodu i zamienia jego życie w piekło. I że ona choruje, wciąż ma bóle, ale może żyć jeszcze długie lata. Naprawdę dużo lepiej dla niej byłoby, gdyby mogła umrzeć. Powiedziałam jej, że miałam pomysł, by spróbować z Białym Koniem, ale nie wiem, jak zacząć i czy to nie byłoby strasznie

kosztowne. A Poppy oświadczyła, iż uważa to za możliwe. Słyszała, że liczą sobie majątek. Zauważyłam, iż są pewne widoki. Mam stryjecznego dziadka, bardzo kochanego - nie znoszę myśli, że mógłby umrzeć - ale ten fakt może się przydać. Czy wzięliby coś a conto? Ale jak się do tego zabrać? I wtedy Poppy wystąpiła z nazwiskiem i adresem. "Musisz najpierw pójść do niego - powiedziała - i załatwić sprawy finansowe".

- To fantastyczne! - zawołałem.

- I owszem. Milczeliśmy chwilę.

- Powiedziała ci to wszystko otwarcie? Nie wydawała się przestraszona? - spytałem z niedowierzaniem.

- Nie rozumiesz - odparła Ginger niecierpliwie. - Opowiedzenie tego mnie nie liczy się. A poza tym, jeśli uważamy Błatego Konia za prawdziwe przedsiębiorstwo, to musi być mniej lub bardziej reklamowane, prawda? Chcę powiedzieć, że muszą cały czas szukać nowych "klientów".

- Jesteśmy szaleni, wierząc w coś takiego.

- W porządku. Jesteśmy szaleni. Jedziesz do Birmingham zobaczyć się z panem Bradleyem?

- Tak - powiedziałem. - Zamierzam zobaczyć się z panem Bradleyem. Jeżeli istnieje.

Nie bardzo wierzyłem, że tak jest. Myliłem się jednak. Pan Bradley istniał.

Municipal Square Buildings był olbrzymim skupiskiem biur. Numer siedemdziesiąt osiem znajdował się na trzecim piętrze. Na drzwiach, na matowym szkłe, był ładny, drukowany napis: C. R. BRADLEY, AGENT HANDLOWY. A niżej, drobniejszymi literami: PROSZĘ WEJŚĆ.

Wszedłem.

Była tam mała poczekalnia, pusta, i drzwi z napisem PRYWATNE, lekko uchylone. Odezwał się stamtąd głos:

- Proszę wejść.

Gabinet był większy. Znajdowało się tam biurko, parę wygodnych krzeseł, telefon, regał z przegródkami na akta. Pan Bradley siedział za biurkiem.

Był to drobny, śniady człowiek, o ciemnych, przenikliwych oczach. Miał na sobie szary garnitur i wyglądał jak uosobienie solidności.

- Zechce pan zamknąć drzwi - powitał mnie uprzejmie. - Proszę siadać. To krzesło będzie wygodne. Papierosa? Nie? A teraz, co mogę dla pana zrobić?

Patrzyłem na niego. Nie wiedziałem, jak zacząć. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co powiedzieć. Wydaje mi się, że czysta desperacja podsunęła mi słowo, którym go zaatakowałem. A może to były te

małe, paciorkowate oczka.

- Ile? - spytałem.

Zauważyłem z zadowoleniem, że pytanie nieco nim wstrząsnęło, choć nie w taki sposób, jak powinno. Nie udawał, jak ja bym zrobił na jego miejscu, że w jego biurze zjawił się ktoś niespełna rozumu.

Podniósł brwi.

- No, no, no - zauważył. - Nie traci pan czasu, co? Trzymałem się swego.

- Jak brzmi odpowiedź? Potrząsnął głową z wyrzutem.

- To nie jest dobre podejście do sprawy. Musimy postępować we właściwy sposób.

Wzruszyłem ramionami.

- Jak pan chce. Cóż to za właściwy sposób?

- Jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy. Nie znam pańskiego nazwiska.

- Nie wydaje mi się, żebym był skłonny dać je panu w tej chwili.

- Ostrożny pan.

- Ostrożny.

- Chwalebna cecha, choć nie zawsze można ją wykorzystać w praktyce. A teraz, kto pana do mnie przysyła? Ktoś ze wspólnych przyjaciół?

- Tego też nie mogę panu powiedzieć. Pewien mój przyjaciel ma przyjaciela, który zna jednego z pańskich przyjaciół.

Pan Bradley skinął głową.

- W ten sposób dociera wielu z moich klientów. Niektóre problemy są dosyć delikatne. Przypuszczam, że zna pan mój zawód?

Nie zamierzał czekać na odpowiedź. Sam z nią pośpieszył.

- Bukmacher - oświadczył. - Interesuje się pan... koźmi? Przed ostatnim słowem nastąpiła króciuteńka pauza.

- Nie zajmuję się wyścigami - odparłem dyplomatycznie.

- Konie mają wiele aspektów. Wyścigi, polowanie, jazda wierzchem. Zajmuje mnie strona sportowa. Zakłady. - Przerwał na moment, a potem zapytał ostrożnie, wręcz zbyt ostrożnie: - Ma pan na uwadze

jakiegoś konkretnego konia?

Wzruszyłem ramionami i odkryłem karty.

- Białego Konia...

- Ach, bardzo dobrze, znakomicie. Pan sam - jeśli wolno powiedzieć - wydaje się raczej czarnym koniem. Ha, ha! Nie musi się pan denerwować. Naprawdę nie ma potrzeby.

- To pan tak mówi - rzuciłem szorstko.

Pan Bradley stał się jeszcze bardziej uprzejmy i kojący.

- Potrafię zrozumieć pańskie uczucia. Zapewniam pana jednak, że nie ma potrzeby się niepokoić. Sam jestem prawnikiem, naturalnie skreślonym z listy - dodał na marginesie, co wypadło wręcz ujmująco. - W przeciwnym razie nie byłoby mnie tu. Ale mogę pana zapewnić, że znam swoje prawa. Wszystko, co doradzam, jest absolutnie legalne i uczciwe. To wyłącznie kwestia zakładu. Człowiek może się założyć, o co tylko chce, czy jutro będzie padać, czy Rosjanie wyślą człowieka na księżyc albo czy pańska żona urodzi bliźniaki. Może się pan założyć o to, czy pani B. umrze przed Bożym Narodzeniem albo czy pani C. będzie żyła do stu lat. Opiera pan swoją opinię na intuicji lub jak pan to chce nazwać.

Czułem się dokładnie tak, jakby chirurg uspokajał mnie przed operacją. Gabinet pana Bradleya nadawał się do tego znakomicie.

- Naprawdę nie rozumiem tej historii z Białym Koniem - powiedziałem powoli.

- I to pana niepokoi? Tak, wiele osób to odczuwa. "Są rzeczy na niebie i ziemi, Horatio"... i tak dalej, i tak dalej. Szczerze mówiąc, sam tego nie rozumiem. Niemniej to daje rezultaty. Daje cudowne rezultaty.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

Wszedłem teraz w swoją rolę - ostrożny, skwapliwy, ale przestraszony. Była to wyraźnie postawa, z którą pan Bradley musiał często walczyć.

- Zna pan w ogóle to miejsce?

Podjąłem szybką decyzję. Kłamanie byłoby niemądre.

- Ja... no... tak... byłem tam z przyjaciółmi. Zabrali mnie...

- Uroczy, stary pub. Ciekawy historycznie. Dokonały cudów, restaurując go. Spotkał pan ją zatem. Mam na myśli moją przyjaciółkę, pannę Grey.

- Tak... tak, oczywiście. Niezwykła kobieta.

- Prawda? Rzeczywiście tak jest. Trafił pan w dziesiątkę. Niezwykła kobieta. I obdarzona nadzwyczajną mocą.

- A te jej rewelacje! Zapewne całkiem... no... niemożliwe?

- Właśnie. Na tym polega cała historia. To, do czego - jak utrzymuje - jest zdolna, jest niemożliwe! Każdy to stwierdzi. Na przykład w sądzie... - Czarne, paciorkowate oczka świdrowały mnie. Pan Bradley powtórzył z naciskiem: - Na przykład w sądzie cała rzecz wydałaby się śmieszna. Gdyby ta kobieta zeznała, że popełniła morderstwo przez działanie na odległość albo siłą woli czy jak tam idiotycznie by to nazwała, takie zeznanie nie mogłoby zostać wzięte pod uwagę! Nawet gdyby jej słowa były prawdziwe (w co rozsądni ludzie jak pan i ja nie uwierzą ani na moment!), nie można by legalnie tego przyznać. Morderstwo przez wpływ na odległość nie jest morderstwem w oczach prawa. Jest nonsensem. Na tym polega całe piękno tej sprawy, przyzna pan, pomyślawszy chwilę.

Zrozumiałem, że jestem uspokajany. Morderstwo popełnione przez siły tajemne nie jest w angielskim sądzie morderstwem. Gdybym wynajął gangstera, by zamordował nożem lub pałąką, byłbym winny współdziałania przed faktem i zмовy z nim. Jeżeli jednak zlecę Thyrze Grey, aby użyła swojej czarnej magii, ta czarna magia będzie nie do przyjęcia.

Cały mój naturalny sceptycyzm zamieniał się w protest. Wybuchnąłem w podnieceniu:

- U licha, to wszystko jest fantastyczne! Nie wierzę w to. To niemożliwe.

- Zgadzam się z panem. Naprawdę się zgadzam. Thyrza Grey jest niezwykłą kobietą i na pewno posiada pewne nadzwyczajne siły, ale nie można wierzyć we wszystkie rzeczy, które opowiada o sobie. Jak pan mówi, jest to zbyt fantastyczne. W tym stuleciu naprawdę nie można uwierzyć, że ktoś, siedząc w domku w Anglii, potrafi wysyłać fale myślowe czy coś w tym rodzaju, albo sam, albo poprzez medium, i spowodować, że inny człowiek zachoruje lub umrze na zwyczajną chorobę na Capri lub w podobnym miejscu.

- Ale czy ona właśnie tak twierdzi?

- O tak. Oczywiście ma pewną siłę. Ona jest Szkotką, a mówi się, że ta nacja ma zdolności do jasnowidzenia. W rzeczywistości nic takiego nie istnieje. Ja wierzę, i to bez wątpliwości, w następującą rzecz - nachylił się, kiwając znacząco palcem. - Thyrza Grey wie z góry, kiedy człowiek ma umrzeć. To jest dar. I ona go posiada.

Wyprostował się, obserwując mnie. Czekałem.

- Rozpatrzmy hipotetyczny wypadek. Ktoś, pan sam czy ktoś inny, chce wiedzieć, kiedy umrze - powiedzmy cioteczna babka Eliza. Przyzna pan, że dobrze jest wiedzieć coś takiego. Nie ma w tym nic niezyczliwego, nic złego, po prostu wygoda w interesach. Jak planować? Czy przydatna suma pieniędzy wpłynie do następnego listopada? Jeżeli pan to wie na pewno, może pan dokonać korzystnego wyboru. Śmierć jest sprawą tak przypadkową. Kochana, stara Eliza mogłaby żyć, podtrzymywana przez lekarzy, jeszcze przez dalsze dziesięć lat. Oczywiście byłby pan uszczęśliwiony, lubi pan zacząć staruszkę, ale jakże pożytecznie byłoby wiedzieć. - Przerwał i znowu

pochylił się ku mnie. - I tu właśnie wkraczam ja. Przyjmuję zakłady. Może pan założyć się o wszystko - rzecz jasna, na moich warunkach. Przychodzi pan do mnie. Naturalnie nie mógłby się pan założyć o to, że staruszka umrze. To wzbudziłoby w panu odrazę. Więc załatwiamy to w ten sposób. Zakłada się pan ze mną o jakąś sumę, że ciocia Eliza będzie krzepka i zdrowa jeszcze w czasie najbliższych świąt Bożego Narodzenia, a ja twierdzę, że nie.

Paciorkowate oczy obserwowały mnie.

- Nic nie można temu zarzucić, prawda? Prosta sprawa. Sprzeczamy się na ten temat. Mówię, że ciocia Eliza zbliża się do śmierci, pan utrzymuje, że nie. Spisujemy umowę i podpisujemy ją. Podaję panu datę. Oświadczam, że w każdym razie w dwa tygodnie od tego dnia będzie można przeczytać zawiadomienie o pogrzebie cioci E. Pan uważa, że nie. Jeśli pan ma rację, ja płacę panu. Jeśli pan się myli, płaci pan mnie.

Patrzyłem na niego. Próbowałem wzbudzić w sobie uczucia faceta, który chce usunąć bogatą starszą damę. Zmieniłem go na szantażystę. Łatwiej było wczuć się w tę rolę. Pewien człowiek wysysa mnie od lat. Nie potrafię znieść tego dłużej. Pragnę jego śmierci. Nie mam dość odwagi, by go zabić, ale dałbym wszystko... tak, wszystko...

Mówiłem, a mój głos był ochrypliwy. Grałem rolę z głębokim przekonaniem.

- Jakie warunki?

Zachowanie pana Bradleya uległo raptownej zmianie. Stał się wesoły, niemal krotochwilny.

- Doszliśmy i do tego, co? Albo raczej pan z tym wystąpił, ha, ha. "Ile?" - zapytał pan. Naprawdę zupełnie mnie pan zaskoczył. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś przeszedł tak szybko do tego tematu.

- Jakie warunki?

- To zależy. To zależy od kilku różnych czynników. Z grubsza biorąc, zależy to od stopnia ryzyka. W niektórych wypadkach zależy od funduszy, jakimi dysponuje klient. Niepożądany mąż, szantażysta czy ktoś w tym rodzaju - od tego zależy, na jak wiele mój klient może sobie pozwolić. Muszę wyjaśnić, że nie zakładam się z niezamożnymi klientami, wyjąwszy taki rodzaj spraw, jaki uprzednio przedstawiłem. W tym wypadku suma zależy od wielkości majątku cioci Elizy. Warunki są określane za obopólną zgodą. Obaj chcielibyśmy coś z tego mieć. Szansę wynoszą zwykle pięćset do jednego.

- Pięćset do jednego? To bardzo wygórowana cena.

- Moje ryzyko jest nieprawdopodobne. Gdyby ciocia Eliza stała nad grobem, wiedziałby pan o tym i nie przychodził do mnie. Przepowiedzenie komuś śmierci za dwa tygodnie oznacza bardzo słabą szansę trafienia. Pięć tysięcy funtów do stu nie jest bynajmniej niezwykłą rzeczą.

- Przypuśćmy, że pan przegra. Pan Bradley wzruszył ramionami.

- To przykre. Płacę.

- Jeśli ja przegram, płacę również. A jeśli, dajmy na to, nie zapłacę?

Pan Bradley wyprostował się na krześle. Przymknął nieco oczy.

- Nie radziłbym tego - powiedział łagodnie. - Naprawdę nie radziłbym.

Choć mówił łagodnie, przeszedł mnie lekki dreszcz. Nie wypowiedział wyraźnej groźby, ale można ją było wyczuć. Wstałem, mówiąc:

- Ja... muszę to przemyśleć.

Pan Bradley stał się znowu miły i grzeczny.

- Oczywiście, proszę to przemyśleć. Nie należy się śpieszyć w żadnej sprawie. Jeśli zdecyduje się pan, proszę wrócić i wtedy zajmiemy się sprawą szczegółowo. Powoli. Nie ma pośpiechu. Powoli.

Wyszedłem, a w uszach dźwięczały mi te słowa.

- Nie ma pośpiechu...

XIII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Do wybadania pani Tuckerton przystąpiłem z najwyższą niechęcią. Poganiany przez Ginger, byłem wciąż daleki od przekonania o słuszności tego przedsięwzięcia. Przede wszystkim nie czułem się na siłach, aby wykonać zadanie, które sam ustaliłem. Miałem wątpliwości, czy potrafię wywołać odpowiednią reakcję, i byłem w pełni świadom występowania w fałszywej roli.

Ginger, z niemal przerażającą sprawnością, którą okazywała, gdy jej to odpowiadało, pouczała mnie przez telefon.

- Rzecz będzie zupełnie prosta. To dom projektowany przez Nasha. Nie jest w stylu, który się zwykle z nim kojarzy. Jeden z tych pseudogotyckich wybryków fantazji.

- A dlaczego ja chcę go obejrzeć?

- Zastanawiasz się nad napisaniem artykułu albo książki na temat wpływów, które powodują zmiany stylu architekta. Coś takiego.

- Brzmi to dla mnie bardzo mętnie.

- Głupstwo - oświadczyła Ginger energicznie. - Kiedy wejdiesz na temat sztuki czy nauki, okazuje się, że ludzie, których byś o to nigdy nie podejrzewał, przedstawiają z najwyższą powagą najbardziej niewiarygodne teorie. Potrafiłabym ci zacytować całe rozdziały banialuków.

- Właśnie dlatego jesteś naprawdę znacznie bardziej odpowiednią osobą niż ja.

- I tu się mylisz - odparła Ginger. - Pani T. może cię znaleźć w "Who is Who", a to rzeczywiście robi wrażenie. Mnie tam nie znajdzie.

Pozostałem nie przekonany, choć na razie pokonany.

Po powrocie z mojej niebywałej rozmowy z panem Bradleyem Ginger i ja naradziliśmy się wspólnie. Rozmowa była mniej niewiarygodna dla niej niż dla mnie. To sprawiło jej wyraźną satysfakcję.

- To kładzie kres problemowi, czy wymyśliliśmy sobie tę sprawę, czy nie - podkreśliła. - Wiemy już, że istnieje organizacja, która usuwa niepożądanych ludzi.

- Nadnaturalnymi środkami!

- Myślisz jak człowiek ograniczony. To te wszystkie powiewności i skarabeusze, które nosi Sybil. To cię onieśmiela. A gdyby pan Bradley okazał się szarlatanem albo pseudoastrologiem, ty jeszcze byłbyś nie przekonany. Ponieważ jednak jest wstrętnym, małym, przyziemnym kanciarzem - takie wyobrażenie mi przekazałeś...

- Coś w tym rodzaju.

- To sprawia, że cała sprawa zaczyna trzymać się kupy. Jakkolwiek fałszywie to zabrzmiało, te trzy kobiety z Białego Konia muszą mieć związek z czymś, co działa.

- Jeśli jesteś tak przekonana, po co nam zatem pani Tuckerton?

- Dodatkowe upewnienie się - powiedziała Ginger. - Wiemy, co Thyrza mówi o swoich możliwościach. Wiemy, jak załatwia się stronę finansową. Chcemy poznać sprawę z punktu widzenia klienta.

- A przypuścimy, że pani Tuckerton nic da poznać po sobie, że była klientką?

- W takim wypadku będziemy musieli przeprowadzić śledztwo jeszcze gdzie indziej.

- I oczywiście ja mogę to sfuszerować - oświadczyłem ponuro. Ginger zauważyła, że powinienem lepiej myśleć o sobie.

I tak właśnie zjawiłem się przy frontowych drzwiach Carraway Park. Z pewnością nie odpowiadał on mojemu wyobrażeniu o domu Nasha. Pod wieloma względami przypominał skromnej wielkości zamek. Ginger obiecała mi dostarczyć ostatnią książkę o architekturze Nasha, ale przesyłka nie dotarła na czas, więc nie zostałem odpowiednio poinformowany.

Zadzwoiłem do drzwi, które otworzył dość zaniedbany mężczyzna w marynarce z alpaki.

- Pan Easterbrook? Pani Tuckerton oczekuje pana.

Wprowadził mnie do wyszukanej urządzonej bawialni. Pokój zrobił na mnie niemiłe wrażenie. Wszystkie znajdujące się w nim przedmioty były kosztowne, ale wybrane bez smaku. Sam w sobie

miał ładne proporcje. Wisało tam parę dobrych obrazów i dużo złych. Wszędzie był nadmiar żółtego brokatu. Dalsze oględziny przerwało mi wejście pani Tuckerton. Podniosłem się z trudnością z głębin jaskrawożółtej, brokatowej sofy.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale doznałem miłego zaskoczenia. W jej wyglądzie nie było nic złowieszczonego; po prostu zupełnie zwyczajna kobieta w średnim wieku. Może niezbyt interesująca i - jak pomyślałem - niezbyt miła osoba. Jej wargi, mimo hojnego użycia szminki, były cienkie i skore do gniewu, podbródek cofnięty. Bładoniebieskie oczy sprawiały wrażenie, że ta kobieta szacuje cenę każdej rzeczy. Należała do osób, które dają portierom i babciom klozetowym zbyt małe napiwki. Spotyka się mnóstwo kobiet tego rodzaju, choć zwykle ubranych mniej kosztownie i nie tak dobrze umalowanych.

- Pan Easterbrook? - była wyraźnie zachwycona moją wizytą. Stała się nawet trochę wylewna. - Tak się cieszę, że pana poznałam. To dziwne, że zainteresował się pan tym domem. Oczywiście wiedziałam, że został zbudowany przez Johna Nasha, powiedział mi to mąż, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że może on być interesujący dla kogoś takiego jak pan.

- Cóż, widzi pani, to nie jest jego zwykły styl i dlatego sprawa staje się tak ciekawa...

Oszczędziła mi kłopotów kontynuowania.

- Obawiam się, że jestem okropnie głupia, jeśli chodzi o architekturę i podobne dziedziny, mam na myśli archeologię i tak dalej. Proszę jednak nie zwracać uwagi na moją ignorancję...

Nie miałem takiego zamiaru. Zdecydowanie wolałem taką sytuację.

- Oczywiście te wszystkie rzeczy są strasznie ciekawe - rzekła pani Tuckerton.

Odparłem, że my, specjaliści, jesteśmy natomiast okropnie nudni i zanudzamy innych naszym stałym tematem.

Pani Tuckerton zapewniła, że to nie jest prawda, i spytała, czy chciałbym najpierw wypić herbatę, a później obejrzeć dom, czy przejść się po domu przed herbatą.

Nie byłem przygotowany na herbatę, gdyż moja wizyta odbywała się o piętnastej trzydzieści, ale zaproponowałem, że może najpierw zwiedzę dom.

Oprowadziła mnie, szczebiocząc z ożywieniem prawie cały czas i w ten sposób zwalniając mnie z wypowiedzenia jakichkolwiek opinii na temat architektury.

Szczęśliwie się złożyło - mówiła - że przyszedłem teraz. Dom został wystawiony na sprzedaż. "Jest za duży dla mnie po śmierci męża". Chyba znalazł się już kupiec, choć agenci mają go w swych księgach zaledwie od tygodnia.

- Nie chciałabym, żeby oglądał go pan, kiedy będzie pusty. Uważam, że dom musi być zamieszkanym, jeśli ktoś rzeczywiście go ocenia, prawda?

Wolałbym widzieć ten dom nie zamieszkały i nie umeblowany, ale naturalnie nie mogłem tego powiedzieć. Zapytałem ją, czy zamierza pozostać w sąsiedztwie.

- Naprawdę nie wiem. Chcę trochę podróżować. Pojechać gdzieś, gdzie jest słońce. Nienawidzę tego ohydneho klimatu. Obecnie myślę o spędzeniu zimy w Egipcie. Byłam tam przed dwoma laty. Cudowny kraj, ale sądzę, że pan to wszystko wie.

Nie wiedziałem niczego o Egipcie i powiedziałem to.

- Przypuszczam, że jest pan skromny - odparła wesoło i wymijająco. - To jest jadalnia. Jest ośmiokątna. To dobrze, prawda? Prawie nie ma kątów.

Odparłem, że ma zupełną rację, i pochwaliłem proporcje.

Zakończywszy rundę po domu, wróciliśmy do bawialni i pani Tuckerton zadzwoniła po herbatę. Wniósł ją ten sam zaniedbany służący. Ogromny, wiktoriański, srebrny czajnik wymagał czyszczenia.

Kiedy służący wyszedł, gospodyni westchnęła.

- W dzisiejszych czasach służba jest niemożliwa. Po śmierci mego męża para małżeńska, którą on zatrudniał od dwudziestu lat, uparła się, żeby odejść. Twierdzili, że przechodzą na emeryturę, ale słyszałam, że podjęli inną pracę. Dostają bardzo wysoką pensję. Sądzę, że to absurd, bym ja sama płaciła tak duże pieniądze. Kiedy się pomyśli, ile kosztuje mieszkanie i utrzymanie służby... nie mówiąc o ich praniu.

Tak - pomyślałem - skąpa. W tych bladych oczach, zaciśniętych ustach kryło się skąpstwo.

Nie miałem trudności z zachęceniem pani Tuckerton do mówienia. Lubiała mówić. Szczególnie o sobie. Niebawem, dzięki słuchaniu z wytężoną uwagą i rzucaniu od czasu do czasu zachęcającego słowa, wiedziałem o niej sporo. Wiedziałem przy tym więcej, niż się jej zdawało.

Dowiedziałem się, że poślubiła wdowca, Thomasa Tuckertona, pięć lat temu. Była "dużo, dużo młodsza od niego". Poznała go w nadmorskim hotelu, w którym pracowała jako brydżowa hostessa. Nie zdawała sobie sprawy, że ten ostatni fakt wymknął się jej. On miał córkę w pobliskiej szkole, a "mężczyzna nie wie, co zrobić z dziewczyną, kiedy zabiera ją ze szkoły".

- Biedny Thomas był taki samotny... Jego pierwsza żona zmarła parę lat wcześniej i bardzo mu jej brakowało.

Pani Tuckerton nadal przedstawiała obraz swojej osoby. Miłosierna, życzliwa kobieta, litująca się nad starzejącym się, samotnym mężczyzną. Jego pogarszające się zdrowie i jej poświęcenie.

- Choć, oczywiście, w ostatnim stadium jego choroby nie mogłam naprawdę mieć własnych przyjaciół.

Zastanawiałem się, czy byli tam jacyś zaprzyjaźnieni mężczyźni, których Thomas Tuckerton uznał za niepożądanych. To mogłoby wyjaśniać warunki testamentu.

Ginger sprawdziła jego treść w Somerset Home.

Zapisy dla starych służących, dla kilkorga chrześniaków i zaopatrzenie dla żony - dostateczne, ale nie przesadnie hojne. Pewna suma w depozycie, z której dochód miał być wypłacany przez całe życie. Reszta majątku, wyrażająca się sześciocyfrową liczbą, dla córki, Thomasiny Ann, miała zostać jej oddana bez żadnych warunków w chwili ukończenia przez nią dwudziestu jeden lat albo zamążpójścia. Gdyby zmarła jako osoba niezamężna przed osiągnięciem pełnoletności, pieniądze przechodzą na jej macochę. Wyglądało na to, że nie ma innych członków rodziny.

Nagroda - jak pomyślałem - była wysoka. A pani Tuckerton lubiła pieniądze... To aż z niej tryskało. Byłem pewien, że zanim poślubiła starszego wdowca, nigdy nie miała własnych pieniędzy. I wtedy, być może, przyszło jej to do głowy. Żyjąc z chorym mężem, który ją krępował, cieszyła się na czasy, kiedy będzie wolna, jeszcze młoda i bogatsza, niż kiedykolwiek mogła marzyć.

Testament, być może, przyniósł rozczarowanie. Śniła o czymś lepszym niż umiarkowany dochód. Radowała się na kosztowne podróże, luksusowe rejsy, suknie, biżuterię, a może na czystą przyjemność posiadania rosnących w banku pieniędzy.

Tymczasem wszystkie pieniądze miała dostać ta dziewczyna! Dziewczyna została bogatą spadkobierczynią. Ta dziewczyna, która prawdopodobnie nie lubiła macochy i okazywała to z nierozważną bezwzględnością młodości. Ta dziewczyna miała być bogata - chyba że...

Chyba że...? Czy to wystarczyło? Czy mogłem uwierzyć, że to złotowłose, mizdrzące się stworzenie, gadające tak gładko komunały, było zdolne do wyszukania Błedego Konia i postarania się, żeby pewna młoda dziewczyna umarła?

Nie, nie potrafiłem w to uwierzyć.

Musiałem jednak wykonać swoją robotę. Powiedziałem dosyć obcesowo:

- Wydaje mi się, że spotkałem kiedyś pani córkę... pasierbicę. Popatrzyła na mnie z łagodnym zdziwieniem, ale bez większego zainteresowania.

- Thomasinę? Naprawdę?

- Tak. W Chelsea.

- Och, w Chelsea. To możliwe... - Westchnęła. - Te dzisiejsze dziewczyny. Takie trudne. Nie da się utrzymać nad nimi żadnej kontroli. To niepokoiło bardzo jej ojca. Ja nie potrafiłam nic na to poradzić. Nigdy nie słuchała tego, co mówiłam. - Westchnęła jeszcze raz. - Kiedy braliśmy ślub, była prawie dorosła. Macocha... - potrząsnęła głową.

- To zawsze trudna pozycja - powiedziałem współczująco.

- Robiłam, co się tylko dało.

- Jestem tego pewien.

- To było całkiem bezcelowe. Oczywiście Tom nie pozwoliłby, żeby była dla mnie niegrzeczna, ale ona lawirowała, jak mogła. Sprawiała, że życie stało się nie do wytrzymania. Kiedy uparła się opuścić dom, odczułam ulgę, ale mogłam też zrozumieć, co Tom przeżywa w związku z tym. Zadawała się z zupełnie nieodpowiednimi ludźmi.

- Pojmuję to.

- Biedna Thomasina - rzekła pani Tuckerton. Poprawiła lok blond włosów i spojrzała na mnie. - Och, może pan nie wie. Zmarła miesiąc temu. Zapalenie mózgu - całkiem niespodziewane. Ta choroba atakuje zwłaszcza młode osoby. Bardzo smutne.

- Słyszałem, że nie żyje. Podniosłem się.

- Dziękuję pani, naprawdę jestem wdzięczny za pokazanie mi domu.

Uścisnąłem jej rękę. Odchodząc, odwróciłem się.

- Przy okazji - powiedziałem. - Myślę, że zna pani Błatego Konia, prawda?

Nie było żadnych wątpliwości co do reakcji. Panika, zwyczajna panika pojawiła się w białych oczach. Jej twarz pod makijażem stała się nagle blada i przestraszona.

Odezwała się cienkim, piskliwym głosem:

- Błady Koń? Nie wiem nic o Bładym Koniu. Pozwoliłem sobie na łagodne zdziwienie.

- Och, pomyliłem się. To jest bardzo ciekawy stary pub w Much Deeping. Byłem tam kiedyś i zaprowadzono mnie, żebym go obejrzał. Został uroczo zmieniony, z zachowaniem całej atmosfery. Byłem przekonany, że wspomniano pani nazwisko, ale może chodziło o pani pasierbicę albo o kogoś o tym samym nazwisku. Miejsce jest bardzo znane.

Wychodziłem z przyjemnością. W jednym z lusterek na ścianie zobaczyłem odbicie twarzy pani Tuckerton. Patrzyła za mną. Była ogromnie przestraszona i ujrzałem, jak będzie wyglądać za parę lat... Nie był to przyjemny widok.

XIV. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

- A więc teraz jesteśmy całkiem pewni - powiedziała Ginger.

- Byliśmy pewni już przedtem.

- Tak, to prawda. Ale to przesądza sprawę.

Milczeliśmy chwilę. Wyobraziłem sobie panią Tuckerton jadącą do Birmingham, wchodzącą do Municipal Square Buildings, spotykającą się z panem Bradleyem. Jej nerwowa obawa... jego uspokajająca jowialność. Jego zręczne podkreślanie braku ryzyka. (Musiał podkreślać to bardzo mocno wobec pani Tuckerton). Potrafiłem ją sobie wyobrazić, jak wychodzi bez podjęcia zobowiązania. Pozwala, by pomysł zapuścił korzenie w jej umyśle. Może poszła zobaczyć się z pasierbicą albo dziewczyna przyszła do domu na weekend. Mogły rozmawiać, wspominać o małżeństwie. I cały czas myślała o pieniądzach, nie o małych pieniądzach, o nędznym ochłapie, lecz o wielkich pieniądzach, o kupie forsy, pieniądzach, które dadzą wszystko, czego się zapragnie! I mają pójść do tej zepsutej, źle wychowanej dziewczyny, włóczącej się po kafejkach w Chelsea w dzinsach i porozciąganych swetrach ze swoimi zwyrodniałymi przyjaciółmi. Dlaczego taka paskudna dziewczucha, z której nigdy nie wyrośnie nic dobrego, miałyby dostać wszystkie te piękne pieniądze?

A potem - następna wizyta w Birmingham. Więcej ostrożności, więcej zapewnień. Na koniec dyskusja o warunkach. Uśmiechnąłem się mimo woli. Pan Bradley nie musiał zawsze stawiać na swoim. Pani Tuckerton umiała się targować. Ale na koniec warunki zostały uzgodnione, dokumenty należycie podpisane - i wówczas co?

Tu właśnie wyobraźnia przestawała działać. Tego nie wiedzieliśmy.

Przerwałem medytacje widząc, że Ginger mnie obserwuje.

- Przemyślałeś wszystko? - spytała.

- Skąd wiedziałaś, co robię?

- Zaczynam rozumieć, jak działa twój umysł. Sprawdziłeś to wszystko, idąc za nią do Birmingham i tak dalej, prawda?

- Tak. Ale to miało krótkie nogi. Co działo się dalej od momentu, kiedy załatwiła sprawę w Birmingham?

Popatrzyliśmy na siebie.

- Wcześniej czy później - rzekła Ginger - ktoś musi odkryć, co się dzieje w Białym Koniu.

- Jak?

- Nie wiem... To nie będzie łatwe. Nikt, kto rzeczywiście tam był, kto rzeczywiście to zrobił, nigdy tego nie powie. A jednocześnie oni są jedynymi ludźmi, którzy mogą powiedzieć. To trudna rzecz... Zastanawiam się...

- Może pójść na policję? - zaproponowałem.

- Tak. Mimo wszystko mamy teraz coś konkretnego. Wystarczy, żeby zacząć działać.

Potrząsnąłem głową z powątpiewaniem.

- Mamy dowód, że zamierzano coś zrobić. Ale czy to dosyć? Są te bzdury na temat śmierci na życzenie. Och - uprzedziłem ją - to mogą nie być bzdury, ale tak zabrzmiałoby to w sądzie. Nie mamy nawet pojęcia, jaka jest rzeczywista procedura.

- A więc musimy się dowiedzieć. Tylko jak?

- Każdy chciałby to widzieć albo słyszeć, na własne oczy i uszy. Nie ma jednak gdzie się schować w tym wielkim jak stodoła pokoju, a przypuszczam, że to jest miejsce, w którym to "coś" musi się dziać.

Ginger wyprostowała się, odrzuciwszy głowę energicznie jak terier.

- Jest tylko jeden sposób odkrycia, co się naprawdę dzieje. Musisz zostać prawdziwym klientem.

Patrzyłem na nią w osłupieniu.

- Prawdziwym klientem?

- Tak. Ty albo ja, mniejsza o to, które z nas, musi pragnąć kogoś usunąć. Jedno z nas musi pójść do Bradleya i załatwić sprawę.

- Nie chcę tego - powiedziałem ostro.

- Dlaczego?

- Cóż, to stwarza niebezpieczne możliwości.

- Dla nas?

- Być może. Ale naprawdę myślę o ofierze. Musimy mieć ofiarę, . musimy podać nazwisko. To nie może być tylko wymysł. Ci ludzie mogliby to sprawdzić, zresztą prawie na pewno sprawdzają.

Ginger myślała chwilę, potem przytaknęła.

- Tak. Ofiara musi być istniejącą osobą z prawdziwym adresem.

- I to właśnie mi się nie podoba.

- A my musimy mieć autentycznego człowieka, żeby się go pozbyć. Milczeliśmy chwilę, rozważając aspekty sytuacji.

- Ta osoba, kimkolwiek by była, mogłaby się zgodzić - powiedziałem powoli. - Jest mnóstwo ludzi, których można poprosić.

- Cała kombinacja może być dobra - zastanowiła się Ginger. - Jest jednak pewna rzecz, co do której miałeś absolutną rację, kiedy rozmawialiśmy tamtego dnia. Słabością całej historii jest ciągły dylemat. Interes musi być utrzymany w tajemnicy, ale nie za bardzo. Potencjalni klienci muszą się o nim dowiedzieć.

- Dziwi mnie - powiedziałem - że policja o tym nie wie. Oni zwykle zdają sobie sprawę z prowadzenia przestępczej działalności.

- Tak, myślę jednak, że powodem tego jest amatorskość przedsięwzięcia. To nie jest profesjonalne. Zawodowi kryminaliści nie są w aferę wmieszani czy zatrudniani. To nie jest tak, jak wynajmowanie gangsterów, którzy wykańczają ludzi. To wszystko jest - jakby to nazwać - prywatne.

Przyznałem, że coś w tym jest.

- Przypuśćmy teraz - ciągnęła Ginger - że ty lub ja (sprawdzimy obie możliwości) rozpaczliwie musimy się kogoś pozbyć. A teraz kto to jest, kogo oboje chcemy usunąć? Mamy kochanego starego mojego wujka Mervyna. Kiedy wykituje, dostanę ładną forszę. Ja i jakiś kuzyn z Australii jesteśmy jedynymi, którzy zostali z rodziny. Jest zatem motyw. Wujek ma ponad siedemdziesiąt lat i jest dosyć zdzienniały, więc rozsądniej byłoby, gdybym poczekała, aż umrze śmiercią naturalną, chyba że byłabym w okropnym dołku finansowym i naprawdę trudno byłoby to ukryć. Poza tym on jest milutki i bardzo go lubię, a zdzienniały czy nie, cieszy się życiem i nie chciałabym odebrać mu ani minuty z tego życia czy nawet zakładać coś takiego! A co z tobą? Nie masz jakichś krewnych, którzy zamierzają zostawić ci pieniądze?

Potrząsnąłem głową.

- Ani jednego.

- A niech to licho. Czy mógłby to być szantaż? To wymagałoby jednak mnóstwa kłopotów. Ty masz za mało słabych punktów. Gdybyś był członkiem parlamentu albo pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych czy robiącym karierę ministrem, to co innego. Tak samo ze mną. Pięćdziesiąt lat temu to byłoby proste. Kompromitujące listy lub zdjęcia nago. Ale dziś kogo to naprawdę obchodzi? Można powiedzieć jak księżę Wellington: "Opublikuj i niech cię diabli wezmą!". No i co jeszcze? Bigamia? - Wpatrywała się we mnie z wyrzutem. - Co za szkoda, że nigdy nie byłeś żonaty. Moglibyśmy coś wykombinować.

Wyraz twarzy musiał mnie zdradzić. Ginger była szybka.

- Przepraszam - powiedziała. - Poruszyłam coś przykrego?

- Nie - odparłem. - To nie jest przykre. To zdarzyło się dawno. Wątpię, czy teraz ktoś o tym wie.

- Ożeniłeś się z kimś?

- Tak. Podczas studiów na uniwersytecie. Zachowaliśmy to w tajemnicy. Ona nie była... cóż, moja rodzina byłaby wściekła. Nie byłem nawet pełnoletni. Podaliśmy fałszywy wiek. - Milczałem chwilę, przeżywając na nowo przeszłość. - To by nie przetrwało - powiedziałem powoli. - Teraz wiem. Była ładna i potrafiła być bardzo miła... ale...

- Co się stało?

- Pojechaliśmy do Włoch na długie wakacje. Zdarzył się wypadek... samochodowy. Zginęła na

miejscu.

- A ty?

- Nie było mnie w tym samochodzie. Jechała z... pewnym przyjacielem.

Ginger rzuciła mi szybkie spojrzenie. Myślę, że zrozumiała, jak to było. Szok wynikający z mego odkrycia, że dziewczyna, którą poślubiłem, nie należała do wiernych żon.

Ginger wróciła do spraw praktycznych.

- Wziąłeś ślub w Anglii?

- Tak. W urzędzie stanu cywilnego w Peterborough.

- Ale ona zmarła we Włoszech?

- Tak.

- Zatem w Anglii nie ma jej aktu zgonu?

- Nie.

- No to czego jeszcze chcesz? To jest wysłuchanie modłów! Nic prostszego. Zakochałeś się rozpaczliwie i chcesz się ożenić, ale nie wiesz, czy twoja żona jeszcze żyje. Rozstaliście się przed laty i od tego czasu o niej nie słyszałeś. Śmiałybyś zaryzykować? Kiedy wydaje ci się, że wszystko minęło, nagle zjawia się twoja żona. Spada z nieba, odmawia ci rozwodu, grozi, że pójdzie do twojej dziewczyny i wypaple tajemnicę.

- Kto jest moją dziewczyną? - zapytałem, lekko zmieszany. - Ty? Ginger wydawała się zaskoczona.

- Na pewno nie ja. Jestem zupełnie niewłaściwym typem. Prawdopodobnie zdecydowałabym się żyć z tobą w grzechu. Nie, wiesz dobrze, kogo mam na myśli - ona będzie w sam raz. Ta posągowa brunetka, z którą chodzisz. Wielka intelektualistka i osoba poważna.

- Hermia Redcliffe?

- Właśnie. Twoja stała kobieta.

- Kto ci o niej opowiedział?

- Poppy, oczywiście. Jest przy tym bogata, prawda?

- Jest bardzo zamożna. Ale doprawdy...

- Dobrze, dobrze. Nie mówię, że poślubiasz ją dla pieniędzy. Nie jesteś taki. Ale zdeprawowane umysły, takie jak Bradleya, mogą łatwo tak pomyśleć... Więc dobrze. Sytuacja jest taka. Zamierzasz

oświadczyć się Hermii, gdy z przeszłości wynurza się niechciana żona. Przybywa do Londynu i robi się draka. Ty nalegasz na rozwód, ona się nie zgadza. Chce się zemścić. I wtedy dowiadujesz się o Bładym Koniu. Założę się, o co chcesz, że Thyrza i ta głupawa wieśniaczka Bella uważają, że właśnie z tego powodu przybyłeś tam wówczas. Uznały to za celowy kontakt i dlatego Thyrza była tak otwarta. Zaprezentowały ci reklamę.

- To możliwe, jak sądzę - powiedziałem, rozpamiętując cały tamten dzień.

- A twoja wizyta u Bradleya, wkrótce potem, pasuje do tego jak ulał. Jesteś złapany. Jesteś przyszłym klientem...

Przerwała triumfalnie. W tym, co mówiła, coś było, ale nie wiedziałem dokładnie co...

- Wciąż myślę, że będą prowadzić dochodzenie bardzo starannie.

- To pewne - zgodziła się Ginger.

- Bardzo łatwo wymyślić fikcyjną żonę, wskrzeszoną z przeszłości, ale oni będą chcieli szczegółów - gdzie mieszka i tak dalej. I kiedy spróbuję się wymigiwać...

- Nie będziesz potrzebował się wymigiwać. Żeby przeprowadzić sprawę jak należy, ona musi być - i będzie! Przygotuj się - ja będę twoją żoną!

2

Gapiałem się na nią. Może lepiej byłoby powiedzieć: wytrzeszczyłem oczy. Naprawdę się dziwię, że nie wybuchnęła śmiechem. Pozbierałem się, kiedy zaczęła znowu mówić.

- Nie musisz być tak zmieszany. To nie są oświadczenia. Odzyskałem mowę.

- Nie wiesz, co mówisz.

- Oczywiście, że wiem. To, co proponuję, jest zupełnie możliwe do przeprowadzenia i ma tę zaletę, że nie sprowadza niebezpieczeństwa na niewinną osobę.

- Sama się pchasz w niebezpieczeństwo.

- To moje zmartwienie.

- Nie twoje. A w każdym razie to jest niewykonalne.

- Ależ jest. Przemyslałam wszystko. Przybywam do umeblowanego mieszkania z paroma walizami oklejonymi zagranicznymi nalepkami. Wynajmuję to mieszkanie na nazwisko pani Easterbrook - i kto, na miłość boską, może powiedzieć, że nią nie jestem?

- Każdy, kto cię zna.

- Nikt, kto mnie zna, nie zobaczy mnie. Nie chodzę do pracy z powodu choroby. Odrobina farby na włosy - nawiasem mówiąc, twoja żona była blondynką czy brunetką? - nie stanowi problemu.

- Brunetką - odpowiedziałem mechanicznie.

- W porządku. Nienawidzę rozjaśniania. Odmienny ubiór, mocny makijaż i najlepszy przyjaciel mnie nie pozna. A ponieważ przez ostatnie piętnaście lat nie widziano twojej żony, prawdopodobnie nikt nie zauważy, że nią nie jestem. Dlaczego ktokolwiek z Białego Konia miałby wątpić, że jestem osobą, za którą się podaję? Jeżeli jesteś gotowy podpisać dokumenty, stawiając wielką sumę na to, że zostanę żywa, nikt nie będzie kwestionować prawdziwości mego istnienia. Nie masz powiązań z policją, jesteś autentycznym klientem. Mogą sprawdzić fakt małżeństwa przez obejrzenie starych akt w Somerset House. Mogą sprawdzić twoją zażyłość z Hermią. Skąd więc miałyby się wziąć zastrzeżenia?

- Nie zdajesz sobie sprawy z trudności, z ryzyka.

- Do diabła z ryzykiem! - wykrzyknęła Ginger. - Z rozkoszą pomogłabym ci wygrać nędzne sto funtów od tego oszusta Bradleya.

Popatrzyłem na nią. Lubiłem ją bardzo... Jej rude włosy, piegi, waleczny charakter. Nie mogłem jednak pozwolić jej na podjęcie takiego ryzyka.

- Nie mogę się na to zgodzić, Ginger. Przypuśćmy, że coś się stanie.

- Mnie?

- Tak.

- Czy to nie moja sprawa?

- Nie. To ja cię w to wrobiłem.

Skinęła głową w zadumie.

- Tak, może tak było. Ale to nieważne, kto był pierwszy. Teraz tkwimy w tym oboje i oboje musimy coś zrobić. Mówię poważnie, Mark. Nie udaję, że to tylko zabawa. Jeżeli to, co sądzimy, jest prawdą, jest to ohydny, nieludzki proceder, który musi zostać przerwany. Widzisz, to nie jest morderstwo w afekcie, z zazdrości lub nienawiści, nie jest nawet morderstwem z chciwości, ludzkiej chęci zysku, ale wiąże się z osobistym ryzykiem. To morderstwo jest interesem, w którym nie bierze się pod uwagę, kim może być ofiara... Tak przedstawia się sprawa, jeśli to jest prawda - dodała, patrząc na mnie przez chwilę z niepewnością.

- To jest prawda - powiedziałem. - Dlatego właśnie obawiam się o ciebie.

Ginger oparła łokcie na stole i zaczęła argumentować. Dyskutowaliśmy w kółko hałaśliwie,

powtarzając się, podczas gdy wskazówki mojego kominkowego zegara poruszały się powoli. Na koniec Ginger podsumowała:

- A więc tak. Jestem uprzedzona i uzbrojona. Wiem, co ktoś próbuje mi zrobić. I nie wierzę ani przez moment, że zdoła tego dokonać. Jeżeli każdy ma "pragnienie śmierci", to moje nie jest dobrze wykształcone! Cieszę się dobrym zdrowiem. I po prostu nie potrafię uwierzyć, że dostanę kamieni żółciowych albo zapalenia mózgu tylko dlatego, że stara Thyrza narysuje na podłodze pentagramy albo Sybil wpadnie w trans - czy co tam te kobiety robią.

- Mógłbym sobie wyobrazić, że Bella składa w ofierze białego koguta.

- Musisz przyznać, że wszystko to jest okropnym kantem.

- Nie wiemy, co się naprawdę tam dzieje - podkreśliłem.

- Nie. I właśnie dlatego ważne jest, by to odkryć. Czy jednak wierzysz, naprawdę wierzysz, że z powodu tego, co robią te trzy kobiety w takiej stodole jak Błady Koń, ja w jakimś mieszkaniu w Londynie dostanę jakiejś śmiertelnej choroby? Tego nie potrafisz!

- Nie - odparłem. - Nie mogę uwierzyć... Ale - dodałem - wierzę... Spojrzeliśmy na siebie.

- Tak - rzekła Ginger. - To twoja słabość.

- Słuchaj - powiedziałem. - Zrobmy to inaczej. Pozwól mi być kimś z Londynu. Ty będziesz klientką. Potrafimy wykombinować coś...

Ale Ginger potrząsnęła energicznie głową.

- Nie, Mark. Z pewnych powodów to nie wyjdzie. Najważniejsze, że jestem już znana w Bładym Koniu - we własnej, beztróskiej osobie. Potrafiliby wydostać od Rhody wszystkie plotki o moim życiu, a w nim nic nie ma. Ale ty jesteś w idealnej sytuacji - nerwowy klient, węszący dookoła, niezdolny jednak do popełnienia czynu osobiście. Nie, to musi zostać zrobione właśnie w taki sposób.

- To mi się nie podoba. Nie podoba mi się myśl o tobie, samotnej w obcym mieszkaniu, pod fałszywym nazwiskiem, bez opieki. Myślę, że zanim coś rozpoczniemy, powinniśmy pójść na policję, teraz, przed spróbowaniem tego.

- Zgadza się - powiedziała powoli Ginger. - Rzeczywiście uważam, że to powinieneś zrobić. Musisz działać. Dokąd pójdziesz? Do Scotland Yardu?

- Nie - odparłem. - Myślę, że najlepszy będzie inspektor Lejeune.

XV. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Polubiłem inspektora Lejeune'a od pierwszego wejrzenia. Roztaczał atmosferę spokoju i kompetencji. Pomyślałem także, że jest człowiekiem z wyobraźnią, takim, który chętnie rozpatruje możliwości, a przy tym nie ortodoksyjnym.

- Doktor Corrigan opowiedział mi o waszym spotkaniu - zaczął. - Jest od początku bardzo zainteresowany tą sprawą. Ojciec German był bardzo popularny i szanowany w tej okolicy. Ma pan podobno dla nas nadzwyczajne informacje.

- To łączy się z miejscem nazywającym się Błady Koń.

- W miejscowości, o ile wiem, Much Deeping?

- Tak.

- Niech mi pan o tym opowie.

Opowiedziałem mu o pierwszej wzmiance na temat Bładego Konia w Fantasio. Potem opisałem wizytę u Rhody i zaznajomienie mnie z "trzem Parkami". Zrelacjonowałem, najdokładniej jak umiałem, rozmowę z Thyrzą Grey owego popołudnia.

- Czy to, co mówiła, wywarło na panu wrażenie? Poczułem się zakłopotany.

- No, nie naprawdę. Chcę powiedzieć, że nie wziąłem tego poważnie...

- Naprawdę, panie Easterbrook? Wydaje mi się, że było inaczej.

- Sądzę, że ma pan rację. Nikt nie lubi przyznawać się do łatwowności.

Lejeune uśmiechnął się.

- Coś pan jednak opuścił. Był pan już zainteresowany, kiedy przyjechał pan do Much Deeping. Dlaczego?

- Wydaje mi się, że z powodu przestachu tej dziewczyny.

- Tej młodej damy w kwaciarni?

- Tak. Zrobiła tę uwagę o Bładym Koniu zupełnie zdawkowo. Ten lęk zdawał się podkreślać, że wiąże się z tym coś przerażającego. A potem spotkałem doktora Corrigan, który opowiedział mi o liście nazwisk. Dwa z nich już znałem. Obie osoby nie żyły. Trzecie nazwisko wydało mi się znajome. Później odkryłem, że ta osoba również zmarła.

- To była pani Delafontaine?

- Tak.

- Proszę mówić dalej.

- Postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o tej sprawie.

- I zabrał się pan do tego. Jak?

Zrelacjonowałem mu moje odwiedziny u pani Tuckerton. Na koniec przeszedłem do pana Bradleya i Municipal Square Buildings w Birmingham.

Teraz wzbudziłem jego pełne zainteresowanie. Powtórzył nazwisko.

- Bradley. Więc to Bradley w tym siedzi?

- Pan go zna?

- O, tak. Wiemy wszystko o panu Bradleyu. Sprawia nam moc kłopotów. Jest spokojnym dealerem, bardzo sprytnym, który nie robi nic, do czego moglibyśmy się przyczepić. Zna wszystkie triki i sztuczki legalnej gry. Zawsze jest po właściwej stronie. Mógłby napisać dzieło na wzór starych książek kucharskich "Sto sposobów omijania prawa". Ale morderstwo, coś takiego jak organizowanie morderstwa, było według mnie zupełnie poza sferą jego działalności. Tak - zupełnie poza jego zasięgiem.

- Czy to, co powiedziałem panu o naszej rozmowie, mogłoby odegrać rolę w tej sprawie?

Inspektor powoli pokręcił głową.

- Nie, nie potrafimy nic zrobić na podstawie tego. Przede wszystkim nie było świadków. Działo się to wyłącznie między wami dwoma i Bradley mógłby wszystkiemu zaprzeczyć. Oprócz tego miał zupełną rację mówiąc, że człowiek może się założyć o dowolną rzecz. On się zakłada, że ktoś nie umrze - co jest w tym kryminalnego? Chyba że potrafimy powiązać Bradleya z rzeczywistą zbrodnią, związaną z zakładem, a to - jak przypuszczam - nie będzie łatwe.

Wyrzucił to z siebie, wruszając ramionami. Po chwili zaczął znowu:

- Kiedy był pan w Much Deeping, spotkał pan może człowieka nazwiskiem Venables?

- Tak - odparłem. - Któregoś dnia byłem u niego na lunchu.

- Ach! Jeżeli mogę spytać, jakie wywarł na panu wrażenie?

- Bardzo duże. To człowiek o silnej osobowości. Kaleka.

- Tak. Sparaliżowany po polio.

- Może się poruszać wyłącznie w fotelu na kółkach. Jednak ta niemoc zaważyła chyba na jego determinacji, by żyć i cieszyć się życiem.

- Proszę mi o nim wszystko opowiedzieć.

Opisałem dom Venablesa, skarby sztuki w nim zgromadzone, zakres i rozległość jego zainteresowań.

- Wielka szkoda - zauważył Lejeune.

- Czego szkoda?

- Szkoda, że ten Venables jest kaleką - wyjaśnił sucho inspektor.

- Proszę mi wybaczyć, ale czy jesteście tego zupełnie pewni? Czy nie mógł tego sfignować?

- O ile można być pewnym czegokolwiek, jesteśmy o tym przekonani. Jego lekarzem jest sir William Dugdale z Harley Street, człowiek stojący absolutnie poza podejrzeniem. Mamy zapewnienie sir Williama, że nogi Venablesa uległy atrofii. Nasz pan Osborne może być przeświadczony, że widział Venablesa idącego owego wieczoru przez Barton Street. Myli się jednak.

- Rozumiem.

- Wielka szkoda, bo jeśli istnieje taka rzecz, jak organizacja mająca na celu dokonywanie morderstw, Venables jest człowiekiem, który byłby zdolny to zaplanować.

- Tak, właśnie to pomyślałem.

Inspektor kreślił palcem na stole przeplatające się kółka. Potem spojrzał na mnie bystro.

- Zsumujmy wszystko, co mamy, dodając informacje, których pan dostarczył. Wydaje się w miarę pewne, że jest jakaś agencja czy organizacja specjalizująca się w czymś, co można nazwać usuwaniem niepożądanych osób. Nie robią nic brutalnego. Nie zatrudniają zwykłych zabójców ani rewolwerowców... Wszystko wskazuje na to, że ofiary umierają śmiercią naturalną. Mogę powiedzieć, że oprócz trzech zgonów, o których pan wspomniał, mamy dość niejasne informacje o paru innych, w każdym wypadku z przyczyn naturalnych, które jednak każdorazowo przyniosły komuś korzyść. Proszę pamiętać, że nie ma żadnych dowodów. To sprytnie, cholernie sprytnie, panie Easterbrook. Ktokolwiek to wymyślił - a zrobił to bardzo szczegółowo - ma rozum. Mamy tylko kilka nie powiązanych nazwisk. Bóg wie, ile ich jeszcze jest, jak rozległa może być cała sprawa. A my posiadamy jedynie parę nazwisk, otrzymanych przypadkowo od kobiety, która - wiedząc, że umiera - zapragnęła pojednać się z Bogiem.

Potrząsnął gniewnie głową.

- Ta Thyrza Grey - ciągnął - chwaliła się przed panem swoją mocą. Cóż, może robić to bezkarnie. Oskarżenie o morderstwo, posadzenie na ławie oskarżonych pozwoli jej krzyczeć pod niebiosa i do ławy przysięgłych, że uwalniała ludzi od trosk tego świata siłą woli albo czarami. Zgodnie z prawem nie może być winna. Nigdy nie przebywała w pobliżu tych zmarłych, sprawdziliśmy to, nie posłała im zatrutych czekoladek ani niczego w tym rodzaju. Według jej własnych wyjaśnień siedziała w pokoju i posługiwała się telepatią! No, cała sprawa musiałaby zostać odrzucona przez sąd!

- Ale Lu i Aengus nie śmieją się. Ani nikt w niebiosach - mruknąłem.

- Co takiego?

- Przepraszam. Cytat z "Nieśmiertelnych godzin".

- Tak, to prawda. Diabli w piekle śmieją się, ale nie Gospodarz Nieba. To jest interes szatana, panie Easterbrook.

- Tak - odparłem. - To nie jest słowo używane często w dzisiejszych czasach. Ale tylko ono daje się tu zastosować. Właśnie dlatego...

- Tak?

Inspektor patrzył na mnie pytająco.

- Myślę - zacząłem w pośpiechu - że jest szansa, możliwość uzyskania obszerniejszych informacji na ten temat. Ja i moja przyjaciółka opracowaliśmy plan. Pan może uznać go za bardzo niemądry...

- Ocenię to.

- Przede wszystkim z tego, co pan powiedział, wnioskuję, że jest pan przeświadczony o istnieniu organizacji, o której dyskutowaliśmy, i o jej działalności.

- Działa na pewno.

- Ale nie wie pan, w jaki sposób. Pierwsze kroki zostały już zrobione. Ktoś, nazwijmy go klientem, dowiadyuje się czegoś niezbyt dokładnie o tej organizacji, stara się dowiedzieć więcej, zostaje skierowany do pana Bradleya w Birmingham i decyduje, że chce posunąć się dalej. Zawiera umowę z Bradleyem i potem - jak się domyślam - zostaje skierowany do Białego Konia. Ale co się dzieje później, tego nie wiemy. Co dokładnie dzieje się w Białym Koniu? Ktoś musi się tego dowiedzieć.

- Proszę dalej.

- Dopóki nie będziemy wiedzieć, co właściwie robi Thyrza Grey, nie możemy posunąć się naprzód. Wasz lekarz policyjny, Jim Corrigan, powiada, że cały pomysł jest bzdurą, ale czy to prawda? Jak pan sądzi, inspektorze?

Lejeune westchnął.

- Zna pan moją odpowiedź, taką jakiej udzieliłby każdy człowiek zdrowy na umyśle: "Tak, oczywiście!", ale mówię teraz nieoficjalnie. Podczas ostatnich stu lat zdarzały się bardzo dziwne rzeczy. Czy ktokolwiek uwierzyłby siedemdziesiąt lat temu, że z małego pudełka będzie słychać, jak Big Ben wybija dwunastą, a po skończeniu można usłyszeć znowu na własne uszy to samo przez okno, z prawdziwego zegara, i nie ma w tym żadnego oszukaństwa? Big Ben bije jednak tylko raz, nie dwukrotnie, a dźwięk przynoszą do uszu dwa rodzaje fal. Czy uwierzyłby pan, że można usłyszeć we własnej bawialni, bez połączenia przewodem, człowieka mówiącego w Nowym Jorku? Czy uwierzyłby pan... Och, są tuziny przykładów, które dziś stanowią codzienną wiedzę dziecka.

- Innymi słowy: wszystko jest możliwe?

- O tym właśnie myślę. Jeśli zapyta mnie pan, czy Thyrza Grey potrafi zabić kogoś, przewracając oczami, wpadając w trans czy wysilając swoją wolę, powiem zawsze "nie". Ale... nie jestem pewien... Skąd mógłbym być? Jeżeli natknęła się na coś...

- Tak - powiedziałem. - Zjawiska niewytłumaczalne wydają się nadprzyrodzone. I nauka jutra jest dzisiaj nadprzyrodzona.

- Proszę pamiętać, że nie wypowiadam się oficjalnie - ostrzegł Lejeune.

- Drogi panie, mówi pan sensownie. A odpowiedź brzmi, że ktoś musi tam pójść i przekonać się, co się naprawdę dzieje. To właśnie proponuję - pójść i zobaczyć.

Inspektor gapił się na mnie.

- Droga jest już utorowana - dodałem.

Rozsiadłem się i opowiedziałem mu wszystko. Powiedziałem dokładnie to, co zaplanowaliśmy wraz z Ginger. Słuchał, marszcząc brwi i skubiąc dolną wargę.

- Rozumiem pański punkt widzenia. Okoliczności dały panu prawo włączenia się w sprawę. Nie wiem jednak, czy jest pan w pełni świadom, że to, co pan proponuje, może być ryzykowne. To są groźni ludzie. Sytuacja może stać się niebezpieczna dla pana - a już na pewno dla pana przyjaciółki.

- Wiem - odparłem. - Wiem... Omawialiśmy to sto razy. Nie podoba mi się rola, jaką ona chce odegrać. Ale dziewczyna jest zdecydowana - zdecydowana absolutnie. Niech to diabli wezmą - ona tego chce!

- Jest ruda, mówił pan? - spytał nieoczekiwanie inspektor.

- Tak - rzekłem zaskoczony.

- Rudym nie da się niczego wyperswadować - powiedział inspektor. - Już ja to wiem.

Byłem ciekaw, czy jego żona jest ruda.

XVI. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Przed drugą wizytą u Bradleya nie czułem żadnego niepokoju. Szczerze mówiąc, bawiłem się tym.

- Wczuj się w rolę - przekonywała mnie Ginger, zanim wyruszyłem, a ja właśnie to usiłowałem zrobić.

Pan Bradley przyjął mnie powitalnym uśmiechem.

- Cieszę się, że pana widzę - rzekł, podając mi tłustą rękę. - Zatem przemyślał pan nasz mały problem, co? Cóż, jak powiedziałem, nie ma pośpiechu. Proszę się zastanowić.

- Tego akurat nie mogę zrobić - odparłem. - To jest... no... dosyć pilna sprawa.

Bradley przyjrzał mi się uważnie. Zauważył moją nerwowość, sposób, w jaki unikałem jego oczu, niezdarne upuszczenie kapelusza.

- No, no - rzekł. - Zobaczmy, co się da zrobić. Chce pan dokonać małego zakładu, prawda? Nic tak dobrze nie robi, by odwrócić uwagę od kłopotów, jak sportowe emocje.

- Więc to wygląda tak... - zacząłem i przerwałem. Zostawiłem robotę Bradleyowi. Podjął temat.

- Widzę, że jest pan trochę nerwowy - oświadczył. - Ostrożny. Pochwalam ostrożność. Nigdy nie mów niczego, czego nie mógłbyś powiedzieć przy matce. A może przyszło panu do głowy, że w moim biurze może być pluskwa?

Nie zrozumiałem i było to po mnie widać.

- Tak nazywa się w slangu mikrofon - wyjaśnił. - Magnetofon. Wszystkie te rzeczy. Nie. Daję panu osobiste słowo honoru, że nic takiego tu nie ma. Nasza rozmowa nie będzie protokołowana w żaden sposób. Jeśli nie wierzy pan (jego szczerłość była ujmująca) - a czemu miałby mi pan wierzyć? - ma pan pełne prawo zaproponować własne miejsce, restaurację, przyjemną poczekalnię dworcową i tam omówimy interes.

Oznajmiłem, że jestem pewien, iż wszystko tutaj jest w zupełnym porządku.

- Mądrze! Taka rzecz mogłaby się nam nie opłacić, zapewniam pana. Ani pan, ani ja nie zamierzamy powiedzieć nic, co mówiąc w języku prawniczym mogłoby zostać "użyte przeciw nam". Zaczniemy więc inaczej. Jest coś, co pana niepokoi. Stwierdza pan, że jestem życzliwy i chciałby się pan mi zwierzyć. Mam doświadczenie i mógłbym udzielić panu rady. Jak powiadają, podzielenie się z kimś kłopotem zmniejsza go o połowę. Może przedstawimy to w ten sposób?

Przedstawiliśmy sprawę w ten sposób i wyjąkałem moją historię.

Pan Bradley był bardzo zręczny; namawiał, podsuwał właściwe słowa i zdania. Był tak zacny, że bez żadnych trudności opowiedziałem mu o mojej młodzieńczej namiętności do Doreen i naszym sekretnym małżeństwie.

- To zdarza się tak często - rzekł, potrząsając głową. - Naprawdę często. Zrozumiałe! Młody człowiek, pełen ideałów. Autentycznie piękna dziewczyna. Wystarczy. Jesteście mężem i żoną, zanim się pan obejrzy. I co z tego wynika?

Ciągnąłem opowieść o tym, co z tego wynikło.

Celowo nie wgłębiałem się w szczegóły. Człowiek, którym obecnie byłem, usiłowałby nie wracać do tych wstrętnych spraw. Przedstawiłem jedynie obraz rozczarowania młodego durnia,

przekonującego się, że jest młodym durniem.

Pozwoliłem sobie na sugestię, że na zakończenie odbyła się awantura. Jeżeli Bradley wywnioskował z tego, że moja młoda żona odeszła z innym mężczyzną albo że cały czas był na widoku ktoś inny - to wystarczało.

- Ale wie pan - powiedziałem niespokojnie - choć ona była nie taka, jak sądziłem, była naprawdę przemiłą dziewczyną. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie taka, to znaczy, że tak się zachowa.

- Co właściwie panu zrobiła?

- Zrobiła to - wyjaśniłem - że wróciła.

- A co, według pana, z nią się stało?

- Przypuszczam, że zabrzmiało to dziwnie, ale naprawdę nie myślałem o tym. Faktycznie wydawało mi się, że nie żyje.

Bradley pokiwał nade mną głową.

- Pobożne życzenia. Dlaczego miałyby nie żyć?

- Nigdy nie napisała. Nigdy o niej nie słyszałem.

- Prawda jest taka, że chciał pan o niej zapomnieć.

Ten prawnik z oczami jak paciorki był swego rodzaju psychologiem.

- Tak - odparłem z wdzięcznością. - Widzi pan, nie zamierzałem się żenić.

- Ale teraz ma pan taki zamiar, co?

- No... - odparłem niechętnie.

- Zaraz, zaraz, proszę opowiedzieć staremu papie - rzekł obmierzły Bradley.

Zgodziłem się, z zawstydzoną miną, że tak, ostatnio rozważałem sprawę małżeństwa...

Zaparłem się jednak i twardo odmówiłem podania jakichkolwiek szczegółów dotyczących kandydatki. Nie zamierzałem mieszać jej do tej sprawy. Nie zamierzałem powiedzieć mu o niej ani słowa.

Znowu moja reakcja okazała się właściwa. Nie upierał się.

- To naturalne, drogi panie. Miał pan w przeszłości ciężkie przeżycia. Znalazł pan osobę, która całkowicie panu odpowiada. Podzielającą pańskie upodobania literackie i pański styl życia. Prawdziwą towarzyszkę.

Przekonałem się, że wiedział o Hermii. To było łatwe. Przeprowadzone w mojej sprawie śledztwo ujawniło, że mam tylko jedną bliską kobietę. Ponieważ Bradley otrzymał list zapowiadający moją wizytę, musiał dowiedzieć się wszystkiego o mnie i o Hermii. Był doskonale zorientowany.

- A co z rozwodem? - zapytał. - To byłoby naturalne rozwiązanie.

- Nie ma mowy o rozwodzie - odparłem. - Moja żona nie chce o tym słyszeć!

- Mój Boże. Jaki jest jej stosunek do pana?

- Ona... ee... chce wrócić do mnie. Jest zupełnie nierozsądna. Wie, że jest ktoś i... i...

- Działa złośliwie... Rozumiem... Nie wydaje się, żeby było jakieś wyjście, chyba że... Ale jest całkiem młoda.

- Będzie żyła jeszcze całe lata - powiedziałem z goryczą.

- Och, nigdy nie wiadomo, panie Easterbrook. Mówi pan, że mieszkała za granicą?

- Tak twierdzi. Nie wiem, gdzie była.

- Może na Wschodzie. Czasem, wie pan, w tamtych stronach łapie się jakąś infekcję, która latami jest uśpiona. Wraca się do domu i nagle to wybucha. Znam dwa czy trzy podobne przypadki. Mogło się tak zdarzyć i tym razem. Jeżeli to pana pociesza - przerwał - mógłbym postawić na to małą sumę.

Potrząsnąłem głową.

- Będzie żyła całe lata.

- Cóż, przewaga jest po pańskiej stronie, przyznaję... Zrobmy jednak zakład. Tysiąc pięćset do jednego, że dama umrze przed Bożym Narodzeniem. Odpowiada to panu?

- Wcześniej! To musi nastąpić wcześniej. Nie mogę czekać. Są pewne sprawy...

Celowo mówiłem beładnie. Nie wiedziałem, czy on uważa, iż sprawy między mną a Hermią zaszyły tak daleko, że nie mogę tracić czasu, czy też moja "żona" grozi pójściem do Hermii i narobieniem kłopotu. Mógł sądzić, że Hermię zaczyna interesować inny mężczyzna. Nie obchodziło mnie, co sobie myśli. Chciałem podkreślić pilność sprawy.

- Zmieńmy trochę ustalenia - zaproponował. - Powiedzmy, tysiąc osiemset do jednego, że pańska żona odejdzie przed upływem miesiąca. Mam takie wrażenie.

Zdecydowałem, że czas się potargować, i zrobiłem to. Protestowałem mówiąc, że nie mam tylu pieniędzy. Bradley był zręczny. Dowiedział się w ten czy inny sposób, jaką sumę mógłbym zebrać w krytycznej sytuacji. Wiedział, że Hermia ma forszę. Świadczyła o tym delikatna wzmianka, że po ślubie nie odczułbym straty. Co więcej, moje naleganie ustawiało go w znakomitej pozycji. Nie chciał zniżyć ceny.

Kiedy go opuszczałem, dziwaczny zakład został zrobiony.

Podpisałem pewnego rodzaju rewers. Tekst był zbyt naszpikowany prawniczymi zwrotami, bym go należycie rozumiał. W rzeczywistości wątpiłem bardzo mocno, czy dokument posiada jakąś moc prawną.

- Czy umowa jest ustawowo wiążąca? - spytałem.

- Nie sądzę - odparł pan Bradley, ukazując swoje znakomite uzębienie - by miała być kiedykolwiek poddana próbie. - Jego uśmiech był niezbyt sympatyczny. - Zakład jest zakładem. Jeśli uczestnik nie buli...

Spojrzałem na niego.

- Nie radziłbym tego - powiedział łagodnie. - Zdecydowanie nie radziłbym. Nie lubimy naciągaczy.

- Nie będę oszukiwał.

- Jestem pewien, że nie. Teraz co się tyczy ee... przygotowań. Jak pan mówi, pani Easterbrook jest w Londynie. Dokładnie gdzie?

- Musi pan wiedzieć?

- Muszę znać wszystkie szczegóły. Następną rzeczą będzie zaaranżowanie spotkania pana z panną Grey - pamięta ją pan?

Oświadczyłem, że naturalnie pamiętam pannę Grey.

- Zdumiewająca kobieta. Naprawdę zdumiewająca. Będzie chciała mieć jakąś rzecz, którą pańska żona nosiła - rękawiczkę, chusteczkę, coś podobnego...

- Ale po co? W imię...

- Wiem. Wiem. Proszę mnie nie pytać, po co. Nie mam najmniejszego pojęcia. Panna Grey zachowuje swoje sekrety dla siebie.

- Ale co się stanie? Co ona robi?

- Musi mi pan naprawdę uwierzyć, panie Easterbrook, kiedy mówię panu, że absolutnie nie mam pojęcia. Nie wiem i - co więcej - nie chcę wiedzieć. Poprzestańmy na tym.

Przerwał i po chwili podjął ojcowskim tonem:

- Moja rada jest następująca. Proszę złożyć wizytę swojej żonie. Proszę ją uspokoić, niech myśli, że pan powraca do idei pojednania. Zasugerowałbym, że musi pan wyjechać za granicę na parę tygodni, ale po powrocie itd., itd...

- A potem?

- Mając skradziony dyskretnie drobiazg z jej garderoby, pojedzie pan do Much Deeping - przerwał. namyślając się - Zaraz. Wydaje mi się, że podczas poprzedniej wizyty wspomniał pan o przyjaciółach czy krewnych w sąsiedztwie?

- O kuzynce.

- To upraszcza sprawę. Kuzynka zapewne przyjmie pana na parę dni.

- A co robią inni? Zatrzymują się w gospodzie?

- Niektórzy, o ile wiem, tak, albo też dojeżdżają z Bournemouth, choć na ten temat wiem mało.

- A co... ee... moja kuzynka będzie myśleć?

- Powie pan, że jest zaintrygowany mieszkankami Białego Konia. Chce pan uczestniczyć w seansie. To brzmi bardzo prawdopodobnie. Panna Grey i jej przyjaciółka często urządzają seanse. Wie pan, jacy są spirytyści. Pan uroczyście zapewni, że to bzdury, ale interesuje to pana. To wszystko. Jak pan widzi, to zupełnie łatwe...

- A... a potem? Potrząsnął głową.

- Tyle tylko potrafię panu powiedzieć. Tyle, co wiem sam. Zajmie się tym panna Grey. Proszę nie zapomnieć o zabraniu z sobą rękawiczki lub chustki do nosa. Ponadto proponuję, żeby pan odbył krótką wycieczkę za granicę. Włoska Riwiera bywa bardzo przyjemna o tej porze. Wystarczy tydzień lub dwa.

Oświadczyłem, że nie chcę wyjeżdżać za granicę. Chcę zostać w Anglii.

- Dobrze, ale w żadnym razie nie w Londynie. Muszę na to usilnie nalegać.

- Dlaczego?

Pan Bradley popatrzył na mnie z dezaprobatą.

- Klientom zapewnia się całkowite... ee... bezpieczeństwo. Pod warunkiem, że będą się stosować do poleceń.

- A co z Bournemouth? Czy byłoby odpowiednie?

- Tak. Bournemouth jest stosowne. Niech się pan zatrzyma w hotelu, zawrze kilka znajomości, pokazuje się w towarzystwie tych osób. Nienaganne życie - to mamy na celu. Jeżeli znudzi się panu Bournemouth, zawsze może pan pojechać do Torquay.

Mówił z uprzejmością agenta biura podróży. Jeszcze raz musiałem ucisnąć jego tłustą dłoń.

- Naprawdę idziesz na seans u Thyrzy? - zapytała Rhoda.

- Czemu nie?

- Nie wiedziałam, że interesujesz się takimi sprawami.

- Rzeczywiście, nie interesuję się - odparłem zgodnie z prawdą.

- Ale te trzy kobiety to taki dziwny zespół. Ciekawe, jakie przedstawienie dają.

Udawanie beztroskiego nastroju nie wydało mi się łatwe. Kątem oka dostrzegłem Desparda, przyglądającego mi się z namysłem. Był bystrym człowiekiem, mającym za sobą życie pełne przygód. Jednym z ludzi posiadających w obliczu niebezpieczeństwa szósty zmysł. Myślę, że teraz wyczuł je przez skórę, odgadł, że w grę wchodzi coś ważniejszego niż czysta ciekawość.

- Więc pójdę z tobą - oświadczyła radośnie Rhoda. - Zawsze miałam na to ochotę.

- Nie zrobisz tego - burknął Despard.

- Ależ ja naprawdę nie wierzę w duchy, Hugh. Wiesz, że tak jest. Chcę pójść, żeby się zabawić.

- Takie rzeczy nie są śmieszne. Może być w nich coś prawdziwego i przypuszczalnie jest. Nie wywiera to jednak dobrego wpływu na ludzi idących tam z "czystej ciekawości".

- W takim razie powinieneś wyperswadować to również Markowi.

- Za Marka nie jestem odpowiedzialny.

Znowu jednak rzucił mi z ukosa szybkie spojrzenie. Wiedział -byłem tego pewny - że w mojej wizycie jest jakiś cel.

Rhoda była zirytowana, ale przeszła nad tym do porządku dziennego, a kiedy przypadkowo spotkaliśmy Thyrzę Grey w miasteczku, ta poruszyła sprawę bez osłonek.

- Halo, panie Easterbrook, spodziewamy się pana dziś wieczór. Mam nadzieję, że urządzimy panu dobre widowisko. Sybil jest cudownym medium, ale nigdy nie można z góry przewidzieć rezultatu. Nie może pan zatem być rozczarowany. Proszę pana tylko o jedno.

Niech pan nic nie mówi. Rzetelny obserwator jest zawsze mile widziany, ale powierzchowne, szydercze nastawienie jest niedobre.

- Chciałam przyjść również - rzekła Rhoda - ale Hugh jest okropnie uprzedzony. Wie pani, jaki on

jest.

- W żadnym razie nie chciałabym, żeby pani przyszła. Jeden laik to zupełnie dosyć. - Zwróciła się do mnie: - Myślę, że najpierw zje pan z nami lekki posiłek. Nigdy nie jemy dużo przed seansem. Więc około siódmej? Dobrze, czekamy na pana.

Skinęła głową i oddaliła się z wawo. Patrzyłem za nią tak pochłonięty swoimi domysłami, że przegapiłem prawie, co mówiła Rhoda.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- Jesteś ostatnio bardzo dziwny, Mark. Widzę to, od kiedy przyjechałeś. Czy coś się stało?

- Skądże. Co miało się stać?

- Utknąłeś ze swoją książką?

- Książka? - w tym momencie nie mogłem sobie przypomnieć niczego o książce. Potem zapewniłem pośpiesznie:

- Och, tak, książka. Posuwa się mniej więcej dobrze.

- Przysięgnę, że się zakochałeś - oświadczyła Rhoda oskarżycielsko. - Zakochanie ma fatalny wpływ na mężczyzn, bełta im w głowach. Kobiety są całkiem inne - bardzo szczęśliwe, promienne i dwa razy ładniejsze niż zwykle. Zabawne, że to, co służy kobietom, sprawia, że mężczyzna wygląda jak chora owca.

- Dziękuję serdecznie!

- Och, nie gniewaj się, Mark. Sądzę, że to bardzo dobrze, i jestem uradowana. Ona jest naprawdę bardzo miła.

- Kto jest miły?

- Hermia Redcliffe, naturalnie. Myślisz, że o niczym nie wiem? Widziałam, że to się ciągnie od wieków. A ona jest naprawdę w sam raz dla ciebie - przystojna i mądra. Absolutnie stosowna.

- To jedna z najbardziej zjadliwych rzeczy, jakie kiedykolwiek o kimkolwiek powiedziałaś.

Rhoda popatrzyła na mnie.

- Chyba tak - zgodziła się.

Odwróciła się mówiąc, że musi pójść i objechać rzeźnika. Ja odparłem, że wpadnę na plebanię.

- Ale - uprzedziłem komentarze - nie po to, żeby dać na zapowiedzi!

Przyjście na plebanię przypominało powrót do domu.

Drzwi frontowe były gościnnie otwarte i wchodząc do wnętrza czułem, jak ciężar zsuwa mi się z ramion.

Pani Dane Calthrop weszła przez drzwi z tyłu holu, z niezgłębionych powodów dźwigając ogromne, jaskrawozielone, plastikowe wiadro.

- Halo, to pan - powitała mnie. - Spodziewałam się tego. Wręczyła mi kubek. Nie wiedziałem, co mam z nim zrobić, i stałem zakłopotany.

- Za drzwi, na schody - powiedziała pani Dane Calthrop niecierpliwie, jakbym powinien był to wiedzieć.

Posłusznie wykonałem polecenie, następnie wszedłem za nią do tego samego ciemnego, zaniedbanego pokoju, w którym siedzieliśmy poprzednio. Ogień w kominku dogasał, ale gospodyni poruszyła popiół, aż buchnął płomień, i dorzuciła polano. Potem wskazała gestem, bym usiadł, sama opadła ciężko na fotel i utkwiała we mnie żywe, niecierpliwe spojrzenie.

- A więc co pan zrobił? - zapytała.

Z jej energicznego zachowania można by wnioskować, że musimy zdążyć na pociąg.

- Kazała mi pani coś zrobić. Właśnie coś robię.

- To dobrze. Co pan robi?

Opowiedziałem jej. Opowiedziałem jej wszystko. W jakiś sposób powiedziałem rzeczy, które niezupełnie sobie uświadamiałem.

- Dziś wieczór? - spytała w zamyśleniu.

- Tak.

Milczała chwilę, najwyraźniej się zastanawiając. Ja, nie mogąc się opanować, wciąż paplałem.

- Nie podoba mi się to. O Boże, wcale mi się nie podoba!

- Czemu miałoby się panu podobać? Na to oczywiście nie było odpowiedzi.

- Tak okropnie się o nią boję. Popatrzyła na mnie przyjaźnie.

- Nie wie pani, jak... jaka ona jest dzielna. Jeżeli oni skrzywdzą ją w jakiś sposób...

- Nie wiem... naprawdę nie rozumiem... jak mogliby ją skrzywdzić metodą, którą pan opisuje - powiedziała powoli pani Dane Calthrop.

- Ale udało się im skrzywdzić innych ludzi.

- Chyba tak... - wydawała się nieusatysfakcjonowana.

- Jest zabezpieczona przed innymi sposobami. Przewidzieliśmy wszystko. Nic materialnego nie może się jej przytrafić.

- Niemniej ci ludzie uważają, że są w stanie spowodować uszczerbek fizyczny - podkreśliła. - Utrzymują, że mogą wpływać przez umysł na ciało. Spowodować niedomaganie, chorobę. Bardzo ciekawe, w jaki sposób to robią. Ale to okropne! Zgadzamy się, że trzeba to przerwać.

- To ona jednak podejmuje ryzyko - mruknąłem.

- Ktoś musi je podjąć - odparła pastorowa chłodno. - Uraża pańską dumę, że to nie pan. Musi pan to przełknąć. Ginger idealnie pasuje do tej roli. Panuje nad nerwami i jest inteligentna. Nie zawiedzie pana.

- O to się nie obawiam!

- Cóż, niech pan przestanie obawiać się o resztę. To nie jest dobre dla niej. Niech się pan nie uchyla od następstw. Jeśli ona umrze w wyniku tego eksperymentu, umrze w dobrej sprawie.

- Mój Boże, ależ pani jest brutalna!

- Ktoś musi być brutalny - odparła. - Trzeba zawsze wyobrażać sobie najgorsze. Nie ma pan pojęcia, jak to uspokaja nerwy. Człowiek natychmiast zaczyna być pewny, że sprawy nie mogą przebiegać tak fatalnie, jak to sobie wyobrażał. - Skinęła uspokajająco głową.

- Może ma pani rację - powiedziałem z powątpiewaniem.

Pani Dane Calthrop oświadczyła stanowczo, że oczywiście ma rację.

Przeszedłem do szczegółów.

- Mają tu państwo telefon?

- Oczywiście. Wyjaśniłem, co chcę zrobić.

- Kiedy ta... ta sprawa dziś wieczór się skończy, może będę chciał kontaktować się z Ginger. Dzwonić do niej codziennie. Czy mógłbym telefonować stąd?

- Naturalnie. U Rhody jest za dużo ruchu. Musi pan być pewien, że nikt nie podsłucha rozmowy.

- Zostanę u Rhody parę dni. Potem pojedę może do Bournemouth. Mam nie wracać do Londynu.

- Niech pan nie wybiega w przyszłość - rzekła pastorkowa. - Nie dalej jak do dzisiejszego wieczoru.

- Dziś wieczór... - Wstałem i powiedziałem coś zupełnie nie w moim stylu. - Proszę się modlić za mnie... za nas.

- Naturalnie - odparła pani Dane Calthrop, zdziwiona, że uważam za konieczne prosić ją o to.

Kiedy wychodziłem, ciekawość zmusiła mnie do zapytania:

- Po co to wiadro? Do czego?

- Wiadro? Och, dla uczniów, żeby zebrali jagody i liście z żywopłotu - do kościoła. Jest szkaradne, ale bardzo wygodne.

Spojrzałem na bogactwo jesiennego świata. Łagodne, ciche piękno...

- Aniołowie i wysłańcy niebios ustrzegą nas.

- Amen - zakończyła pastorkowa.

3

W Błędym Koniu zostałem przyjęty niezwykle konwencjonalnie. Nie wiem, jakiej atmosfery się spodziewałem, ale na pewno nie takiej.

Thyrza Grey w zwykłej, ciemnej, wełnianej sukni otworzyła mi drzwi, mówiąc rzeczowo:

- A, jest pan. Dobrze. Zaraz siadamy do kolacji.

Nic nie mogło być bardziej praktyczne, bardziej zwyczajne...

Stół był nakryty do prostego posiłku w głębi wykładanego boazerią holu. Jedliśmy zupę, omlet i ser. Bella czekała na nas. Miała na sobie czarną suknię i bardziej niż kiedykolwiek wyglądała na postać z tłumu na obrazie jednego z włoskich prymitywistów. Sybil prezentowała się nieco bardziej egzotycznie. Była w długiej sukni z powiewnego materiału w kolorze pawiej zieleni, przetykanego złotem. Nie miała tym razem paciorków, tylko dwie ciężkie złote bransolety na nadgarstkach. Zjadła małą porcję omletu i nic więcej. Mówiła niewiele, zachowując wobec nas dystans, jak osoba zajmująca się sprawami wyższego rzędu. Powinno to wywierać wrażenie. Ale nie wywierało. Efekt był teatralny i sztuczny.

Thyrza Grey zapewniła konwersację - wesołe komentarze na temat miejscowych zdarzeń. Była tego wieczoru brytyjską prowincjonalną starą panną w każdym calu, przyjemną, rzeczową, nie interesującą się niczym oprócz bezpośredniego otoczenia.

Pomyślałem, że jestem szalony, zupełnie szalony. Czego tu się obawiać? Nawet Bella wydawała się

dziś wieczór tylko głupkowatą starą wieśniaczką, jak setki innych podobnych do niej, nie tkniętą edukacją czy szerszymi poglądami.

Z perspektywy moja rozmowa z panią Dane Calthrop wydawała się czymś fantastycznym. Wymyśliliśmy sobie Bóg wie co. Ten pomysł Ginger - Ginger z ufarbowanymi włosami i przybranym nazwiskiem - że miałyby być zagrożona przez te trzy bardzo pospolite kobiety, był zdecydowanie śmieszny!

Posiłek dobiegł końca.

- Żadnej kawy - powiedziała Thyrza przeprasząc. - Nie należy się nadmiernie podniecać.

Wstała.

- Sybil?

- Tak - odparła Sybil, a jej twarz przybrała wyraz uważany zapewne przez nią za ekstatyczny i pozaziemski. - Muszę pójść i przygotować się...

Bella zaczęła sprzątać ze stołu. Ja powędrowałem do miejsca, gdzie wisiał stary szyld gospody. Thyrza poszła za mną.

- Nie może pan obejrzeć go dokładnie w tym świetle.

Była to prawda. Błady wizerunek na zarosłej brudem tablicy ledwie mógł być rozpoznany jako koń. Hol oświetlały słabe żarówki, osłonięte grubym welinem.

- Ta ruda dziewczyna - jak ona ma na imię? Ginger czy coś w tym rodzaju - która tutaj była, mówiła, że go oczyści i odrestauruje - rzekła Thyrza. - Nie sądzę jednak, by o tym pamiętała. Pracuje w jakiejś galerii w Londynie - dodała od niechcienia.

Mówienie o Ginger tak lekko i zdawkowo zrobiło na mnie dziwne wrażenie.

- To mogłoby być ciekawe - odparłem, wpatrując się w obraz.

- Oczywiście to nie jest nic wartościowego. Po prostu bohomaz. Ale pasuje tutaj - i na pewno ma ponad trzysta lat.

- Gotowe. Odwróciliśmy się gwałtownie.

Bella wzywała nas, wynurzając się z mroku.

- Czas zacząć - powiedziała Thyrza, wciąż wesoło i rzeczowo. Poszedłem za nią do przebudowanej stodoły.

Jak mówiłem, nie było tam wejścia z domu. Była ciemna, pochmurna noc, bez gwiazd. Weszliśmy z gęstego mroku do długiego, oświetlonego pokoju.

Stodoła wieczorem była zupełnie zmieniona. W dzień wyglądała jak przyjemna biblioteka. Teraz stała się czymś więcej. Znajdowały się w niej lampy, ale nie zapalono ich. Oświetlenie nie było bezpośrednie, a światło napełniające pokój łagodne, ale zimne. Na środku podłogi wznosiło się coś w rodzaju łóżka lub sofy, coś pokrytego jakby purpurową kapą, haftowaną w różne kabalistyczne znaki.

W dalszej części pokoju stało coś w rodzaju piecyka na węgiel, a obok jedna z wielkich mosiężnych miednic, które poprzednio widziałem.

Po drugiej stronie cofnięte prawie pod ścianę stało ciężkie krzesło z dębowym oparciem. Thyrza skierowała mnie ku niemu. - Proszę tam usiąść - powiedziała.

Posłusznie usiadłem. Sposób bycia Thyrzy uległ zmianie. Dziwne, że nie potrafiłem określić, na czym polegała ta zmiana. Nie było w tym nic z fałszywego okultyzmu Sybil. Wydawało się, jakby zasłona codziennego, trywialnego życia została uniesiona. Za nią znajdowała się prawdziwa kobieta, zachowująca się jak chirurg przygotowujący stół do trudnej i niebezpiecznej operacji. Wrażenie nasiliło się, kiedy podeszła do szafy w ścianie i wyjęła z niej coś, co przypominało długi kitel. Tak to wyglądało, kiedy światło padło na metalicznie lśniący, powiewny materiał. Naciągnęła długie rękawiczki z czegoś w rodzaju siatki, co przypominało trochę kamizelkę kuloodporną, którą mi kiedyś pokazano.

- Trzeba podjąć środki ostrożności. Zdanie wydało mi się nieco złowrogie. Potem zwróciła się do mnie, mówiąc dobitnie:

- Pragnę podkreślić z naciskiem, że musi pan pozostać w zupełnym spokoju tam, gdzie pan jest. Pod żadnym pozorem nie może się pan ruszyć z tego krzesła. To mogłoby być niebezpieczne. Nie jest to zabawa dla dzieci. Mam do czynienia z siłami, które są niebezpieczne dla tych, co nie potrafią nimi kierować. Przerwała, a potem zapytała:

- Czy przyniósł pan to, co panu polecono?

Wyjąłem bez słowa z kieszeni brązową skórkową rękawiczkę i wręczyłem jej.

Wzięła ją i ruszyła w stronę lampy z esowatym kloszem. Włączyła lampę i trzymała rękawiczkę w jej mdłym świetle, które zmieniało głęboki brąz rękawiczki w niezdecydowaną szarość.

Zgasila lampę, skinawszy z aprobatą.

- Bardzo odpowiednia. Fizyczna emanacja właściciela jest wystarczająco silna.

Położyła ją na wierzchu czegoś, co wyglądało na duże radio, stojące w głębi pokoju. Potem podniosła trochę głos:

- Bella. Sybil. Jesteśmy gotowi.

Sybil weszła pierwsza. Na zielonej sukni miała długi, czarny płaszcz. Odrzuciła go dramatycznym gestem. Płaszcz ześliznął się, tworząc na podłodze jakby plamę z atramentu. Podeszła do przodu.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze - powiedziała. - Nigdy nie wiadomo. Proszę nie wpadać w sceptycyzm, panie Easterbrook. To bardzo przeszkadza.

- Pan Easterbrook nie przyszedł tutaj dla żartu - rzekła Thyrza. W jej tonie była pewna zawziętość.

Sybil położyła się na purpurowej sofie. Thyrza nachyliła się nad nią, poprawiając draperie.

- Wygodnie ci? - spytała troskliwie.

- Tak, dziękuję, kochanie.

Thyrza zgasiła część świateł. Potem wytoczyła coś, co okazało się rodzajem baldachimu na kółkach. Ustawiła go tak, że osłaniał sofę i pozostawiał leżącą Sybil w głębokim cieniu.

- Zbyt dużo światła przeszkadza w zapadnięciu w pełny trans.

- No, sądzę, że jesteśmy gotowe. Bella?

Bella wyszła z cienia. Obie kobiety zbliżyły się do mnie. Thyrza prawą ręką wzięła mnie za lewą rękę. Lewą ujęła prawą rękę Belli, a ta znalazła moją prawą dłoń. Ręka Thyrzy była twarda i sucha, Belli - zimna i jakby pozbawiona kości. Miałem uczucie, że trzymam ślimaka, i wstrząsnąłem się z odrazą.

Thyrza musiała dotknąć wyłącznika, ponieważ z sufitu zabrzmiała słaba muzyka. Poznałem marsz pogrzebowy Mendelssohna.

Inscenizacja - pomyślałem pogardliwie - sztuczna pompa!

Byłem chłodny i krytyczny, niemniej wystrzegąłem się niepożądanego uczucia lęku.

Muzyka zamilkła. Nastąpiło długie oczekiwanie. Słysząc było tylko oddechy. Belli trochę astmatyczny, Sybil - głęboki i regularny.

Nagle Sybil przemówiła. Jednak nie był to jej głos. Był to głęboki głos mężczyzny, zupełnie niepodobny do jej własnego. Miał gardłowy, obcy ton.

- Jestem tu - powiedział.

Moje ręce zostały uwolnione. Bella odeszła w cień. Thyrza zapytała:

- Dobry wieczór. Czy jesteś Macandal?

- Ja jestem Macandal.

- Czy jesteś gotów, Macandalu, spełnić moje życzenia i moją wolę? Ten sam głęboki głos odparł:

- Jestem gotów.

- Będziesz strzegł ciała Dossu, która tu leży i w której teraz mieszkasz, przed wszelką fizyczną krzywdą i szkodą? Czy poświęcisz jej siły życiowe mojemu celowi, aby ten cel mógł być przez to spełniony?

- Uczynię to.

- Poświęcisz to ciało, przez które ma przejść śmierć, by posłuchało takich praw naturalnych, jakie mogą być osiągalne przez ciało odbiorcy?

- Zmarły musi zostać wysłany, by spowodować śmierć. Tak będzie. Thyrza cofnęła się o krok. Bella podeszła do niej i wyciągnęła coś, co okazało się krucyfiksem. Thyrza umieściła go na piersi Sybil w odwróconej pozycji. Potem Bella przyniosła mały zielony flakonik, z którego Thyrza wylała parę kropel na czoło Sybil i nakreśliła coś palcem. Znowu wydało mi się, że był to znak odwróconego krzyża. Powiedziała mi krótko:

- Woda święcona z kościoła katolickiego w Garsington.

Jej głos był zupełnie zwyczajny i to powinno przerwać nastrój, ale tak się nie stało. Przeciwnie, cała historia stała się w jakiś sposób bardziej zatrważająca.

Na koniec przyniosła tę okropną grzechotkę, którą widzieliśmy przedtem. Potrząsnęła nią trzykrotnie, potem zacisnęła na niej dłonie Sybil. Cofnęła się, mówiąc:

- Wszystko jest gotowe.

Bella powtórzyła:

- Wszystko jest gotowe.

Thyrza zwróciła się do mnie cicho:

- Nie sądzę, żeby był pan wstrząśnięty rytuałem jak niektórzy nasi goście. Śmiem przypuszczać, że przypomina on panu zbytnio czary... Ale proszę nie być zbyt pewnym. Rytuał to słowa i zdania uświęcone przez czas i mające wpływ na nastrój ludzi. Co powoduje masową histerię tłumów? Nie wiemy dokładnie. Jednak takie zjawiska istnieją. Te starodawne zwyczaje muszą mieć w tym swój udział - udział niezbędny, jak sądzę.

Bella wyszła z pokoju. Wróciła, niosąc białego koguta. Był żywy i usiłował się uwolnić.

Teraz uklękła i białą kredą zaczęła kreślić znaki wokół piecyka i mosiężnej misy. Postawiła koguta, przykładając jego dziób do białej linii otaczającej misę, a on stał bez ruchu.

Narysowała więcej znaków, śpiewając coś monotoniem podczas tej czynności niskim, gardłowym głosem. Nie rozumiałem słów, ale kiedy tak klęczała i kołysała się, najwyraźniej wprawiała się w jakąś ohydłą ekstazę.

Obserwując mnie, Thyrza zauważyła:

- Nie podoba się panu? To stara rzecz, bardzo stara. Czar śmierci, stary tekst, przekazywany z matki na córkę.

Nie potrafiłem pojąć Thyrzy. Nie zrobiła nic, by pogłębić efekt tego okropnego przedstawienia i wrażenia, jakie Bella mogła na mnie wywrzeć. Wydawało się, że rozmyślnie przyjęła rolę komentatora.

Bella wyciągnęła ręce w stronę piecyka i migoczący płomyk strzelił mocniej. Prysnęła czymś na ogień i ciężki, duszący zapach perfum wypełnił powietrze.

- Jesteśmy gotowi - rzekła Thyrza. Pomyślałem, że chirurg bierze skalpel...

Podeszła do tego, co wzięłem za radio. Otworzyła i ujrzałem wielki elektryczny przyrząd, bardzo skomplikowany.

Poruszał się jak wózek, a ona podjechała nim powoli i ostrożnie do sofy.

Nachyliła się, regulując przyrządy i mruczając coś do siebie.

- Kompas, północny... północny wschód... stopnie... prawie dobrze. Wzięła rękawiczkę i ustawiła ją w odpowiedniej pozycji, zapalając małe fioletowe światełko obok niej.

Potem zaczęła mówić do nieruchomej postaci na sofie:

- Sybil Diano Helen, jesteś wolna od swojej śmiertelnej powłoki, której strzeże duch Macandał. Jesteś wolna, by zjednoczyć się z właścicielem tej rękawiczki. Celem jest, jak wszystkich istot ludzkich, zmierzać ku śmierci. Nie ma spełnienia oprócz śmierci. Tylko śmierć rozwiązuje wszystkie problemy. Tylko śmierć daje spokój. Wszyscy wielcy wiedzą o tym. Wspomnij Makbeta. "Po życiu pełnym gorączki śpi spokojnie". Wspomnij uniesienie Tristana i Izoldy. Miłość i śmierć. Miłość i śmierć. Ale największa jest śmierć...

Słowa dźwięczały, odbijały się, powtarzały, wielka maszyna ruszyła, emitując ciche brzęczenie, lampki się żarzyły, a ja byłem oszołomiony, nie panowałem nad sobą. Czułem, że to nie jest już śmieszne. Thyrza dzięki swojej uwolnionej sile trzymała tę bezwładną postać na sofie, całkowicie ujarzmioną. Używała jej. Używała do określonego celu. Uświadomiłem sobie niejasno, dlaczego panią Oliver przerażała nie Thyrza, lecz pozornie głupia Sybil. To Sybil miała moc, naturalny dar nie mający nic wspólnego z umysłem czy intelektem; to była fizyczna potęga, moc oddzielenia się od ciała. A kiedy się oddzieliła, jej umysł nie należał już do niej, tylko do Thyrzy. Thyrza była jego chwilową posiadaczką.

Tak, ale to pudło? Jaką odgrywało rolę?

I nagle cały mój strach przeniósł się na pudło. Jaki diabelski sekret był stosowany za jego pośrednictwem? Czy mogły to być jakieś produkowane fizycznie promienie, wpływające na działanie komórek mózgu? Mózgu konkretnej osoby? Thyrza kontynuowała:

- Słaby punkt... Istnieje zawsze słaby punkt... głęboko w tkankach ciała... Przez słabość przychodzi

siła... siła i spokój śmierci... Ku śmierci... powoli, naturalnie, w kierunku śmierci... prawdziwą drogą, naturalną drogą. Tkanki są posłuszne umysłowi... Panuj nad nimi, panuj nad nimi... w stronę śmierci... Śmierć... Zwycięzca... Śmierć... już wkrótce, bardzo szybko... Śmierć... śmierć... ŚMIERĆ!

Jej głos podnosił się aż do krzyku... A inny straszny zwierzęcy krzyk wydarł się z ust Belli. Wstała, błysnął nóż... kogut wydał okropny, zduszony skrzek... krew kapłała do miednicy. Bella ruszyła, trzymając miednicę... Krzyczała:

- Krew... krew... KREW!

Thyrza błyskawicznym ruchem wyjęła rękawiczkę z maszyny. Bella wzięła ją, umoczyła we krwi i oddała Thyry, która umieściła ją z powrotem w maszynie.

Głos Belli znowu wznosił się w ekstatycznym krzyku...

- Krew... krew... krew!...

Biegała naokoło piecyka, potem opadła skurczona na podłogę.

Piecyk zamigotał i zgasł.

Było mi okropnie niedobrze. Nie widziałem nic, ścisnąłem poręcz krzesła, moja głowa zdawała się wirować w przestrzeni...

Usłyszałem trzask, brzęczenie maszyny ustało.

Rozległ się głos Thyry, czysty i opanowany:

- Stara i nowa magia. Stara jest wiarą, nowa - nauką. Razem triumfują...

XVIII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

- No i jak to wyglądało? - dopytywała się natarczywie Rhoda podczas śniadania.

- Och, zwykłe bzdury - odparłem nonszalancko.

Niepokoiliła mnie świadomość, że Despard nie spuszcza ze mnie wzroku. Spozstrzegawczy facet.

- Pentagramy rysowane na podłodze?

- Całe mnóstwo.

- Jakieś białe koguty?

- Oczywiście. To była część zabawy Belli.

- I transy, i takie rzeczy?

- Jak powiadasz, transy i takie rzeczy. Rhoda wyglądała na rozczarowaną.

- Chyba to wszystko wydało ci się nudne - powiedziała zasmucona. Odparłem, że te rzeczy są zawsze takie same. W każdym razie zaspokoilem swoją ciekawość.

Później, kiedy Rhoda wyszła do kuchni, Despard powiedział do mnie:

- Trochę tobą wstrząsnęło, co?

- No...

Pragnąłem zlekceważyć całą rzecz, ale Despada nie było łatwo oszukać.

- To było... w pewien sposób... wstrętne - wyjaśniłem wolno. Skinął głową.

- Nikt w to naprawdę nie wierzy - powiedział. - Nikt obdarzony rozsądkiem, ale te rzeczy działają. Widziałem sporo tego w Afryce Wschodniej. Czarownicy mają tam bardzo silny wpływ na ludzi i trzeba przyznać, że dzieją się tam dziwne rzeczy, których nie da się wytłumaczyć w racjonalny sposób.

- Zgony?

- O tak. Jeżeli człowiek wie, że został naznaczony śmiercią, umiera.

- To pewnie siła sugestii.

- Prawdopodobnie.

- Ale to wyjaśnienie nie zadowala cię?

- Nie, niezupełnie. Zdarzają się wypadki trudne do wyjaśnienia za pomocą naszych gładkich zachodnich teorii naukowych. Te głupstwa zazwyczaj nie działają na Europejczyków (choć znam i takie wypadki). Ale jeżeli wiara w te rzeczy tkwi w twojej krwi, musi zadziałać! - urwał.

- Zgadzam się z tobą, że nie można być zbyt przemądrzałym. Nawet w tym kraju zdarzają się dziwne rzeczy. Byłem pewnego dnia w szpitalu w Londynie. Przyszła tam dziewczyna, neurotyczka, skarżąca się na okropne bóle w kościach. Nic na to nie pomagało. Podejrzewano, że jest ofiarą histerii. Doktor powiedział jej, że mogłaby być wyleczona przez pociągnięcie rozpalonym prętem po ramieniu. Czy zgodzi się spróbować? Zgodziła się. Odwróciła głowę i zacisnęła oczy. Doktor umoczył szklaną pałeczkę w zimnej wodzie i przesunął nią po wewnętrznej stronie przedramienia. Dziewczyna krzyknęła z bólu. Oświadczył: "Teraz będzie pani zdrowa". Ona odparła: "Spodziewani się tego, ale zabieg był okropny. To parzyło". Wydało mi się dziwne nie to, że czuła oparzenie, ale że była naprawdę oparzona. Wszędzie tam, gdzie pałeczka jej dotknęła, zrobiły się pęcherze.

- A czy została wyleczona? - zapytał Despard zciekawiony.

- O tak. Neuritis, czy co to było, nie wróciło nigdy. Musiała się jednak leczyć z powodu oparzenia.

- Niebawale, czego można dokazać.

- Doktor sam był zaskoczony.

- Założę się, że był...

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Dlaczego właściwie chciałeś tak bardzo pójść na ten seans wczoraj wieczór?

Wzruszyłem ramionami.

- Te trzy kobiety mnie intrygują. Chciałem zobaczyć, jaki spektakl mogą urządzać.

Despard nie powiedział nic więcej. Sądzę, że mi nie uwierzył. Jak mówiłem, był spostrzegawczym człowiekiem.

Niebawem poszedłem na plebanię. Drzwi zastałem otwarte, ale chyba nikogo nie było w domu.

Poszedłem do małego pokoju, w którym stał telefon, i zadzwoniłem do Ginger.

Upłynęła cała wieczność, zanim usłyszałem jej głos.

- Halo!

- Ginger!

- Ach, to ty. Co się stało?

- Czy wszystko w porządku?

- Naturalnie, że w porządku. Dlaczego miałoby być inaczej? Spłynęła na mnie fala uspokojenia.

Nic złego nie działo się z Ginger. Znajome wyzwanie w jej głosie było wspaniałe. Jak mogłem przypuszczać kiedykolwiek, że ta kupa idiotyzmów może zrobić krzywdę komuś tak normalnemu jak Ginger?

- Pomyślałem tylko, że mogłaś mieć złe sny albo coś takiego -odparłem nieprzekonywająco.

- Cóż, nie miałam. Spodziewałam się, że będę mieć, ale to wszystko działo się, kiedy nie spałam i zdziwiłabym się, gdybym czuła coś szczególnego. Naprawdę zdawało mi się, że to oburzające, iż nic mi się nie stało...

Roześmiałem się.

- Dalej, mów - rzekła Ginger. - O co tu chodzi?

- Nic niezwykłego. Sybil leży na purpurowym łożu i wpada w trans.

Ginger wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę? Coś pięknego! Czy był tam czarny aksamit i czy ona była naga?

- Sybil nie jest madame de Montespan. I to nie była czarna msza. W rzeczywistości Sybil miała na sobie mnóstwo szat w kolorze pawiej zieleni i mnóstwo haftowanych symboli.

- Bardzo to odpowiednie i pasujące do Sybil. A co robiła Bella?

- To naprawdę było okropne. Zabiła białego koguta, a potem umoczyła twoją rękawiczkę we krwi.

- Oo, paskudna... I co jeszcze?

- Tysiące rzeczy. - Pomyślałem, że relacja idzie mi dobrze. Ciągnąłem dalej: - Thyrza pokazała mi różne sztuczki. Przywołała ducha - nazywał się chyba Macandal. Były też kolorowe światełka i śpiewy. Cała historia mogła zrobić wrażenie na niektórych ludziach -śmiertelnie ich wystraszyć.

- Ale ciebie nie przstraszyła?

- Bella przstraszyła mnie trochę - wyznałem. Była wstrętna, kiedy patrzyła na nóż, i myślałem, że może stracić głowę i dodać mnie do koguta jako drugą ofiarę.

- I nic więcej cię nie przeraziło? - nalegała Ginger.

- Takie rzeczy nie robią na mnie wrażenia.

- Dlaczego więc wyczułam ulgę w twoim głosie na wieść, że nic mi się nie stało?

- No, bo... - przerwałem.

- Dobrze - powiedziała Ginger uprzejmie. - Nie potrzebujesz odpowiadać. I nie potrzebujesz się zgrywać. Było w tym coś, co cię poruszyło.

- Chyba tylko to, że one... to znaczy Thyrza... wydawała się tak spokojna i ufna w rezultat.

- Ufna w to, że może zabić drugą osobę? - W głosie Ginger brzmiało niedowierzenie.

- To idiotyczne - zgodziłem się.

- A Bella też wierzyła? Zastanowiłem się.

- Myślę, że Bellę raduje zabijanie koguta i stopniowo wpada w chorobliwą ekstazę. Usłyszeć, jak jęczy "Krew... krew...", to było naprawdę coś.

- Chciałabym to słyszeć - rzekła Ginger z żalem.

- Chciałbym, żebyś to słyszała - odparłem. - Szczerze mówiąc, było to przedstawienie.

- Czujesz się teraz dobrze, prawda?

- Co chcesz powiedzieć przez "dobrze"?

- Nie czułeś się dobrze, dzwoniąc do mnie, ale teraz jesteś spokojny.

Miała rację. Brzmienie jej wesołego, normalnego głosu podziałało na mnie cudownie. W sekrecie zdejmowałem kapelusz przed Thyrza Grey. Cała historia mogła być kantem, ale zaszczepiła w moim umyśle wątpliwość i obawę. Nic się jednak nie stało. Ginger była zdrowa, nie miała nawet złych snów.

- I co robimy dalej? - pytała Ginger. - Muszę tu zostać jeszcze tydzień?

- Jeżeli mam dostać sto funtów od pana Bradleya, to tak.

- Zrobię to, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz w życiu... Zatrzymasz się u Rhody?

- Na krótko. Potem przeniosę się do Bournemouth. Dzwon do mnie codziennie - albo ja będę dzwonił, tak jest lepiej. Telefonuję teraz z plebanii.

- Jak się ma pani Dane Calthrop?

- Znakomicie. Nawiasem mówiąc, powiedziałem jej wszystko.

- Przypuszczałam, że to zrobisz. No to do widzenia. Życie będzie bardzo nudne przez następny tydzień lub dwa. Wzięłam ze sobą trochę pracy i dużo tych książek, które zawsze zamierza się przeczytać, tylko nie ma na to czasu.

- A co myślą w twojej galerii?

- Że jestem na wycieczce.

- Nie miałybyś na to ochoty?

- Naprawdę nie - powiedziała Ginger. Jej głos był trochę dziwny.

- Nie zbliżały się do ciebie podejrzane typy?

- Tylko takie, jakich można się spodziewać. Mleczarz, inkasent z gazowni, kobieta pytająca mnie, jakich leków i kosmetyków używam, ktoś, kto prosił mnie o podpisanie apelu w sprawie zakazu użycia broni nuklearnej, i kobieta, która zbierała składki na niewidomych. I naturalnie różni portierzy. Bardzo przydatni. Jeden naprawił mi bezpiecznik.

- Wygląda to dosyć nieszkodliwie.

- A czego się spodziewałeś?

- Naprawdę nie wiem.

Życzyłem sobie zapewne czegoś wyraźnego, czemu mógłbym zapobiec.

Jednak ofiary Białego Konia umierały z własnej woli... Nie, własna wola to nie było właściwe słowo. Ziarno słabości rozwijało się w nich wskutek procesu, którego nie rozumiałem.

Ginger odrzuciła delikatną sugestię na temat fałszywego inkasenta.

- Miał prawdziwe upoważnienie - odparła. - Zażądałam go! Był tylko facetem, który wchodzi w łazienkę na drabinę, odczytuje cyfry i zapisuje. Był zbyt dostoyny, żeby dotknąć rur czy palnika gazowego. I mogę cię zapewnić, że nie spowodował uchodzenia gazu w mojej sypialni.

Nie, Błady Koń nie posługiwał się wypadkami z ulatniającym się gazem, niczym tak konkretnym!

- Och, miałam jeszcze jednego gościa. Twojego przyjaciela, doktora Corrigan. Jest miły.

- Przypuszczam, że przysłał go Lejeune.

- Myślał chyba, że powinien zgromadzić Corriganów. Niech żyją Corriganowie!

Rozłączyłem się, znacznie spokojniejszy.

Wróciwszy, znalazłem Rhodę zajęta na trawniku jednym ze swoich psów. Smarowała go maścią.

- Weterynarz właśnie poszedł. Mówi, że to grzybica. Wydaje mi się, że to okropnie zaraźliwe. Nie chcę, żeby się zarażyły dzieci albo inne psy.

- A nawet dorośli - podsunąłem.

- Och, zwykle łapią to dzieci. Dzięki Bogu są cały dzień w szkole. Spokojnie, Sheila. Nie kręć się. Ta choroba powoduje, że wypadają włosy - ciągnęła Rhoda. - Zostawia łyse ogniska, ale potem włosy odrastają.

Skinąłem głową, oferując pomoc, a po odmowie, za którą byłem wdzięczny, odszedłem.

Przekleństwem tego kraju - pomyślałem - jest fakt, że rzadko można iść na spacer w więcej niż trzech kierunkach. W Much Deeping mogłem pójść albo drogą do Garsington, albo do Long Cottenham, albo można było podejść przez Shadhanger Lane do głównej szosy Londyn-Bournemouth, odległej o dwie mile.

Do lunchu przemierzyłem dwie pierwsze trasy. Kolejną możliwością była Shadhanger Lane.

Wyruszyłem i nagle uderzyła mnie pewna myśl. Brama Priors Court wychodziła na Shadhanger Lane. Czemu nie miałbym wpaść do pana Venablesa?

Im dłużej zastanawiałem się nad tym pomysłem, tym bardziej mi się podobał. Nie było w tym nic podejrzanego. Kiedy zatrzymałem się tutaj poprzednio, Rhoda poprowadziła mnie tamtędy. Byłoby rzeczą prostą i naturalną odwiedzić go i poprosić o pokazanie kilku konkretnych przedmiotów, których nie miałem czasu obejrzeć, a teraz chcę skorzystać z okazji.

Rozpoznanie Venablesa przez tego aptekarza - jak mu tam? -Ogden...? Osborne? - było rzeczą co najmniej interesującą. Zgodziłem się z opinią Lejeune'a, że to zupełnie niemożliwe, by człowiek, o którego chodzi, był Venablesem, ze względu na jego kalectwo, jednak intrygował mnie fakt, że błąd został popełniony w stosunku do człowieka mieszkającego właśnie w tej okolicy, i to człowieka, który - trzeba przyznać - pasował dobrze charakterem.

Z Venablesem wiązało się coś tajemniczego. Czuję to od początku. Byłem pewien, że ma rozum pierwsza klasa. I było w nim coś jeszcze - jakby to określić? - coś przebiegłego. Coś drapieżnego, niszycielskiego. Człowiek zbyt sprytny może, by zostać zabójcą, ale który mógłby świetnie zorganizować zabijanie, gdyby zechciał.

Jak dotąd mógłbym znakomicie dopasować Venablesa do tej roli. Genialny umysł za kulisami. Jednakże ten aptekarz, Osborne, upierał się, że widział Venablesa idącego londyńską ulicą. Ponieważ to niemożliwe, identyfikacja była bezwartościowa, a fakt, że Venables mieszkał w sąsiedztwie Białego Konia, nie znaczył nic.

Niemniej - pomyślałem - chciałbym rzucić jeszcze raz okiem na pana Venablesa. Tak więc we właściwym czasie skręciłem do bramy Priors Court i przeszedłem ćwierć mili krętym podjazdem.

Ten sam lokaj otworzył mi drzwi i powiedział, że pan Venables jest w domu. Przeprosił, że zostawia mnie w holu. "Pan Venables nie zawsze czuje się na tyle dobrze, by przyjmować gości". Odszedł i wrócił po chwili z informacją, że pan Venables będzie zachwycony, mogąc mnie przyjąć.

Venables przyjął mnie serdecznie, podjeżdżając swoim wózkiem i witając jak starego przyjaciela.

- Miło z pana strony, że wpadł pan do mnie, drogi panie. Słyszałem, że przyjechał pan znowu, i zamierzałem zadzwonić do naszej kochanej Rhody dziś wieczór i zaproponować, żebyście przyszli na lunch albo obiad.

Przeprosiłem go za najście, ale powiedziałem, że to był nagły impuls. Poszedłem na spacer, spostrzegłem, że przechodzę obok jego bramy, i zdecydowałem się przyjść bez zaproszenia.

- Szczerze mówiąc, bardzo bym chciał rzucić jeszcze raz okiem na miniatury Wielkich Mogołów. Nie miałem dość czasu, żeby przyjrzeć się im dobrze poprzednim razem.

- Jasne, że nie miał pan czasu. Cieszę się, że je pan docenia. Śliczny drobiazg.

Następnie nasza rozmowa stała się czysto techniczna. Muszę przyznać, że cieszyłem się ogromnie, mogąc obejrzeć dokładniej niektóre z cudownych rzeczy, które posiadał.

Przyniesiono herbatę i gospodarz uparł się, bym wziął udział w podwieczorku.

Nie jest to mój ulubiony posiłek, doceniłem jednak parującą chińską herbatę i delikatne filiżanki, w których została podana. Były jeszcze gorące tosty z pastą sardelową i soczysty, staroświecki placek ze śliwkami, przypominający mi podwieczorki w domu mojej babki, kiedy byłem małym chłopcem.

- Domowy - powiedziałem z aprobatą.

- Naturalnie! Kupne ciasto nie ma wstępu do tego domu.

- Wiem, że ma pan wspaniałego kucharza. Czy nie jest jednak trudno utrzymać służbę na wsi, tak odległej jak ta?

Venables wzruszył ramionami.

- Muszę mieć to, co najlepsze, jeśli się uprę. Oczywiście, trzeba płacić! Ja płacę.

W tych słowach ujawniła się cała arogancja Venablesa.

- Szczęśliwie się składa, że może pan tak zrobić. Rozwiązuje to wiele problemów - powiedziałem sucho.

- Wszystko zależy od tego, czego się chce od życia. Jeżeli pragnie się czegoś wystarczająco silnie, to właśnie ma znaczenie. Tak wielu ludzi robi pieniądze, nie mając pojęcia, na co je przeznaczyć! W ten sposób człowiek wikła się w coś, co można nazwać maszyną do robienia pieniędzy. Wychodzą do biura wcześniej i wracają późno; nigdy nie przerywają pracy dla przyjemności. I co z tego mają?

Większe samochody, obszerniejsze domy, bardziej kosztowne kochanki i żony i - powiedzmy to sobie - większy ból głowy.

Pochylił się do przodu.

- Po prostu posiadanie pieniędzy jest początkiem i końcem wszystkiego dla większości bogatych ludzi. Inwestują je z powrotem w coraz większe przedsiębiorstwa i robią jeszcze więcej pieniędzy. Ale po co? Czy kiedykolwiek się zatrzymają, żeby spytać samych siebie, po co? Nie wiedzą tego.

- A pan? - zapytałem.

- Ja... - uśmiechnął się. - Ja wiedziałem, czego chcę. Mieć dużo wolnego czasu i kontemplować piękne rzeczy tego świata, naturalne i sztuczne. A ponieważ chodzenie i oglądanie ich w naturalnym otoczeniu zostało mi odebrane, musiałem sprowadzić je z całego świata do siebie.

- Ale zanim się to zdarzyło, potrzebne były pieniądze.

- Tak, trzeba planować swoje posunięcia i to wymaga wiele pracy, nie jest jednak konieczne, naprawdę nie jest, uprawianie jakiegoś nędznego rzemiosła.

- Nie wiem, czy pana zrozumiałem.

- Świat się zmienia, Easterbrook. Zawsze tak było, ale teraz zmiany zachodzą szybciej. Tempo uległo

przyśpieszeniu i trzeba to wykorzystać.

- Zmieniający się świat - powiedziałem w zamyśleniu.

- To otwiera nowe perspektywy.

- Obawiam się, że mówi pan do człowieka zwróconego w przeciwnym kierunku - w stronę przeszłości, nie przyszłości.

Venables wzruszył ramionami.

- Przyszłość? Kto ją może przewidzieć? Mówię o dniu dzisiejszym, o chwili obecnej! Nie biorę pod uwagę niczego więcej. Można użyć nowych technik. Mamy już maszyny, które dają nam odpowiedź na pytania w ciągu sekund - w porównaniu z godzinami albo dniami pracy ludzkiej.

- Komputery? Mózg elektronowy?

- Rzeczy tego rodzaju.

- Ostatecznie maszyny zastąpią ludzi?

- Ludzi, tak. Ludzi, którzy są tylko siłą roboczą. Ale nie Człowieka. Musi istnieć Kontroler, Myśliciel, który opracowuje zadania dla maszyny.

Potrząsnąłem głową z powątpiewaniem.

- Człowiek, superman? - nadałem głosowi odcień kpiny.

- Dlaczego nie? Dlaczego? Niech pan pamięta, że wiemy coś - a raczej zaczynamy wiedzieć - o człowieku jako o zwierzęciu ludzkim. W praktyce nazywa się to, często niepoprawnie, praniem mózgu i w tym kierunku otwierają się niezwykle ciekawe możliwości. Nie tylko ciało, ale także umysł człowieka odpowiada na pewne bodźce.

- Niebezpieczna doktryna.

- Niebezpieczna?

- Niebezpieczna dla lezonego. Venables wzruszył ramionami.

- Życie w ogóle jest niebezpieczne. Zapominamy o tym, my, którzy zostaliśmy wychowani w małym rezerwacie cywilizacji. Każda cywilizacja jest małym rezerwatem. Małym rezerwatem ludzi, którzy zebrali się tam dla wzajemnej obrony i dzięki temu są w stanie przechytryć i kontrolować przyrodę. Walczą z dżunglą, ale zwycięstwo jest tylko czasowe. W jakimś momencie dżungla znowu przejmie panowanie. Kiedyś istniały dumne miasta, które teraz są kupą ziemi za-roślej bujną roślinnością i usianej nędznymi norami ludzi, którym udało się utrzymać przy życiu, niczym więcej. Życie jest zawsze niebezpieczne, niech pan nie zapomina. W końcu może nie tylko wielkie siły natury mogą je zniszczyć, ale praca naszych własnych rąk. W tym momencie jesteśmy bardzo blisko tego zdarzenia...

- Na pewno nie można temu zaprzeczyć. Interesuje mnie jednak pańska teoria potęgi - działania poprzez umysł.

- Ach, to... - Venables nagle wydał się zakłopotany. - Prawdopodobnie przesadziłem.

To zakłopotanie i częściowe wycofanie się z poprzedniego twierdzenia uznałem za interesujące. Venables był człowiekiem, który żył samotnie. Człowiek, który jest sam, odkrywa potrzebę mówienia, do kogoś, do każdego. Venables mówił do mnie i - być może - niezbyt mądrze.

- Człowiek, superman - powiedziałem. - Sprzedał mi pan współczesną wersję tej idei.

- Na pewno nie ma w tym nic nowego. Formuła supermana sięga daleko wstecz. Została na niej zbudowana cała filozofia.

- Oczywiście. Wydaje mi się jednak, że pański superman jest... nieco inny... Jest człowiekiem, który sprawuje władzę i nigdy tego nie ujawnia. Człowiekiem, który siedzi na krześle i pociąga za sznurki.

Mówiąc, patrzyłem na niego. Uśmiechnął się.

- Zrozumiał mnie pan pod tym względem, Easterbrook? Chciałbym, żeby tak było. Człowiek potrzebuje rekompensaty tego!

Uderzył ręką w plec na kolanach i usłyszałem w jego głosie nagłą gorycz.

- Nie zaoferuję panu współczucia. Współczucie nie jest dobre dla człowieka w pańskiej sytuacji. Proszę jednak pozwolić mi powiedzieć, że jeżeli wyobrazimy sobie taką postać - człowieka, który potrafi zmienić niespodziewaną katastrofę w triumf, to według mnie pan jest właśnie takim typem.

Zaśmiał się lekko.

- Pan mi pochlebia. - Widziałem jednak, że był zadowolony.

- Nie - odparłem. - Spotkałem w życiu dość ludzi, by rozpoznać niezwykłego, szczególnie obdarowanego człowieka, kiedy go spotykam.

Obawiałem się posunąć za daleko, ale czy można posunąć się za daleko w pochlebstwach? Przygnębiająca myśl! Trzeba wziąć to do serca i uniknąć pułapki.

- Zastanawiałem się - powiedział w zamyśleniu - co sprawiło, że pan to mówi. To wszystko? - wskazał szerokim gestem pokój.

- To jest dowód - odparłem - że jest pan bogatym człowiekiem, który wie, jak kupować mądrze, umie ocenić przedmiot i ma dobry smak. Czuję jednak, że jest w tym coś więcej niż tylko posiadanie. Zaprezentował mi pan piękne i ciekawe przedmioty i wspomniał pan, że nie zostały nabyte za środki ciężko zapracowane.

- Ma pan rację, Easterbrook, zupełną rację. Jak powiedziałem, tylko głupcy ciężko pracują. Trzeba

myśleć, planować kampanię we wszystkich szczegółach. Tajemnica powodzenia jest zupełnie prosta, ale trzeba na to wpaść. Coś prostego. Ktoś wymyśla, ktoś inny wprowadza to w czyn - i proszę bardzo!

Gapiałem się na niego. Coś prostego - coś tak prostego, jak usuwanie niepożądanych osób? Realizowanie potrzeby. Działanie nie zagrażające nikomu oprócz ofiary. Zaplanowane przez pana Venablesa, siedzącego w swoim wózku na kołach, ze swoim haczykowatym nosem, przypominającym dziób drapieżnego ptaka, i wydatnym jabłkiem Adama, poruszającym się w górę i w dół. Wypełnione przez kogo? Przez Thyrzę Grey? Obserwowałem go, mówiąc:

- Całe to gadanie o zdalnej kontroli przypomina mi coś, co powiedziała ta dziwna panna Grey.

- Ach, nasza droga Thyrza! - Jego ton był gładki, pobłażliwy (ale czy drgnęła mu lekko powieka?). - Takie głupstwa mówią te miłe panie! I wierzą w nie, naprawdę w nie wierzą. Był pan już (jestem pewien, że one będą się przy tym upierać) na jednym z tych ich śmiesznych seansów?

Zawahałem się króciutko, zanim podjąłem decyzję, jakie zająć stanowisko.

- Tak - odparłem. - Ja... poszedłem na seans.

- I uznał pan to za wielką bzdurę? A może zrobiło to na panu wrażenie?

Unikałem jego wzroku i starałem się wyglądać na człowieka zażenowanego.

- Ja... no cóż... nie wierzę naprawdę w takie rzeczy. Wydawały się bardzo szczerze, ale... - Popatrzyłem na zegarek. - Nie miałem pojęcia, że jest tak późno. Muszę się śpieszyć. Moja kuzynka będzie się dziwić, co tak długo robię.

- Podnosił pan na duchu kalekę podczas nudnego popołudnia. Pozdrowienia dla Rhody. Musimy urządzić wkrótce następny lunch. Jutro jadę do Londynu. Jest ciekawa aukcja u Sotheby'ego. Średniowieczne przedmioty z kości słoniowej. Śliczne! Jestem pewien, że będą się panu podobać, jeśli uda mi się je kupić.

Po tej przyjacielskiej uwadze rozstaliśmy się. Czy dostrzegłem ubawiony i złośliwy błysk w jego oczach, kiedy zarejestrował moje skrepowanie związane z seansem? Myślałem, że tak, ale nie byłem pewien. Czuję, że teraz mogę sobie wyobrażać różne rzeczy.

XIX. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Było późne popołudnie. Ciemności już zapadły, a ponieważ niebo było zachmurzone, szedłem dość niepewnie krętym podjazdem. Oglądając się na oświetlone okna domu, zszedłem ze zwirow na trawę i zderzyłem się z kimś idącym w przeciwnym kierunku.

Był to mały człowiek, mocnej budowy. Wymieniliśmy przeprosiny- Jego głęboki bas cechowała pedantyczna wymowa.

- Bardzo przepraszam...

- Nie szkodzi. To wyłącznie moja wina, zapewniam pana...

- Nie byłem tu nigdy wcześniej - wyjaśniłem - nie wiem więc, dokąd idę. Powinienem był wziąć latarkę.

- Proszę pozwolić.

Obcy wyjął latarkę z kieszeni, zaświecił i wręczył mi. W jej świetle zobaczyłem, że jest to człowiek w średnim wieku, z okrągłą twarzą cherubina, czarnym wąsem i w okularach. Był ubrany w dobrej jakości płaszcz deszczowy i można go było opisać tylko jako uosobienie szacowności. Przeszła mi jednak przez głowę myśl, dlaczego sam nie używał latarki, mając ją z sobą.

- Ach - powiedziałem dość idiotycznie. - Rozumiem. Zszedłem z alejki.

Wróciłem na drogę i zwróciłem mu latarkę.

- Teraz już trafię.

- Nie, nie, proszę ją zatrzymać aż do bramy.

- Ale pan... pan idzie do domu?

- Nie, idę tą samą drogą co pan. Podjazdem. A potem do przystanku autobusowego. Muszę złapać autobus do Bournemouth.

- Rozumiem - odparłem i ruszyliśmy ramię w ramię. Mój towarzysz wydawał się trochę zakłopotany. Dopytywał się, czy ja również idę na przystanek. Odpowiedziałem, że mieszkam w sąsiedztwie.

Nastąpiła znowu pauza i mogłem zauważyć, że zakłopotanie mego towarzysza rośnie. Był to człowiek, który nie lubi fałszywych sytuacji.

- Odwiedził pan pana Venablesa? - spytał, odchrząknawszy. Potwierdziłem, dodając:

- Przyjmuję, że pan szedł tam również?

- Nie - odparł. - Nie... Szczerze mówiąc... - przerwał. - Mieszkam w Bournemouth, a w każdym razie w pobliżu. Właśnie przeprowadziłem się do małego bungalowu.

Poczułem lekkie podniecenie. Co ja ostatnio słyszałem na temat bungalowu w Bournemouth? Podczas gdy usiłowałem sobie to przypomnieć, mój towarzysz jeszcze bardziej się zmieszał i ostatecznie wykrztusił:

- Musi się to panu wydać bardzo dziwne - i przyznaję, że tak jest - spotkać kogoś spacerującego po prywatnym terenie, jeśli osoba, o którą chodzi, nie zna właściciela domu. Trudno to wyjaśnić, choć zapewniam pana, że mam swoje powody. Mogę jednak powiedzieć, że choć dopiero ostatnio

osiedliłem się w Bournemouth, jestem tu dobrze znany i mógłbym przedstawić kilku szanowanych mieszkańców, by osobiście za mnie poręczyli. Naprawdę jestem farmaceutą, który ostatnio sprzedał dawno założony interes w Londynie. Wyjechałem na emeryturę w te strony, które zawsze uważałem za przyjemne, naprawdę bardzo przyjemne.

Splęnęło na mnie olśnienie. Wiedziałem, kim jest mały człowieczek. Tymczasem on kontynuował z rozpędu.

- Nazywam się Osborne, Zachariah Osborne i - jak powiedziałem - miałem dosyć... bardzo dobry interes w Londynie, na Barton Street, w Paddington Green. Za czasów mego ojca była to zupełnie dobra dzielnica, ale teraz zmieniła się... o tak, zmieniła się bardzo. Świat podupada. - Westchnął i potrząsnął głową. - To jest dom pana Venablesa, prawda? Przypuszczam, że należy on... ee... do pańskich przyjaciół?

- Trudno go nazwać przyjacielem. Do dzisiejszego dnia spotkałem go tylko raz, kiedy moi przyjaciele zabrali mnie do niego na lunch.

- Ach, tak, rozumiem... tak, właśnie.

Doszliśmy teraz do bramy wejściowej. Minęliśmy ją. Pan Osborne zatrzymał się niezdecydowanie. Zwróciłem mu latarkę.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Proszę bardzo. Ja... - przerwał, a potem wyrzucił z siebie gwałtownie: - Nie chciałbym, żeby pan pomyślał... Ściśle mówiąc, wkroczyłem na cudzy grunt bez pozwolenia. Zapewniam pana jednak, że nie zrobiłem tego ze zwykłej ciekawości. Musi się to panu wydać dziwne - moja sytuacja - można mnie błędnie ocenić. Naprawdę chciałbym wyjaśnić... ee... oczyścić siebie.

Czekałem. To wydało mi się najlepszą rzeczą. Moja ciekawość, trywialna czy nie, z całą pewnością wzrosła. Chciałem ją zaspokoić. Pan Osborne milczał dłuższą chwilę, potem się zdecydował.

- Naprawdę pragnąłbym to panu wytłumaczyć, panie... ee...

- Easterbrook. Mark Easterbrook.

- ...panie Easterbrook. Jak już powiedziałem, chętnie skorzystałbym z możliwości wyjaśnienia mego dość dziwnego zachowania. Gdyby miał pan czas... To tylko pięć minut spaceru ścieżką od głównej drogi. Na stacji benzynowej koło przystanku autobusowego jest zupełnie przyzwoita kawiarenka. Pozwoli się pan zaprosić na filiżankę kawy?

Przyjąłem zaproszenie. Powędrowaliśmy razem ścieżką. Pan Osborne, uspokoiwszy swoje udręczone poczucie przyzwoitości, gawędził miło o urokach Bournemouth, jego wspaniałym klimacie, koncertach i przyjemnych ludziach tam mieszkających.

Dotarliśmy do głównej drogi. Stacja benzynowa znajdowała się na rogu, a za nią - przystanek autobusowy. Była tam mała czysta kafejka, w tej chwili pusta, poza parą młodych ludzi w kącie.

Weszliśmy i pan Osborne zamówił dla nas obu kawę i biszkopty.

Potem nachylił się przez stół i zrzucił swój ciężar.

- Wszystko zaczęło się od sprawy, o której mógł pan czytać w gazetach jakiś czas temu. Nie była to wielka sensacja, więc nie dawano wielkich nagłówek - jeśli to jest odpowiednie wyrażenie. Chodziło o katolickiego proboszcza w tej dzielnicy Londynu, w której mam... miałem sklep. Pewnego wieczoru został napadnięty i zabity. Bardzo smutne. Takie zdarzenia są dziś zbyt częste. Był - o ile mi wiadomo - dobrym człowiekiem, choć ja sam nie aprobuję doktryny katolickiej. Jakkolwiek to się stało, muszę wyjaśnić moje zainteresowanie tą sprawą. Policja przeprowadziła dochodzenie i chciała przesłuchać każdego, kto tego wieczoru widział ojca Gormana. Tak się złożyło, że przypadkiem stałem przed moją apteką o ósmej i widziałem przechodzącego księdza. W niewielkiej odległości za nim szedł człowiek, którego wygląd był wystarczająco niezwykły, by zwrócić moją uwagę. W tym czasie, rzecz jasna, nie myślałem o tym, ale jestem dobrym obserwatorem i mam zwyczaj zapamiętywać wygląd ludzi. To stało się moim hobby i wiele osób, przychodzących do mojej apteki, było zaskoczonych, gdy mówiłem do nich: "Ach, tak, myślę, że przychodził pan po ten sam preparat w marcu?". Podobało się im, że pamiętam. Stwierdziłem, że to jest dobre dla interesów. W każdym razie opisałem tego człowieka policji. Podziękowali mi i na tym się skończyło. Teraz przechodzę do dosyć zadziwiającej części mojej historii. Około dziesięciu dni temu byłem na kościelnym festynie w małej wiosce na końcu dróżki, którą szliśmy, i ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem człowieka, o którym wspominałem. Pomyślałem, że musiał mieć wypadek, ponieważ poruszał się w wózku na kołach. Poprzytałem o niego i dowiedziałem się, że jest on tamtejszym bogatym mieszkańcem i nazywa się Venables. Po paru dniach rozważania sprawy napisałem do oficera policji, któremu złożyłem pierwotne zeznanie. Przyjechał do Bournemouth - nazywa się inspektor Lejeune. Wątpił jednak, czy tego właśnie człowieka widziałem wieczorem w dniu morderstwa. Poinformował mnie, że pan Venables jest kaleką od kilku lat, że chorował na polio. Powiedział, że musiało mnie zmylić przypadkowe podobieństwo.

Pan Osborne przerwał nagle. Zamieszałem słaby płyn, stojący przede mną, i ostrożnie pociągnąłem łyk. Pan Osborne dodał do swojej kawy trzy kostki cukru.

- Cóż, to wydaje się załatwiać sprawę.

- Tak - rzekł mój towarzysz. - Tak... - w jego głosie brzmiało wyraźne niezadowolenie. Znowu nachylił się do przodu, jego łysa głowa zaślniła w świetle żarówki, oczy błyszczały fanatycznie zza okularów...

- Muszę wyjaśnić coś więcej. Kiedy byłem chłopcem, przyjaciel mego ojca, również farmaceuta, został wezwany, by świadczyć w sprawie Jeana Paula Marigota. Może przypomina pan sobie - otrul swoją angielską żonę preparatem arsenikowym. Przyjaciel mojego ojca zidentyfikował go w sądzie jako mężczyznę, który złożył w jego rejestrze trucizn fałszywy podpis. Marigot został skazany i powieszony. To wywarło wielkie wrażenie na mnie, w owym czasie wrażliwym, dziewięcioletnim chłopcu. Żywiłem nadzieję, że pewnego dnia ja również mógłbym wystąpić w cause célèbre i stać się narzędziem sprawiedliwości! Być może wtedy zacząłem ćwiczyć zapamiętywanie twarzy. Zwierzę się panu, panie Easterbrook, choć może się to panu wydać śmieszne, że przez wiele, wiele lat rozważałem możliwość, że jakiś mężczyzna, zdecydowany usunąć żonę, może wejść do mojej

apteki, by kupić potrzebny środek.

- Och, zapewne druga Madeleine Smith - podsunąłem.

- Właśnie. Niestety - westchnął - to się nigdy nie zdarzyło. Albo może osoba, o którą chodzi, nigdy nie została pociągnięta do odpowiedzialności. To chyba zdarza się częściej, niż chcielibyśmy wierzyć. Więc ta identyfikacja, choć nie była tym, czego się spodziewałem, otwierała ostatnią możliwość, że mógłbym zostać świadkiem w procesie o morderstwo. - Jego twarz rozpromieniła się dziecięcą radością.

- Spotkało pana wielkie rozczarowanie - zauważyłem.

- Taak. - Znowu w głosie pana Osborne'a dała się słyszeć nuta dziwnego niezadowolenia. - Jestem upartym człowiekiem, panie Easterbrook. W miarę upływu dni byłem coraz bardziej przekonany, że miałem rację. Człowiekiem, którego widziałem, był Venables, a nie ktoś inny. Och! - podniósł rękę w proteście, zanim zacząłem mówić. - Wiem. Zaczynała się mgła. Byłem w pewnej odległości - ale policja nie wzięła pod uwagę, że uczyłem się rozpoznawania. Nie chodziło tylko o rysy, wydatny nos, jabłko Adama; jest też ustawienie głowy, kąt nachylenia szyi. Powiedziałem sobie: "No, no, przyznaj się do pomyłki". Jednak nadal czułem, że to nie był błąd. Policja powiedziała, że to niemożliwe. Ale czy tak było? O to właśnie zapytałem sam siebie.

- Na pewno przy takim kalectwie... Przerwał mi, machając palcem, podniecony.

- Tak, ale moje doświadczenia ze służbą zdrowia... Byłby pan zdumiony wiedząc, co ludzie są gotowi zrobić i co się im udaje! Nie chciałbym twierdzić, że profesorowie medycyny są łatwowierni - prosty przypadek symulacji wykrywają dość szybko. Są jednak sposoby, z których chemik zda sobie sprawę szybciej niż lekarz. Pewne lekarstwa na przykład zmieniają zupełnie niewinne preparaty. Można wywołać gorączkę, różne wysypki i podrażnienia skóry, suchość gardła albo wzmożone wydzielanie...

- Trudno jednak symulować atrofię kończyn - podkreśliłem.

- No właśnie. A kto mówi, że kończyny pana Venablesa są atroficzne?

- Zapewne jego lekarz.

- Właśnie. Spróbowałem jednak zdobyć więcej informacji na ten temat. Lekarz pana Venablesa jest z Londynu, praktykuje na Harley Street. Prawda, że Venables - kiedy tu zamieszkał - był badany przez miejscowego lekarza. Ale lekarz ten jest na emeryturze i wyjechał za granicę. Obecny doktor nigdy nie zajmował się panem Venablesem, który jeździ raz w miesiącu na Harley Street.

Popatrzyłem na niego z ciekawością.

- Wciąż nie widzę możliwości znalezienia luki na ee... ee...

- Nie zna pan rzeczy, o których ja wiem - oznajmił pan Osborne. - Wystarczy skromny przykład. Pani H. pobierała zasiłek przez ponad rok. Pobierała go w trzech różnych miejscach, tylko w jednym

nazywała się pani C., a w drugim pani T... Pani C. i pani T. pożyczają jej swoje karty świadomie i tak zbierała pieniądze trzykrotnie większe.

- Nie rozumiem...

- Założmy, tylko założmy... - palec wskazujący znowu ruszał się w podnieceniu. - Nasz pan V. wchodzi w kontakt z prawdziwym kaleką po polio, żyjącym w biedzie. Robi mu propozycję. Mężczyzna przypomina go, powiedzmy, w ogólnych zarysach. Prawdziwy poszkodowany jako pan V. odwiedza specjalistę, jest badany, tak że wszystko się zgadza. Wtedy pan V. wynajmuje dom na wsi. Miejscowy lekarz wybiera się wkrótce na emeryturę. Znowu prawdziwy kaleka wzywa doktora, by go zbadał. I wszystko gra! Pan Venables ma dobrą dokumentację jako ofiara choroby Heine-Medina, z zanikami mięśni kończyn dolnych. Na miejscu jest widywany (kiedy się pokazuje) w fotelu na kółkach.

- Jego służba musiałaby wiedzieć - sprzeciwiłem się.

- A jeśli to gang i lokaj jest jego członkiem? Co mogłoby być łatwiejsze? Część pozostałej służby również.

- Ale po co?

- Ach - odparł pan Osborne - to inne zagadnienie. Nie opowiem panu swojej teorii, bo pewnie by się pan uśmieł. Ale ma pan bardzo dobre alibi dla człowieka, który go potrzebuje. Mógłby być tu i tam, i jeszcze gdzieś i nikt by o tym nie wiedział. Widziano go idącego w Paddington? Niemożliwe! Jest bezradnym kaleką, mieszkającym na wsi itd. - Przerwał i spojrzał na zegarek. - Mój autobus przyjeżdża. Muszę się śpieszyć. Trzeba to rozważyć. Byłem ciekaw, czy potrafiłbym coś udowodnić. Wykombinowałem więc, że mógłbym tu przyjechać (mam teraz wiele czasu, odłożyłem na bok interesy), pójść do jego ogrodu i - cóż, nie brzmi to ładnie - trochę pospieszować. Powie pan, że to nic miłego, i ja się zgadzam. Ale jeżeli się nie mylę, doprowadzi to zbrodniarza na ławę oskarżonych... Jeżeli na przykład zobaczę naszego pana Venablesa na spokojnej przechadzce po swojej posiadłości - no to mamy go! A potem przyszło mi na myśl, że gdyby nie zasuwali zasłon tak wcześniej (musiał pan zauważyć, że ludzie nie robią tego, gdy kończy się czas letni, bo spodziewają się, że będzie ciemno dopiero za godzinę), mógłbym się zakraść i zerknąć. Chodząc po swojej bibliotece nie wyobraża sobie chyba, że ktoś mógłby go szpiegować? Dlaczego miałby tego oczekiwać? O ile mu wiadomo, nikt go nie podejrzewa.

- Czemu jest pan tak pewny, że człowiek, którego widział pan tego wieczoru, to był Venables?

- Wiem, że to był on! - Zerwał się na nogi. - Jedzie mój autobus. Miło mi było poznać pana, panie Easterbrook, i ulżyło mi, że wyjaśniłem, co robiłem tam, w Priors Court. Nie wątpię, że wydało się to panu stekiem bzdur.

- Nie, w żadnym wypadku - odparłem. - Ale nie powiedział mi pan, o co chodzi Venablesowi.

Pan Osborne wydał się zakłopotany i trochę ogłupiał.

- Przypuszczam, że będzie się pan śmiał. Wszyscy mówią, że jest bogaty, ale nikt nie wie, jak zdobył pieniądze. Powiem panu, co myślę. Uważam go za jednego z tych mistrzów zbrodni, o których się czyta. Wie pan - planują przestępstwa i mają gang, który je wykonuje. Może wydawać się to panu głupie, ale...

Autobus zatrzymał się. Pan Osborne pobiegł do niego.

Szedłem do domu ścieżką, głęboko zamyślony... To była fantastyczna teoria, jak podkreślał pan Osborne, ale musiałem przyznać, że coś w niej może być.

XX. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

Kiedy telefonowałem następnego dnia do Ginger, powiedziałem jej, że nazajutrz przenoszę się do Bournemouth.

- Znalazłem przyjemny hotelik, nazywający się (nie wiadomo dlaczego) Deer Park. Posiada kilka miłych, nie rzucających się w oczy zalet. Mógłbym wymknąć się do Londynu i zobaczyć się z tobą.

- Uważam, że naprawdę nie powinieneś tego robić. Muszę jednak powiedzieć, że byłoby cudownie, gdybyś to zrobił. Ta nuda! Nie masz pojęcia! Gdybyś nie mógł, ja mogłabym się wysliznąć i spotkać się gdzieś z tobą.

Nagle coś mnie uderzyło.

- Ginger! Twój głos... Jest jakiś zmieniony...

- Ach, to! Wszystko w porządku. Nie denerwuj się.

- Ale ten twój głos?

- To tylko ból gardła.

- Ginger!

- Słuchaj, Mark, każdego może boleć gardło. Przypuszczam, że się przeziębiam. Albo złapałam grypę.

- Grypę? Słuchaj, nie wymiguj się. Jesteś zdrowa czy nie?

- Nie zwracaj głowy. Wszystko w porządku.

- Powiedz mi dokładnie, jak się czujesz. Wydaje ci się, że dostajesz grypy?

- No... może... Wszystko mnie boli, wiesz, jak to jest...

- Temperatura?

- Cóż, troszkę gorączki...

Siedziałem tam, ogarnięty okropnym uczuciem zimna. Byłem przerażony. Wiedziałem też, że jakkolwiek Ginger nie przyznaje się do tego, jest również przerażona.

Odezwała się znowu.

- Mark, nie wpadaj w panikę. Panikujesz, a naprawdę nie ma żadnego powodu.

- Może nie. Musimy jednak przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Zadzwoń do lekarza i poproś, by przyszedł. Natychmiast.

- Dobrze... Ale uważam, że jesteś tchórzem.

- Mniejsza z tym. Zrób to! A kiedy przyjdzie, zadzwoń do mnie. Po odłożeniu słuchawki siedziałem długą chwilę, gapiąc się na czarny, obojętny telefon. Panika - nie mogę poddać się panice... O tej porze roku zawsze panuje grypa... Doktor mnie uspokoi... może to tylko lekkie przeziębienie...

Oczyrna duszy zobaczyłem Sybil w jej zielonej sukni z nagryzmołonymi symbolami zła. Usłyszałem głos Thyry, energiczny, komenderujący... Na pomazanej kredą podłodze Bella, zawodząca swoje złowrogie pieśni, trzymająca wyrywającego się białego koguta...

Bzdury, wszystko bzdury... Rzecz jasna, to wszystko były idiotyczne przesady...

Pudło... nie tak łatwo można porzucić myśl o pudle. Przedstawiało nie ludzkie przesady, tylko rozwój możliwości nauki... Ale to niemożliwe... niemożliwe, żeby...

Pani Dane Calthrop znalazła mnie siedzącego i wpatzonego w telefon.

- Co się stało? - spytała natychmiast.

- Ginger nie czuje się dobrze... - odparłem.

Chciałem, żeby mi powiedziała, że to wszystko nonsens. Chciałem, żeby mnie uspokoiła. Ale nie uspokoiła mnie.

- To źle - orzekła. - Tak, sądzę, że to źle.

- To niemożliwe - przekonywałem. - To niemożliwe, żeby potrafiły zrobić to, co mówią.

- Naprawdę?

- Nie wierzy pani, nie może wierzyć... .

- Mój drogi Marku - powiedziała pani Dane Calthrop. - Oboje wraz z Ginger przyznaliście już, że taka możliwość istnieje, w przeciwnym razie nie robilibyście tego, co robicie.
- I nasza wiara zwiększa to prawdopodobieństwo!
- Nie posuwacie się tak daleko, by wierzyć. Przyznajecie tylko poprzez dowód, że moglibyście wierzyć.
- Dowód? Jaki dowód?
- Zachorowanie Ginger stanowi dowód. Nienawidziłem jej. Podniosłem gniewnie głos.
- Czemu jest pani taką pesymistką? To tylko zwykłe przeziębienie, coś w tym rodzaju. Dlaczego uparcie wierzy pani w najgorsze?
- Ponieważ jeżeli nadeszło najgorsze, musimy stawić temu czoło albo schować głowę w piasek do chwili, kiedy będzie za późno.
- Pani uważa, że te śmieszne czary-mary działają? Te transy i uroki, i ofiarowanie koguta, i cała ta kupa trików?
- Coś działa. I temu musimy stawić czoło. Wiele z tego - większość, jak sądzę - to po prostu akcesoria. To coś, co tworzy atmosferę. Atmosfera jest ważna. Ale między nimi musi być ukryta prawdziwa rzecz - to coś, co działa.
- Coś takiego jak działanie radia na odległość?
- Coś w tym rodzaju. Widzi pan, ludzie stale dokonują wynalazków - przerażających rzeczy. Osoby bez skrupułów mogą wykorzystywać niektóre nowe wynalazki do własnych celów. Wie pan, że ojciec Thyrzy był fizykiem...
- Ale co? Co takiego? To przeklęte pudło! Gdybyśmy mogli je zbadać! Jeżeli policja...
- Policja nie będzie miała dużego zapału do wzięcia nakazu rewizji i przeszukania posiadłości bez poważniejszych dowodów niż te, które posiadamy.
- A jeżeli wpadnę tam i rozwalę tę cholerną rzecz? Pani Dane Calthrop potrząsnęła głową.
- Wnioskując z tego, co pan mi powiedział, szkoda, jeśli stała się jakaś, dokonała się tamtego wieczoru.
- Chciałbym, żebyśmy nigdy nie zaczęli tej przeklętej sprawy. Pani Dane Calthrop powiedziała twardo:
- Wasze motywy były jak najlepsze. A co się stało, już się nie odstanie. Będzie pan wiedział więcej, kiedy Ginger zadzwoni po wizycie lekarza. Zadzwoni pewnie do Rhody...

Pojąłem aluzję.

- Lepiej tam wrócę.

- Jestem głupia - oświadczyła pastorowa nagle, kiedy wychodziłem. - Teraz wiem, że jestem głupia. Akcesoria! Pozwalamy, by opanowały nasze myśli. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że ktoś kieruje nami właśnie w ten sposób.

Może miała rację. Ja jednak nie umiałem dostrzec innej możliwości.

Ginger zadzwoniła do mnie po dwóch godzinach.

- Był - powiedziała. - Wydawał się trochę zakłopotany, ale mówił, że prawdopodobnie to grypa. Jest teraz sporo takich przypadków. Kazał mi się położyć i przysłał leki. Mam dosyć wysoką gorączkę. Ale tak bywa przy grypie, prawda?

Pod pozorami dzielności w jej ochryłym głosie był ton smutku.

- Będzie dobrze - odparłem przygnębiony. - Słyszysz? Będzie dobrze. Czy czujesz się bardzo źle?

- No... gorączka... i bóle, wszystko jest obolałe, nogi i skóra. Nie mogę znieść dotknięcia... I tak mi gorąco.

- To gorączka, kochanie. Słuchaj, jadę do ciebie! Wyjeżdżam natychmiast. Nie protestuj.

- Dobrze. Cieszę się, że przyjeżdżasz, Mark. Muszę powiedzieć, że nie jestem taka dzielna, jak myślałam...

Zadzwoniłem do Lejeune'a.

- Panna Corrigan jest chora.

- Co takiego?

- Słyszysz pan. Zachorowała. Wezwała swojego lekarza. On powiada, że to pewnie grypa. To możliwe. Ale może tak nie jest. Nie wiem, co może pan zrobić. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to zaangażować w to jakiegoś specjalistę.

- Jakiego specjalistę?

- Psychiatrę albo psychoanalityka czy psychologa. Psycho... coś tam. Człowieka, który zna się na sugestii, hipnozie, praniu mózgu i takich rzeczach. Są przecież ludzie, którzy wiedzą sporo na ten temat.

- Oczywiście, że są. Tak. Jest paru ludzi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zajmujących się tym. Myślę, że ma pan absolutną rację. To może być grypa, ale może też być to sprawa jakiegoś wpływu psychicznego, o którym wiadomo niewiele. Na Boga, Easterbrook, to może być to, czego się

spodziewaliśmy!

Rzuciłem słuchawkę. Mogliśmy dowiedzieć się czegoś o broni psychologicznej, ale ja troszczyłem się tylko o Ginger, dzielną i przerażoną. Nie musieliśmy uwierzyć - a może jednak? Oczywiście, nie musieliśmy. To miała być gra, zabawa w policjantów i złodziei. Okazało się, że to nie zabawa.

Blady Koń udowodnił swoją prawdziwość. Złapałem się za głowę i jęknąłem.

XXI. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

1

Wątpię, czy kiedykolwiek zapomnę parę następnych dni. Wirują jak w oszalałym kalejdoskopie, bez ładu i porządku. Ginger została zabrana do prywatnej lecznicy. Pozwolono mi ją widywać tylko w porze odwiedzin.

Jej lekarz - o ile się orientuję - miał ochotę upierać się przy swoim. Nie rozumiał zamieszania wokół całej sprawy. Jego diagnoza była prosta: odoskrzelowe zapalenie płuc w następstwie grypy, powikłane przez pewne niezwykle objawy, ale - jak mówił - "to się często zdarza. Nie ma tylko typowych przypadków. A niektórzy ludzie nie reagują na antybiotyki".

Oczywiście wszystko, co mówił, było prawdą. Ginger miała odoskrzelowe zapalenie płuc. Nie było nic tajemniczego w chorobie, na którą cierpiała. Po prostu była chora i przechodziła to ciężko.

Miałem rozmowę z psychologiem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przypominał małego wróbelka, podnosząc się na palcach i opadając, z oczami mrugającymi zza grubych szkielec.

Zadał mi masę pytań, z których połowa zdawała się nie mieć sensu, choć sens musiał tam być, ponieważ kiwał przemądrzale głową nad moimi odpowiedziami. Zdecydowanie odmówił angażowania się, co było prawdopodobnie słuszne. Od czasu do czasu wypowiadał uwagi w żargonie zawodowym. Próbował - jak mi się zdaje - hipnotyzować Ginger różnymi metodami, ale wszyscy zgadzali się, żeby nie opowiadać mi o tym zbyt wiele. Może też nie było nic do opowiadania.

Unikałem przyjaciół i znajomych, ale samotność była nie do zniesienia.

Ostatecznie w wybuchu rozpaczyny zadzwoniłem do Poppy, do jej kwaciarni. Czy chciałaby pójść ze mną na obiad? Poppy oznajmiła, że będzie zachwycona.

Zabrałem ją do Fantasi. Poppy szczebiotała miłutko i stwierdziłem, że jej towarzystwo działa uspokajająco. Wprawiwszy ją w osłupienie przepysznyim jedzeniem i napojami, zacząłem ostrożnie zapuszczać sondę. Wydawało mi się nieprawdopodobieństwem, by Poppy wiedziała o czymś bez pełnej świadomości tego, co wie. Zapytałem ją, czy pamięta moją przyjaciółkę, Ginger. "Oczywiście" - odpowiedziała Poppy, otwierając szeroko wielkie niebieskie oczy, i spytała, co Ginger porabia.

- Jest bardzo chora - odparłem.
- Biedactwo. - Poppy była tak przejęta, jak to okazywała, to znaczy nie bardzo.
- Musiała się w coś zaplątać. Wydaje mi się, że zasięgała twojej rady w tej sprawie. To coś związanego z Bładym Koniem. Kosztowało ją straszne pieniądze.
- Och - zawołała Poppy, otwierając oczy jeszcze szerzej. - Więc to byłeś ty!

Przez chwilę nic nie rozumiałem. Potem zaświtało mi, że Poppy identyfikuje mnie z mężczyzną, którego kaleka żona jest przeszkodą do szczęścia Ginger. Rewelacje o naszym życiu miłosnym tak ją podekscytowały, że nie zaalarmowała jej wzmianka o Bładym Koniem.

- Udało się? - szepnęła.
- Coś nie wyszło. Zdechł pies - dodałem.
- Jaki pies? - spytała Poppy zdezorientowana. Spostrzegłem, że Poppy najlepiej reaguje na wyrazy jednosylabowe.
- Ta... ee... sprawa odbiła się na Ginger. Słyszałaś, żeby przedtem zdarzyło się coś podobnego?

Poppy nie słyszała.

- Rzecz jasna, ten numer, jaki robią w Bładym Koniem, tam w Much Deeping... wiesz o tym, prawda?
- Nie wiedziałam, gdzie to jest. Gdzieś na prowincji.
- Nie mogłem wydobyć z Ginger, co oni tam właściwie robią... Czekałem cierpliwie.
- To chyba jakieś promienie, prawda? - powiedziała Poppy wymijająco. - Coś w tym rodzaju. Z przestrzeni kosmicznej - dodała. - Jak Rosjanie!

A więc Poppy polega na swojej ograniczonej wyobraźni.

- Coś w tym rodzaju. Ale to musi być niebezpieczna rzecz. Mam na myśli, że Ginger zachorowała od tego.
- Przecież to twoja żona miała być chora i umrzeć?
- Tak - odparłem, wchodząc w rolę, którą Ginger i Poppy przewidziały dla mnie. - Coś jednak poszło źle, nie wypaliło.
- Myślisz... - Poppy dokonała straszego umysłowego wysiłku. - Jakbyś włożył żelazo do kontaktu i poraził cię prąd?
- Właśnie. Coś w tym rodzaju. Słyszałaś, żeby coś takiego zdarzyło się przedtem?

- No, nie w ten sposób...

- A w jaki?

- No, myślę, że jeśli ktoś po wszystkim nie zapłacił. Wiem, że pewien człowiek nie zapłacił - jej głos był pełen grozy - zabił się w metrze, spadł z peronu pod pociąg.

- To mógł być wypadek.

- O nie - powiedziała Poppy, zaszokowana samą myślą. - To byli ONI.

Dolałem jej więcej szampana. Czułem, że przede mną siedzi ktoś, kto może pomóc, jeżeli tylko potrafię wydrzeć pojedyncze fakty z tego, co uważała za swój mózg. Słyszała, jak się rozmawia o wielu rzeczach, i przyswajała połowę z nich, myśląc je, i nikt nie zwracał uwagi na to, co przy niej mówi, ponieważ była "tylko Poppy".

Najgorsze było to, że nie wiedziałem, o co pytać. Gdybym powiedział coś niewłaściwego, zaalarmowana zamknęłaby się jak ostryga i nabrała wody w usta.

- Moja żona - zacząłem - jest wciąż kaleką, ale nie pogorszyło się jej.

- To fatalnie - rzekła Poppy współczująco, popijając szampana.

- I co zrobić dalej? Zdawało się, że Poppy nie wie.

- Rozumiesz, to Ginger... Ja nie załatwiałem niczego. Czy jest ktoś, do kogo mógłbym się zwrócić?

- Eileen Brandon może coś wiedzieć, ale ja się nie orientuję. Wprowadzenie zupełnie nieznannej Eileen Brandon zaskoczyło mnie. Spytałem, kto to jest.

- Ona jest okropna. Bardzo głupia. Ma włosy skręcone bardzo mocną trwałą i nigdy nie nosi szpilek. Zupełne dno! Chodziłam z nią do szkoły - dodała w formie wyjaśnienia. - Była dosyć tępa, ale bardzo dobra z geografii.

- Co ona ma wspólnego z Bładym Koniem?

- Nic szczególnego. To był tylko taki pomysł. Zresztą ona i tak to rzuciła.

- Co rzuciła? - spytałem oszołomiony.

- Swoją pracę w BRK.

- Co to jest BRK?

- Tak dokładnie to nie wiem. Oni mówią tylko BRK. Coś o reakcjach konsumentów czy badaniach. To zupełnie mały interes.

- I Eileen Brandon pracowała dla nich? Co miała robić?

- Tylko chodzić i zadawać pytania. O pastę do zębów i piecyk gazowy i jakiego rodzaju gąbki używasz. Strasznie przygnębiające i nudne. Chcę powiedzieć: kogo to obchodzi?

- Przypuszczalnie BRK. Poczułem dreszcz podniecenia.

Właśnie kobietę zatrudnioną w instytucji tego rodzaju odwiedził ojciec Gorman owego fatalnego wieczoru. I ktoś taki odwiedził Ginger w tamtym mieszkaniu...

To było pewne ogniwo.

- Dlaczego rzuciła pracę? Znudziła ją?

- Nie sądzę. Płacili zupełnie dobrze. Miała jednak pewne zastrzeżenia co do niej - to nie było to, czego się spodziewała.

- Uważała, że może się łączyć z Błędym Koniem? O to chodziło?

- Nie wiem. Coś w tym rodzaju... W każdym razie teraz pracuje w barze espresso na końcu Tottenham Court Road.

- Daj mi jej adres.

- Nie jest ani trochę w twoim typie.

- Nie chcę jej robić propozycji seksualnych - odparłem brutalnie. - Chcę trochę szczegółów o BRK. Zamierzam kupić trochę udziałów w jednym z takich przedsiębiorstw.

- Rozumiem - powiedziała Poppy, zadowolając się tym wyjaśnieniem.

Nie dało się nic więcej od niej wydostać, więc skończyliśmy szampana i odwiozłem ją do domu, dziękując za uroczy wieczór.

Następnego ranka próbowałem zadzwonić do Lejeune'a, ale nie powiodło mi się. Jednak mimo pewnych trudności udało mi się połączyć z Jimem Corriganem.

- Co z tą psychologiczną miernotą, którą przyprowadziłeś do mnie, Corrigan? Co on mówi o Ginger?

- Całą kupę niezrozumiałych słów. Myślę jednak, Mark, że on jest twoją prawdziwą klęską. Jak wiesz, ludzie chorują na zapalenie płuc. Nie ma w tym nic tajemniczego ani niezwykłego.

- Tak. I kilka osób, o których wiemy, że ich nazwiska były na pewnej liście, zmarło na zapalenie płuc, zapalenie żołądka i jelit, guz mózgu, paraliż, epilepsję, paratyfus i inne dobrze rozpoznane choroby.

- Wiem, co czujesz... Ale co możemy zrobić?

- Jest jej gorzej? - spytałem.

- Cóż... tak...

- Więc coś trzeba zrobić.

- Na przykład?

- Mam parę pomysłów. Pojechać do Much Deeping, złapać Thyrzę Grey i zmusić ją groźbą ciężkiego pobicia, by odwróciła czary czy co to jest...

- To mogłoby się udać.

- Albo... mógłbym pójść do Venablesa... Corrigan powiedział ostro:

- Venables? Ale on został wykluczony. Jak można by go łączyć z tą sprawą? Jest kaleką.

- Zastanawiam się. Mógłbym pojechać tam, ściągnąć ten pled i zobaczyć, czy ta historia z atrofią mięśni nóg jest prawdą czy nie!

- Sprawdzaliśmy to...

- Czekaj. Będąc w Much Deeping wpadłem na tego małego aptekarza, Osborne'a. Chcę ci powtórzyć, co mi sugerował.

Nakreśliłem mu teorię Osborne'a na temat zamiany personaliów.

- Ten facet ma bzika - oświadczył Corrigan. - To taki człowiek, który zawsze musi mieć rację.

- Ale, Corrigan, powiedz, czy nie może być tak, jak on mówi? To możliwe, prawda?

Po chwili Corrigan powiedział powoli:

- Tak. Muszę przyznać, że to możliwe... Jednak kilka osób musiałoby być wtajemniczonych, a on musiałby płacić grubo za ich milczenie.

- I co z tego? Leży na forsie, nie? Czy Lejeune dowiedział się, jak on zrobił te swoje pieniądze?

- Nie. Dokładnie nie... Zgadza się z tobą. Z tym facetem coś jest nie tak. Ma jakąś ciemną przeszłość. Sprawa pieniędzy jest bardzo sprytnie wyjaśniona, na wiele sposobów. Nie jest możliwe przyłapanie go bez śledztwa, które mogłoby ciągnąć się latami. Policja musi robić to, co do tej pory, kiedy byli na tropie finansowego oszusta, zacierającego ślady nieskończoną siecią matactw. Sądzę, że urząd skarbowy od pewnego czasu węszy koło Venablesa. On jednak jest sprytny. Jak ty go widzisz? Jako głowę całej imprezy?

- Właśnie tak. Myślę, że jest człowiekiem, który planuje wszystko.

- Być może. Zgadzam się, że może mieć odpowiedni rozum. Na pewno jednak nie zdołałby zrobić sam czegoś tak okrutnego, jak zabicie ojca Gormana.

- Mógł to zrobić, gdyby była nagląca konieczność. Ojciec Gorman musiał zostać uciszony, zanim przekazałby dalej to, czego dowiedział się od umierającej kobiety na temat działalności Białego Konia. Poza tym... - Przerwałem na moment.

- Halo, jesteś tam jeszcze?

- Tak, zastanawiałem się... Przyszedł mi do głowy taki pomysł...

- Co takiego?

- Jeszcze nie widzę tego jasno... Że prawdziwe bezpieczeństwo można osiągnąć tylko w jeden sposób... Jeszcze tego nie przemyślałem... W każdym razie muszę teraz iść. Mam spotkanie w barze kawowym.

- Nie wiedziałem, że przyrośłeś do baru kawowego w Chelsea!

- Wcale nie. Mój lokal jest na Tottenham Court Road. Rozłączyłem się i spojrzałem na zegarek. Ruszałem do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

Zawahałem się. Dziesięć do jednego, że był to znowu Jim Corrigan, pragnący dowiedzieć się czegoś o moim pomysle.

Nie chciałem rozmawiać z nim właśnie teraz. Poszedłem w kierunku drzwi, a telefon dzwonił uparcie, natrętnie. Oczywiście to mógł być szpital... Ginger...

Nie mogłem ryzykować. Zawróciłem niecierpliwie i zdjąłem gwałtownie słuchawkę z widełek.

- Halo?

- To ty, Mark?

- Tak, kto mówi?

- To ja, oczywiście - odezwał się głos z wyrzutem. - Słuchaj, chcę ci coś powiedzieć.

- Ach, to ty - rozpoznałem głos pani Oliver. - Słuchaj, strasznie się śpieszę, muszę wyjść. Zadzwonię do ciebie później.

- Nie ma mowy - powiedziała pani Oliver twardo. - Musisz wysłuchać mnie teraz. To ważne.

- No to musisz się streszczać. Mam spotkanie.

- Phi... Ty się zawsze spóźniasz. Wszyscy się spóźniają. Będą o tobie więcej myśleć.

- Nie, naprawdę muszę...

- Słuchaj, Mark. To jest ważne. Jestem tego pewna. Musi tak być!

Pohamowałem niecierpliwość, najlepiej jak umiałem, patrząc na zegarek. -No?

- Moja Milly ma anginę. Była bardzo chora i wyjechała na prowincję, do siostry...

Zgrzytnąłem zębami.

- Strasznie mi przykro z tego powodu, ale naprawdę...

- Słuchaj. Jeszcze nie zaczęłam. Na czym stanęłam? A tak. Milly pojechała na prowincję, więc zadzwoniłam do agencji, do której zawsze się zwracam... do Regencji... taka głupia nazwa, jak kino...

- Naprawdę muszę...

- I spytałam, kogo mogliby przysłać. Powiedzieli, że właśnie teraz jest bardzo trudno, właściwie zawsze tak mówią, ale że zrobią, co się da...

Moja przyjaciółka nigdy nie wydała mi się tak irytująca.

- ...i dziś rano przyszła kobieta, i jak myślisz, kim się okazała?

- Nie mam pojęcia. Słuchaj...

- Kobieta nazywa się Edith Binns - komicznie, prawda? - i ty ją znasz.

- Nie, nie znam. Nigdy nie słyszałem o kobiecie nazwiskiem Edith Binns.

- Znasz ją jednak i widziałeś niezbyt dawno. Była od lat u twojej matki chrzestnej, lady Hesketh-Dubois.

- Och, ona!

- Tak. Widziała cię w dniu, kiedy zabierałeś jakieś obrazy.

- No to bardzo miło i sędzę, że masz szczęście, trafiając na nią. O ile wiem, jest niezwykle godna zaufania i solidna. Ciocia Min zawsze tak mówiła. Ale teraz naprawdę...

- Nie potrafisz poczekać? Nie doszłam do sedna. Siedziała i mówiła dużo o lady Hesketh-Dubois i jej ostatniej chorobie, ponieważ one uwielbiają choroby i śmierć, i wtedy powiedziała właśnie to.

- Co powiedziała?

- Rzecz, która zwróciła moją uwagę. Coś takiego: "Biedna, kochana pani, cierpiała bardzo. Ta okropna rzecz na jej mózgu, powiedzieli, że to nowotwór, a ona była taka zdrowa przedtem. Żal było patrzeć na nią w lecznicy i na jej włosy, gęste białe włosy, które zawsze farbowała co dwa tygodnie,

wypadające, na poduszce. Wychodziły garściami". I wtedy, Mark, pomyślałam o swojej przyjaciółce, Mary Delafontaine. Wypadły jej włosy. I przypomniałam sobie, co opowiadałeś o jakiejś dziewczynie, spotkanej w kawiarni w Chelsea, która pobiła się z inną i wrywała jej garście włosów. Włosy nie wychodzą tak łatwo, Mark. Spróbuj, tylko spróbuj pociągnąć swój włos, wyrwać z cebulką! Spróbuj tylko! Widzisz. To nie jest normalne, że tym wszystkim ludziom wychodzą włosy z cebulkami. To nie jest naturalne. To musi być jakaś nowa choroba, to musi coś znaczyć.

Ścisnąłem słuchawkę, a w głowie mi się kręciło. Jakieś rzeczy, pół zapamiętane urywki informacji ułożyły się w całość. Rhoda i jej psy na trawniku... artykuł, który czytałem w medycznym czasopiśmie w Nowym Jorku... Oczywiście... Oczywiście!

Uświadomiłem sobie nagle, że pani Oliver dalej radośnie trajkocze.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedziałem. - Jesteś cudowna!

Trzasnąłem słuchawką i podniosłem ją znowu. Wykręciłem numer i tym razem miałem dość szczęścia, by złapać bezpośrednio Lejeune'a.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Czy Ginger wychodzą bardzo obficie włosy?

- Cóż... o ile mi wiadomo, to tak. Zapewne z powodu wysokiej gorączki.

- Gorączka, akurat - przerwałem. - To, na co cierpi Ginger, na co cierpieli wszyscy, to jest zatrucie talem. Prośmy Boga, żebyśmy zdążyli...

XXII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

- Zdążyliśmy? Będzie żyła?

Chodziłem tam i z powrotem. Nie potrafiłem usiedzieć spokojnie. Lejeune siedział, patrząc na mnie. Był cierpliwy i przyjazny.

- Może pan być pewien, że robi się wszystko, co możliwe.

To była wciąż ta sama odpowiedź. Nie uspokajała mnie ani trochę.

- Czy oni wiedzą, jak leczyć zatrucie talem?

- Takie przypadki nie trafiają się często. Wypróbują wszystko, co się da. Gdyby mnie pan spytał, myślę, że ona wyjdzie z tego.

Popatrzyłem na niego. Skąd mogłem wiedzieć, czy facet naprawdę wierzy w to, co mówi? Może tylko próbuje mnie uspokoić?

- W każdym razie potwierdzili, że chodzi o tal?

- Tak, to zostało potwierdzone.

- Więc to jest prawda o Błędym Koniu. Trucizna. Żadne czary, żadna hipnoza, żadne promienie śmierci. Zwyczajne trucie! I ona mi narzuciła to przekonanie, niech ją diabli. Rzuciła mi to w twarz. Zapewne śmiejąc się bezczelnie cały czas.

- O kim pan mówi?

- O Thyrzie Grey. O tym pierwszym popołudniu, kiedy byłem tam na herbacie. Mówiła o Borgiach, o zainteresowaniu "rzadkimi, nie pozostawiającymi śladu truciznami", o zatrutych rękawiczkach i całej reszcie. "Zwykły biały arszenik - powiedziała - i nic więcej". Te wszystkie wygłupy! Transy i białe koguty, i piecyk, i pentagramy, i wudu, i odwrócony krzyż - to wszystko było dla przesądnych prostaków. A słynne "pudło" było następnym idiotyzmem dla nowocześnie myślących. Nie wierzymy dziś w duchy, czarownice, czary, ale jesteśmy łatwowierni, gdy chodzi o "promienie", "fale", czy zjawiska psychologiczne. Założę się, że to pudło nie jest niczym więcej niż małym elektrycznym urządzeniem z kolorowymi żaróweczkami i szumiącymi wentylami. Ponieważ żyjemy w stałym lęku przed opadami radioaktywnymi, strontem 90 i całą resztą, jesteśmy podatni na naukowe wywody. Cały Błędny Koń był wyłącznie fałszerstwem. Był atrapą. Skupiał naszą uwagę tak, że nigdy nie podejrzewaliśmy, iż działanie może przebiegać w innym kierunku. Urok polegał na tym, że przedsięwzięcie było dla nich zupełnie bezpieczne. Thyrza Grey mogła się głośno chęłpić, iż posiada nadprzyrodzoną siłę i może jej rozkazywać. Na tej podstawie nigdy nie stanęłaby przed sądem i nie zostałaby oskarżona o morderstwo. Każdy sąd musiałby orzec, że cała sprawa jest bzdurą i niemożliwością! I oczywiście tak właśnie było.

- Uważa pan, że uczestniczyły w tym wszystkie trzy? - spytał Lejeune.

- Nie sądzę. Wiara Belli w magię jest prawdziwa. Wierzy we własną moc i cieszy się nią. Tak samo Sybil. Jest urodzonym medium. Zapada w trans i nie wie, co się dzieje. Wierzy we wszystko, co Thyrza jej powie.

- Więc to Thyrza jest spiritus movens?

- W sprawach dotyczących Błędego Konia, tak. Ale nie jest mózgiem całego przedsięwzięcia. Prawdziwy mózg działa za kulisami. Planuje i organizuje. Wszystko się pięknie zazębia. Każdy ma swoją robotę i nikt nie wie nic o drugim. Bradley prowadzi stronę prawną i finansową. Poza tym nie wie o niczym. Rzecz jasna, dobrze mu płacą, tak samo Thyrzie Grey.

- Wydaje się, że jest pan świetnie zorientowany, ku swojej satysfakcji - powiedział inspektor sucho.

- Nie jestem. Jeszcze nie. Znamy tylko podstawowe fakty. Wciąż takie same, jakie były od wieków. Nieskomplikowane i proste. Zwyczajna trucizna. Poczciwy, stary śmiertelny napój.

- Skąd przyszedł panu do głowy tal?

- Skojarzyłem nagle kilka rzeczy. Początkiem całej sprawy było to, co widziałem pewnego wieczoru w Chelsea. Dziewczyna, której inna wydzierała włosy z korzeniami. A ona powiedziała: "To nie

bolało". To nie była brawura - jak myślałem - to był fakt. To nie bolało. Kiedy byłem w Ameryce, czytałem artykuł o zatruciu talem. W pewnej fabryce zmarło wielu robotników. Ich śmierć przypisywano zdumiewająco wielu przyczynom. Wśród nich, jeśli pamiętam dobrze, był paratyfus, udar mózgu, alkoholowe zapalenie nerwów, paraliż, epilepsja, zapalenie żołądka i jelit itd. Była tam kobieta, która otruła siedem osób. Wśród diagnoz figurowały: guz mózgu, zapalenie mózgu i płatowe zapalenie płuc. O ile rozumiem, objawy tych chorób różnią się znacznie. Mogą się zaczynać biegunką lub wymiotami, może wystąpić stan odurzenia, mogą pojawić się bóle kończyn, a wtedy rozpoznaje się polineuritis, ostrą chorobę reumatyczną lub chorobę Heine-Medina - jeden pacjent został podłączony do respiratora. Czasami zdarza się przebarwienie skóry.

- Mówi pan jak encyklopedia medyczna!

- Naturalnie. Przeglądałem ją. Ale zawsze zdarza się jedno: wypadają włosy. Tal bywał czasami używany do depilacji - szczególnie u dzieci z grzybicą. Potem stwierdzono, że jest niebezpieczny. Wyjątkowo podaje się go wewnętrznie, dawkując bardzo ostrożnie, w zależności od wagi ciała chorego. Głównie używa się go jako trucizny na szczury. Nie ma smaku, jest rozpuszczalny, łatwo go kupić. Chodzi tylko o jedno: nie można podejrzewać otrucia.

Lejeune przytaknął.

- Właśnie. Stąd upieranie się Bładego Konia, że morderca musi trzymać się z daleka od potencjalnej ofiary. Nie może powstać podejrzenie nieczystej gry. Zainteresowana osoba nie może mieć dostępu do jedzenia lub picia ofiary. On czy ona nigdy nie kupują talu ani innej trucizny. Na tym polega urok. Właściwa robota jest wykonana przez kogoś, kto nie ma żadnego związku z ofiarą. Przez kogoś, kto zjawia się raz i tylko raz. - Przerwał. - Ma pan jakiś pomysł co do tego?

- Tylko jeden. Wydaje się, że za każdym razem pojawia się jakaś miła, nieszkodliwie wyglądająca kobieta, przychodząca z kwestionariuszem z ramienia jakiejś instytucji prowadzącej badania gospodarstwa domowego.

- Myśli pan, że właśnie ta kobieta podkładała truciznę? Jako próbkę? Coś w tym rodzaju?

- To chyba nie jest takie proste. Uważam, że te kobiety działały w dobrej wierze. Jakoś w to się włączały. Sądzę, iż będziemy w stanie wyjaśnić coś, jeżeli porozmawiamy z Eileen Brandon, która pracuje w espresso na Tottenham Court Road.

Eileen Brandon wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją Poppy, przyjmując, że był to opis z jej szczególnego punktu widzenia. Włosy Eileen nie przypominały chryzantemy ani nieporządnego ptasiego gniazda. Spływały falami gładko przy głowie, miała też dyskretny makijaż, a na nogach to, co się określa mianem rozsądnych butów. Powiedziała nam, że jej mąż zginął w wypadku motocyklowym, zostawiając ją z dwójką małych dzieci. Przed swoim obecnym zatrudnieniem pracowała w firmie Badania Reakcji Klienta przez ponad rok. Zwolniła się sama, ponieważ nie odpowiadał jej rodzaj pracy.

- Dlaczego? - zapytał inspektor. Popatrzyła na niego.

- Jest pan inspektorem policji? To prawda?
- Tak, pani Brandon.
- Uważacie, że coś jest nie w porządku z tą firmą?
- To jest sprawa, w której prowadzę śledztwo. Czy pani podejrzewa coś takiego? Dlatego się pani zwolniła?
- Nie działo się nic specjalnego. Nic, o czym mogłabym panu powiedzieć.
- Naturalnie. Rozumiemy to. To jest poufne przesłuchanie.
- Rozumiem. Ale mam naprawdę niewiele do przekazania.
- Może pani powiedzieć, dlaczego pani chciała odejść.
- Miałam wrażenie, że dzieje się tam coś, czego nie rozumiem.
- Chce pani powiedzieć, że przedsiębiorstwo nie wydało się pani prawdziwe?
- Coś w tym rodzaju. Nie wydawało się prowadzone profesjonalnie. Podejrzewałam, że coś się musi za tym kryć. Ale wciąż nie wiem co.

Lejeune zadał jej więcej pytań na temat pracy, którą wykonywała. Wręczano jej listy nazwisk z pewnych okolic, jej zajęcie polegało na odwiedzaniu tych ludzi, zadawaniu określonych pytań i zapisywaniu odpowiedzi.

- I co panią w tym uderzyło?
- Pytania nie reprezentowały żadnej linii badań. Wydały mi się chaotyczne, niemal przypadkowe. Jakby - jak to powiedzieć? - były przykrywką dla czegoś innego.
- Domyśla się pani, o co mogło chodzić?
- Nie. Tylko mnie to zastanowiło. - Po krótkiej przerwie dodała niepewnie: - Zastanawiałam się kiedyś, czy cała rzecz nie mogła być zorganizowana z zamiarem włamań, w celu badania terenu, że tak powiem. To jednak niemożliwe, ponieważ nigdy nie proszono mnie o opis pokoi, zabezpieczeń i tak dalej, albo o informacje, kiedy mieszkańcy najprawdopodobniej będą nieobecni.
- Jakie produkty wymieniała pani w pytaniach?
- To się zmieniało. Czasem były to produkty żywnościowe. Płatki zbożowe, półprodukty na ciasto, a czasem mogły być płatki mydlane i detergenty. Kiedy indziej kosmetyki, pudry, szminki, kremy. Albo znowu różne specyfiki, lekarstwa, aspiryna, pastylki na kaszel, środki nasenne, pobudzające, płyny do płukania gardła, ust, środki na trawienie i tak dalej.

- Nie proszono pani - zapytał inspektor lekko - o zostawianie próbek jakichś szczególnych produktów?

- Nie. Nic takiego.

- Tylko zadawała pani pytania i notowała odpowiedzi? - Tak.

- Co miały na celu te badania?

- To właśnie wydało mi się dziwne. Nigdy nam tego nie mówiono. Przypuszczalnie robiono to w celu przekazania informacji pewnym producentom, ale wykonanie było niezwykle amatorskie. Nie było w tym żadnej metody

- Czy uważa pani za możliwe, by wśród zadawanych przez panią pytań było jedno - lub cała grupa - stanowiące cel, a reszta stanowiła po prostu kamuflaż?

Zastanowiła się, marszcząc brwi, a potem skinęła głową.

- Tak - odparła. - To miało wyglądać na przypadkowy wybór, ale nie mam pojęcia, które pytanie lub pytania miały być tymi ważnymi.

Lejeune popatrzył na nią bystro.

- Musi pani wiedzieć więcej, niż nam pani mówi - rzekł łagodnie.

- Trudno mieć pewność. Po prostu czułam, że w całym przedsięwzięciu jest coś nie w porządku. Porozmawiałam z inną kobietą, panią Davis...

- Porozmawiała pani z panią Davis...? - Głos inspektora nie zmienił się.

- Jej się też to nie podobało.

- Dlaczego?

- Podśluchała coś.

- Co podśluchała?

- Powiedziałam panu, że nie potrafię jasno określić. Nie mówiła wiele. Tylko że z tego, co podśluchała, wynika, iż całe przedsięwzięcie jest przestępstwem. "Nie jest tym, na co wygląda". Jedyne tyle. A potem dodała: "Och, dobrze, to nie powinno nas interesować. Płacą dobrze i nie każą nam robić nic niezgodnego z prawem. Nie wiem, czemu miałybyśmy zwracać sobie tym głowę".

- I to wszystko, co mówiła?

- Jeszcze jedna rzecz. Nie wiem, co chciała przez to powiedzieć. "Czasem czuję się jak Tyfusowa Mary"1. Do tej chwili nie wiem, co to miało znaczyć.

Lejeune wyjął z kieszeni papier i wręczył jej.

- Czy któreś z nazwisk na tej liście coś pani mówi? Może odwiedziła pani kogoś z nich?

- Nie przypomnę sobie. - Wzięła kartkę. - Widziałam ich tak dużo... - Przerwała i przejrzała listę. - Ormerod.

- Pamięta pani taką osobę?

- Nie. Ale pani Davis wspomniała go kiedyś. Zmarł nieoczekiwanie, prawda? Wylew krwi do mózgu. To ją zaniepokoiło. Powiedziała: "Był na mojej liście dwa tygodnie temu. Wyglądał na człowieka w świetnej kondycji". To było po tej uwadze o Tyfusowej Mary. Powiedziała: "Wydaje mi się, że po ujrzeniu mnie niektórzy ludzie padają martwi". Śmiała się z tego i uznała to za zbieg okoliczności. W każdym razie nie zamierzała się denerwować.

- I to wszystko?

- No...

- Proszę mi opowiedzieć.

- To zdarzyło się trochę później. Nie widziałyśmy się jakiś czas. Spotkałyśmy się pewnego dnia w restauracji w Soho. Powiedziałam jej, że odchodzę z BRK i że dostałam już inną pracę. Że czułam się niepewnie, nie wiedząc, co się tam dzieje. Uznała, że może mądrze robię, ale to dobre pieniądze i mało pracy. I mimo wszystko musimy wykorzystać naszą szansę. Ona nie miała w życiu wiele szczęścia, dlatego więc miałyby się troszczyć o innych? Odpowiedziałam: "Nie rozumiem, o czym pani mówi. Co właściwie jest złego w tym interesie?". Ona na to: "Nie jestem pewna, ale powiem ci, kogo rozpoznałam któregoś dnia. Wychodził z domu, w którym nie miał nic do roboty, i niósł torbę z narzędziami. Chciałabym wiedzieć, co z nimi robił". Zapytała mnie też, czy spotkałam kiedyś kobietę, która prowadzi gdzieś pub nazywający się Błady Koń. Spytałam, co Błady Koń ma z tym wspólnego.

- A co ona odpowiedziała?

- Zaśmiała się i odparła: "Czytaj Biblię". Nie wiem, co miała na myśli - dodała pani Brandon. - Wtedy widziałam ją ostatni raz. Nie wiem, co robi teraz, czy pracuje jeszcze w BRK, czy odeszła dokądś.

- Pani Davis nie żyje - rzekł inspektor.

Eileen Brandon spojrzała zaskoczona.

- Nie żyje! Ale jak?...

- Zapalenie płuc, dwa miesiące temu.

- Rozumiem. Przykro mi.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałaby pani nam powiedzieć?

- Niestety nie. Słyszałam, jak ludzie wspominali Błedego Konia, ale milkli natychmiast, kiedy o to pytałam. Wyglądali na przestraszonych. - Spojrzała niespokojnie. - Ja... nie chciałabym zostać zamieszana w coś niebezpiecznego, panie inspektorze. Mam dwoje małych dzieci. Mówię prawdę, nie wiem nic ponadto, co panu powiedziałam.

Inspektor spojrzał na nią przenikliwie, potem skinął głową i pozwolił jej odejść.

- Dzięki temu posuwamy się dalej - rzekł Lejeune, kiedy Eileen Brandon wyszła. - Pani Davis musiała wiedzieć za dużo. Próbowwała przymknąć oczy na to, co się dzieje, ale musiała też mieć bardzo mocne podejrzenia. Potem nagle zachorowała, a umierając posłała po księdza i opowiedziała mu o tym, co zauważyła, i o swoich podejrzeniach. Pytanie: ile wiedziała? Ta lista nazwisk, jak przypuszczam, jest spisem ludzi, których odwiedziła i którzy w konsekwencji umarli. Stąd uwaga o Tyfusowej Mary. Istotne jest, kogo rozpoznała wychodzącego z domu, w którym nie miał nic do roboty, i udającego robotnika. Z tego powodu stała się niebezpieczna. Jeżeli go rozpoznała, on też mógł ją zidentyfikować i zorientować się w sytuacji. Ponieważ przekazała informację ojcu Gormanowi, trzeba go było koniecznie uciszyć, zanim przekaże wiadomość dalej. - Popatrzył na mnie. - Zgadza się pan, prawda? To musiało być właśnie tak.

- O tak. Zgadzam się.

- Jak się panu wydaje, kim był ten mężczyzna?

- Mam pewną myśl, ale...

- Wiem. Nie mamy cienia dowodu. Milczał chwilę. Potem wstał.

- Dostaniemy go - powiedział. - Nie zrobimy błędu. Kiedy będziemy wiedzieć na pewno, kto to jest, znajdzie się sposób. Wypróbujemy każdy!

XXIII. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

Mniej więcej trzy tygodnie później przed drzwi frontowe Priors Court zajechał samochód.

Wysiadło z niego czterech mężczyzn. Byłem jednym z nich. Był tam także inspektor Lejeune i sierżant Lee. Czwartym był pan Osborne, z trudnością hamujący swój zachwyty i podniecenie faktem, że pozwolono mu być jednym z nas.

- Musi pan zachować milczenie - upomniał go Lejeune.

- Ależ naturalnie, inspektorze. Może pan na mnie liczyć. Nie pisnę ani słowa.

- Proszę pamiętać.

- Uważam to za zaszczyt. Wielki zaszczyt, choć nie rozumiem... Ale w tym momencie nikt nie wdawał się w wyjaśnianie. Inspektor zadzwonił i zapytał o pana Venablesa. Zostaliśmy uroczyście wprowadzeni, jak jakaś delegacja. Jeżeli Venables był zaskoczony naszą wizytą, nie okazał tego. Był niezwykle uprzejmy. Znowu pomyślałem, kiedy cofnął swój fotel, by zrobić nam miejsce, jak bardzo uderzająca jest jego powierzchowność. Jabłko Adama poruszające się między rogami staroświeckiego kołnierzyka, ostry profil z haczykowatym nosem, jak u drapieżnego ptaka.

- Miło pana znów zobaczyć, Easterbrook. Ostatnio spędza pan, jak się zdaje, dużo czasu w tych stronach.

Pomyślałem, że w jego głosie słychać lekką złośliwość.

- I inspektor Lejeune, prawda? Muszę przyznać, że to potęguje moją ciekawość. Ta okolica jest tak spokojna, wolna od zbrodni. A jednak przybywa inspektor. Co mogę zrobić dla pana, inspektorze?

Lejeune był bardzo łagodny i spokojny.

- Jest sprawa, w której mógłby pan nam pomóc.

- To brzmi raczej znajomo, prawda? W jaki sposób mógłbym panom pomóc?

- Siódmego października, na West Street, w Paddington, został zamordowany katolicki ksiądz, ojciec Gorman. Dano mi do zrozumienia, że był pan tam w tym czasie - między 19.45 a 20.15 - i że mógł pan widzieć coś, co może dotyczyć sprawy.

- Czy byłem tam o tej porze? Wie pan, wątpię w to, bardzo wątpię. Wiem, że nie byłem nigdy w tej dzielnicy Londynu. O ile pamiętam, w ogóle nie byłem wtedy w Londynie. Jeżdżę tam z rzadka na interesujące aukcje i od czasu do czasu na badania lekarskie.

- Do sir Williama Dugdale'a na Harley Street, o ile wiem. Pan Venables popatrzył na niego chłodno.

- Jest pan dobrze poinformowany, inspektorze.

- Nie tak dobrze, jakbym sobie życzył. W każdym razie jestem rozczarowany, że nie może mi pan pomóc, tak jak miałem nadzieję. Myślę, że powinienem wyjaśnić panu fakty związane ze śmiercią ojca Gormana.

- Oczywiście, jeśli ma pan ochotę. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- Ojciec Gorman został tego wieczoru wezwany do umierającej kobiety w sąsiedztwie. Owa kobieta była związana z przestępczą organizacją, najpierw nieświadomie, później pewne szczegóły wzbudziły w niej podejrzenie co do charakteru sprawy. Organizacja ta specjalizowała się w usuwaniu niepożądanych osób, oczywiście za wysokie honorarium.

- Pomysł nie jest nowy - mruknął Venables. - W Ameryce...

- Ach, ale ta organizacja posiadała pewne nowatorskie cechy. Przede wszystkim usuwanie było

przeprowadzane pozornie przez coś, co moglibyśmy nazwać środkami psychologicznymi. Było to określane jako występujące u każdego "życzenie śmierci", które potęgowano...

- Więc osoba, o której mowa, grzecznie popełniała samobójstwo?
- Nie samobójstwo, panie Venables. Ta osoba umierała zupełnie naturalną śmiercią.
- Zaraz. Zaraz. Pan naprawdę w to wierzy? To nieprawdopodobne w naszej twardogłowej policji!
- Kwatera główna tej organizacji miała się mieścić w miejscu nazywanym Błady Koń.
- Ach, teraz zaczynam rozumieć. Więc to sprowadziło pana do naszej sielskiej okolicy. Moja znajoma Thyrza Grey i jej idiotyzmy! Nigdy nie doszedłem do tego, czy ona w to wierzy, czy nie. Ale to bzdura! Ona ma głupią przyjaciółkę-medium, a miejscowa czarownica gotuje im obiady (to odwaga spożywać je - cykuta w zupie może się znaleźć w każdej chwili). Te trzy zacne staruszki zarobiły na swojej opinii. To bardzo niegrzeczne z mojej strony, ale proszę mi nie mówić, że Scotland Yard, czy skąd pan przychodzi, bierze to poważnie.
- Bierzemy to bardzo poważnie, panie Venables.
- Rzeczywiście wierzy pan, że Thyrza recytuje swoje górnolotne dyrdymały, Sybil wpada w trans, Bella uprawia czarną magię i w efekcie ktoś umiera?
- Ależ nie, panie Venables, przyczyna śmierci jest prostsza... -Inspektor przerwał na moment. - Przyczyną jest otrucie talem.

Nastąpiła chwila ciszy...

- Co pan powiedział?
- Otrucie solami talu. Bardzo łatwe i proste. Tylko że musiano to ukryć. A jaka jest lepsza metoda niż pseudonaukowe, psychologiczne przedstawienie, pełne współczesnego żargonu i poparte starymi przesadami, obliczone na odwrócenie uwagi od prostego faktu podania trucizny?
- Tal - pan Venables zmarszczył brwi. - Chyba nigdy o nim nie słyszałem.
- Nie? Używany szeroko jako trucizna na szczury, czasami jako depilator u dzieci z grzybicą. Przypadkowo paczka jego jest ukryta w kącie pańskiej szopy na narzędzia ogrodnicze.
- W mojej szopie? To chyba niemożliwe.
- Ale jest tam. Wzięliśmy trochę do zbadania.

Venables był lekko poruszony.

- Ktoś musiał to podłożyć. Nic o tym nie wiem! Nic zupełnie.

- Naprawdę? Jest pan człowiekiem dosyć bogatym, prawda?
- Co to ma wspólnego z tym, o czym pan mówi?
- O ile mi wiadomo, urząd skarbowy zadał panu ostatnio kilka nieprzyjemnych pytań. Dotyczących źródeł pańskich dochodów.
- Przekleństwem życia w Anglii jest niewątpliwie nasz system podatkowy. Myślałem ostatnio bardzo poważnie o przeniesieniu się na Bermudy.
- Nie sądzę, by wyjechał pan na Bermudy w najbliższym czasie, panie Venables.
- Czy to groźba, inspektorze? Jeżeli tak, to...
- Ależ nie. To tylko wyrażenie opinii. Chciałby pan posłuchać, jak działał ten mały gang?
- Jest pan na pewno zdecydowany opowiedzieć mi.

- Interes był bardzo dobrze zorganizowany. Szczegóły finansowe są ustalane przez pana Bradleya, radcę prawnego, pozbawionego uprawnień. Pan Bradley ma biuro w Birmingham. Przyszły klient odwiedza go tam i ubija interes. Zakłada się - powiedzmy - o to, czy ktoś umrze w określonym terminie... Pan Bradley, który lubi zakłady, ma zwykle pesymistyczne prognozy. Klient jest zazwyczaj lepszej myśli. Kiedy pan Bradley wygrywa, pieniądze muszą zostać wypłacone natychmiast, w przeciwnym razie może zdarzyć się coś nieprzyjemnego. Wszystko, co pan Bradley ma zrobić, to założyć się. Proste, co? Następnie klient odwiedza Błatego Konia. Pani Thyrza Grey i jej przyjaciółki urządzają przedstawienie, które zazwyczaj wywiera na nim zamierzone wrażenie.

A teraz o faktach zakulisowych. Pewna kobieta w dobrej wierze zatrudnia się w jednej z wielu firm zajmujących się badaniami rynku i otrzymuje polecenie obchodzenia jakiejś określonej okolicy z kwestionariuszem. "Jaki chleb pani lubi? Jakie kosmetyki i artykuły drogeryjne? Jakie środki przeczyszczające, wzmacniające, uspokajające, leki na trawienie itd.?" Ludzie w dzisiejszych czasach są gotowi odpowiadać na dziwne pytania. Rzadko mają obiekcje.

I następny krok. Łatwy, śmiały, skuteczny. Jedna, jedyna akcja, przeprowadzona przez projektodawcę we własnej osobie. Może on nosić uniform portiera, może być inkasentem przychodzącym odczytać licznik gazowy lub elektryczny. Może być hydraulikiem, elektrykiem albo innym robotnikiem. Kimkolwiek jest, ma przy sobie odpowiednie dokumenty, stwierdzające jego uprawnienia, gdyby ktoś ich zażądał. Większość ludzi tego nie robi. Jakakolwiek gra rolę, jego zadanie jest proste: wymiana preparatu, który przyniósł ze sobą, na podobny, używany przez ofiarę (wie o tym z kwestionariusza BRK). Może opukiwać rury, odczytywać liczniki lub sprawdzać ciśnienie wody, ale prawdziwym jego celem jest podmiana. Załatwiwszy to, znika i nie pokazuje się więcej w tej okolicy.

Przez kilka dni nic się nie dzieje. Jednak wcześniej czy później ofiara zaczyna chorować. Wzywa lekarza, który jednak nie ma powodu podejrzewać czegoś niezwykłego. Musi pytać o jedzenie i napoje, ale trudno podejrzewać artykuły, których pacjent używa od lat.

Dostrzega pan piękno tego schematu? Jediną osobą, która wie, co robi szef organizacji, jest on sam. Nie ma nikogo, kto może go zdradzić.

- Więc skąd wie pan tak wiele? - dopytywał się pan Venables uprzejmie.

- Kiedy mamy podejrzenia w stosunku do określonej osoby, istnieją sposoby upewnienia się.

- Naprawdę? Jakie?

- Nie potrzebujemy wchodzić we wszystkie. Na przykład jest kamera. Są dziś wszelkie pomysłowe chwyt. Człowiek może zostać sfotografowany, nic o tym nie wiedząc. Mamy kilka znakomitych zdjęć portiera, inkasenta i tak dalej. Są wprawdzie takie rzeczy jak sztuczne wąsy, inne uzębienie, ale nasz człowiek został łatwo rozpoznany, najpierw przez panią Markową Easterbrook, czyli pannę Katherine Corrigan, a także przez kobietę nazwiskiem Edith Binns. Rozpoznanie jest interesującą rzeczą, panie Venables. Na przykład ten dżentelmen, pan Osborne, chce przysiąc, że widział pana idącego za ojcem Gormanem wieczorem, siódmego października, około godziny ósmej.

- I widziałem pana! - pan Osborne nachylił się do przodu, trzęsąc się z ekscytacji. - Opisałem pana, opisałem pana dokładnie!

- Trochę za dokładnie - wtrącił Lejeune. - Nie mógł pan widzieć pana Venablesa tego wieczoru, stojąc przed swoim sklepem. Wcale pan tam nie stał. Sam szedł pan ulicą, idąc za księdzem, aż skręcił on w West Street i tam go pan zabił...

- Co? - spytał Zachariah Osborne.

To mogło być śmieszne. I to było śmieszne! Opadnięta szczeka, wytrzeszczone oczy...

- Proszę mi pozwolić, panie Venables, przedstawić sobie pana Zachariaha Osborne'a, do niedawna zamieszkałego na Barton Street, w Paddington. Zainteresuje pana osobiście, kiedy dowie się pan, że będący od jakiegoś czasu pod naszą obserwacją pan Osborne był dość sprytny, by podrzucić paczuszkę soli talu w pańskiej szopie na narzędzia. Nie wiedząc o pańskim kalectwie bawił się, rzucając na pana podejrzenia, a będąc człowiekiem bardzo upartym, jak również głupim, nie chciał się przyznać, że strzelił głupstwo.

- Pan śmie nazywać mnie głupim? Gdyby pan wiedział... gdyby pan miał pojęcie, czego dokonałem... co potrafię zrobić... ja... - Osborne trząsł się i bełkotał w furii.

Lejeune obserwował go zimno.

- Nie powinien pan być taki sprytny - powiedział z dezaprobatą. - Gdyby siedział pan spokojnie w tym swoim sklepie i zostawił wszystko własnemu losowi, nie mógłbym teraz ostrzec pana, zgodnie z moim obowiązkiem, że wszystko, co pan powie, może być użyte...

I właśnie wtedy pan Osborne zaczął krzyczeć.

XXIV. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

- Słuchaj pan, Lejeune, jest mnóstwo rzeczy, które chcę wiedzieć.

Kiedy formalności zostały zakończone, zabrałem inspektora do siebie. Siedzieliśmy nad dwoma wielkimi kuflami piwa.

- Tak, panie Easterbrook? Widzę, że pana zaskoczyłem.

- Z pewnością. Byłem nastawiony na Venablesa. Pan nigdy nie robił najmniejszej aluzji.

- Nie mogłem sobie na to pozwolić. Te rzeczy trzeba trzymać w ścisłej tajemnicy. To są bardzo delikatne sprawy. Naprawdę nie mieliśmy wiele na początek. Dlatego musieliśmy urządzić przedstawienie w taki sposób, przy współpracy Venablesa. Poprowadziliśmy Osborne'a ścieżką, potem zrobiliśmy nagły zwrot i mieliśmy nadzieję, że się załamie. I udało się.

- Czy jest chory psychicznie?

- Powiedziałbym, że teraz przekroczył granicę. Na początku oczywiście nie był chory, ale zabijanie ludzi wpływa na zabójcę, jak pan wie. Daje mu złudzenie, że jest potężniejszy niż samo życie. Zbrodniarz zaczyna się czuć jak Bóg Wszechmogący. A przecież Nim nie jest. Kiedy zbrodnia wyjdzie na jaw, jest tylko wstrętnym robakiem. I kiedy uświadomi sobie ten fakt, nagle jego "ego" nie może tego znieść. Krzyczy, wygłasza patetyczne mowy, chełpi się tym, co zrobił i jaki jest mądry. Cóż, widział go pan.

Skinąłem głową.

- A więc Venables brał udział w przedstawieniu, jakie pan urządził. Podobał mu się pomysł współpracy?

- To go chyba bawiło - odparł Lejeune. - Poza tym był wystarczająco impertynencki, by powiedzieć, że przysługa za przysługę.

- A co miał na myśli, wypowiadając tę tajemniczą uwagę?

- Cóż, nie powinienem panu tego mówić. To jest poufne. Osiem lat temu ogromnie wzrosła liczba napadów na banki. Za każdym razem posługiwano się tą samą techniką. I udawało się! Kolejne rabunki były starannie planowane przez kogoś, kto nie brał udziału w samej operacji. Ten człowiek umknął z masą pieniędzy. Mogliśmy swoje podejrzenia, ale nie byliśmy w stanie niczego udowodnić. Był dla nas zbyt przebiegły. Szczególnie pod względem finansowym. Miał też dość rozumu, by nie powtórzyć nigdy swego sukcesu. Nie powiem więcej. Był mądrym przestępcą, ale nie był mordercą. Nikt nie stracił życia.

Powróciłem myślą do Zachariaha Osborne'a.

- Zawsze pan podejrzewał Osborne'a? Od samego początku?

- Cóż, chciał zwrócić na siebie uwagę. Jak mu powiedziałem, gdyby tylko siedział spokojnie i nie robił nic, nie śniłoby się nam nawet, że szacowny farmaceuta Zachariah Osborne ma coś wspólnego z tą sprawą. Śmieszne, że właśnie tego mordercy nie potrafią. Siedząc grzecznie, są bezpieczni jak u mamy. Oni jednak nie czują się dobrze sami. Nie bardzo rozumiem dlaczego.

- Pragnienie śmierci - zasugerowałem. - Wariant Thyry Grey.

- Im wcześniej zapomni pan o panie Grey i jej opowieściach, tym lepiej - rzekł Lejeune poważnie. - Myślę, że chodzi po prostu o samotność. Świadomość, że jesteś takim mądrym facetem, a nie możesz nikomu się z tego zwierzyć.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, kiedy zaczął go pan podejrzewać.

- Od chwili, gdy zaczął kłamać. Prosiliśmy wszystkich, którzy widzieli ojca Gormana tego wieczoru, o skontaktowanie się z nami. Zgłosił się Osborne i jego zeznanie było oczywistym kłamstwem. Widział człowieka idącego za księdzem i opisał jego rysy, ale zobaczenie tego poprzez ulicę w mglisty wieczór było niemożliwe. Mógł dojrzeć wydatny nos, ale nie jabłko Adama. Na to było za daleko. Oczywiście to kłamstwo mogło być dosyć niewinne. Pan Osborne mógł pragnąć zwrócić na siebie uwagę. Takich ludzi jest wielu. To jednak zwróciło naszą uwagę. Stwierdziłem, że doprawdy jest dziwny. Z miejsca zaczął mi opowiadać dużo o sobie. Bardzo niemądrze. Dał mi obraz kogoś, kto zawsze chciał być ważniejszy, niż był. Nie był zadowolony z objęcia staroświeckiego interesu po ojcu. Odszedł i próbował sił na scenie, ale najwyraźniej nie odniósł sukcesu. Prawdopodobnie dlatego, że nie potrafił się podporządkować. Nikt nie będzie mu dyktował, jak ma grać rolę. Pewnie był szczery, kiedy opowiadał o swojej ambicji wystąpienia w procesie o morderstwo w charakterze świadka, identyfikującego człowieka, który przyszedł kupić truciznę. Miał lekką obsesję na tym tle. Oczywiście nie wiemy, kiedy, w jakim momencie, przyszedł mu do głowy pomysł, by stać się wielkim kryminalistą, człowiekiem tak sprytnym, że sprawiedliwość nigdy go nie dosięgnie.

Wszystko to jednak są domysły. Wróćmy do tematu. Osborne opisał widzianego wieczorem mężczyznę interesująco. Najwyraźniej był to opis prawdziwej osoby, którą kiedyś musiał widzieć. To bardzo trudna rzecz opisać dokładnie nieokreśloną osobę. Oczy, nos, broda, uszy postawa i cała reszta. Jeśli pan spróbuje, okaże się, że podaje pan nieświadomie opis spotkanej kiedyś osoby - kogoś widzianego w tramwaju lub w autobusie. Osborne wyraźnie opisywał człowieka niezwykle charakterystycznego. Myślę, że zauważył pewnego dnia Venablesa siedzącego w samochodzie w Bournemouth i jego powierzchowność zrobiła na nim wrażenie. Nie zauważył, że ten człowiek jest kaleką.

I jeszcze coś zwróciło moją uwagę na Osborne'a; fakt, że był farmaceutą. Uznałem za możliwe, że nasza lista wiąże się z handlem narkotykami. W rzeczywistości tak nie było i mogłem zapomnieć o panu Osborne, gdyby sam pan Osborne nie upierał się, aby pozostać na scenie. Chciał wiedzieć, co robimy, i dlatego zawiadomił nas, że widział człowieka, o którego chodziło, na festynie kościelnym w Much Deeping. Wciąż nie wiedział, że pan Venables jest ofiarą paraliżu. Kiedy to odkrył, nie miał dość rozumu, by dać spokój. To była próżność. Typowa próżność kryminalisty. Nie zamierzał ani na moment przyznać, że się omylił. Jak dureń upierał się przy swoim i komponował absurdalne teorie. Złożyłem mu bardzo ciekawą wizytę w jego bungalowu w Bournemouth. Nazwa tego domu powinna wszystko wyjaśnić. Everest. Tak właśnie go nazwał. I zawiesił w holu obraz przedstawiający Mount

Everest. Powiedział, jak bardzo interesują go wyprawy w Himalaje. Ale to był rodzaj taniego dowcipu. Ever rest. Wieczny odpoczynek. To było jego rzemiosło, jego zawód. Dawał ludziom wieczny odpoczynek za odpowiednią opłatą. To był wspaniały pomysł, trzeba mu to przyznać. Cała organizacja była bardzo sprytnie pomyślana. Bradley w Birmingham, Thyrza Grey urządzająca swoje seanse w Much Deeping. I kto by podejrzewał pana Osborne'a, nie mającego związku z Thyrza Grey, Bradleyem, Birmingham ani z ofiarą. Prawdziwy mechanizm był dziecinną zabawą dla aptekarza. Gdybyż tylko, jak mówię, pan Osborne miał rozum, by siedzieć cicho.

- Ale co on robił z pieniędzmi? - spytałem. - Bo zapewne robił to dla pieniędzy?

- Och tak, robił to dla forsy. Miał bez wątpienia wspaniałe wizje, jak podróżuje, bawi się, jest bogatą i ważną osobistością. Oczywiście nie był taki, jak sobie wyobrażał. Myślę, że jego poczucie siły ożywiało się dzięki popełnianiu nowych morderstw. To, że morderstwa wciąż się udawały, zatruwało go i - co więcej - będzie się nimi cieszył na ławie oskarżonych. Zobacz pan, że tak będzie. Centralna postać, przyciągająca wszystkie oczy.

- Ale co robił z pieniędzmi? - dopytywałem się.

- Och, to proste - rzekł Lejeune. - Choć chyba bym się nie domyślił, gdybym nie zauważył, jak urządza bungalow. Kochał pieniądze i chciał je posiadać, ale nie wydawać. Bungalow był urządzone tanio, meblami kupionymi na wyprzedazach i aukcjach. Nie lubił wydawać pieniędzy, chciał je po prostu mieć.

- Myli nań, że składał j w banku?

- O nie - odparł Lejeune. - Sądzę, że znajdziemy je gdzieś pod podłogą, w tym jego domku.

Milczeliśmy przez jakiś czas, a ja zastanawiałem się, jaką dziwną istotą był Zachariah Osborne.

- Corrigan - mruknął sennie inspektor - powiedziałby, że to jakieś gruczoły w jego śledzionie albo grasicca, albo jeszcze coś, co jest nadczynne lub niedoczynne, nigdy nie pamiętam co. Ja jestem prostym facetem i sądzą, że on jest po prostu zły... To, co mnie uderza i zawsze uderzało, to fakt, iż można być człowiekiem byстрыm, a przy tym tak niezwykle głupcem.

- Zwykle przedstawia się mistrza zbrodni jako wspaniałe i ponure uosobienie zła.

Lejeune potrząsnął głową.

- To nie tak - powiedział. - Zło nie jest czymś nadludzkim. Jest czymś podludzkim. Pański przestępca jest kimś, kto chce być ważny, ale nigdy nie będzie, ponieważ jest czymś mniej niż człowiekiem.

XXV. RELACJA MARKA EASTERBROOKA

W Much Deeping było zadziwiająco normalnie.

Rhoda była zajęta leczeniem psów. Tym razem chodziło chyba o odrobaczenie. Spojrzała, kiedy wszedłem, i spytała, czy mógłbym jej pomóc. Odmówiłem i spytałem, gdzie jest Ginger.

- Poszła do Białego Konia.

- Co?

- Powiedziała, że musi tam coś zrobić.

- Przecież dom jest pusty.

- Wiem.

- Ona się przemęczy. Nie nadaje się jeszcze...

- Robisz zamieszanie, Mark. Ginger jest zdrowa. Widziałeś nową książkę pani Oliver? Nazywa się "Biała kakadu". Leży tam, na stole.

- Niech Bóg błogosławi panią Oliver. I Edith Binns również.

- Któż to jest Edith Binns?

- Kobieta, która zidentyfikowała zdjęcie. A także wierna towarzyszka mojej zmarłej matki chrzestnej.

- Wydaje mi się, że to, co mówisz, nie ma sensu. Co się z tobą dzieje?

Nie odpowiedziałem, tylko udałem się do Białego Konia. Tuż przed dojściem tam spotkałem panią Dane Calthrop. Powitała mnie entuzjastycznie.

- Cały czas wiedziałam, że jestem głupia. Nie wiedziałam jednak dlaczego. Nabrałam się na dekoracje. - Wskazała ręką na gospodę, pustą i cichą w późnym jesiennym słońcu. - Nigdy nie było tam zła, przynajmniej nie w takim sensie, jak się spodziewaliśmy. Żadnych fantastycznych spotkań z diabłem, żadnego zła i czarnych splendorów. Tylko gry towarzyskie, uprawiane dla pieniędzy, i nieliczenie się z ludzkim życiem. To jest prawdziwa niegodziwość. Nie wspaniała ani wielka, tylko drobna i podła.

- Pani i inspektor Lejeune zgadzacie się pod wieloma względami.

- Podoba mi się ten człowiek. Chodźmy do Białego Konia znaleźć Ginger.

- Co ona tam robi?

- Czyści coś.

Weszliśmy przez niskie drzwi. Czuć było silny zapach terpentyny. Ginger robiła coś, używając szmat i butelek. Spojrzała na nas. Bardzo blada i szczupła, z głową owiniętą szalem, gdyż włosy jeszcze jej nie odrosły, była cieniem dawnej dziewczyny.

- Ona jest już zdrowa - powiedziała pani Dane Calthrop, czytając jak zwykle w moich myślach.

- Patrzcie! - zawołała Ginger triumfująco. Wskazała stary szyld gospody, nad którym pracowała. Wieloletni brud został usunięty, postać jeźdźca na koniu uwidoczniła się wyraźnie; szczerzący zęby szkielet z lśniącymi kośćmi.

Pani Dane Calthrop, stojąca za mną, czytała dźwięcznym, głębokim głosem:

- Objawienie, rozdział szósty, werset ósmy. "A oto. koń blady, a siedzącemu na nim imię Śmierć, i piekło szło za nim..."

Chwilę panowała cisza, a potem pastorowa, która należała do osób nie obawiających się zmiany nastroju, rzekła tonem kogoś, kto wyrzuca coś do kosza na śmieci:

- A więc o to chodziło... Muszę już iść - dodała. - Mam spotkanie matek.

Zatrzymała się w drzwiach, spojrzała na Ginger i zauważyła niespodziewanie:

- Ty będziesz dobrą matką.

Z jakiegoś powodu Ginger się zaczerwieniła...

- Ginger - powiedziałem - chcesz?

- Czego chcę? Być dobrą matką?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Może... Ale wolałabym stanowczą ofertę. Złożyłem jej stanowczą ofertę...

Po dłuższej chwili Ginger zapytała:

- Jesteś pewien, że nie chcesz poślubić tej kreatury Hermii?

- Wielki Boże! - zawołałem. - Zapomniałem zupełnie. - Wyjąłem list z kieszeni. - To przyszło trzy dni temu, z zapytaniem, czy chciałbym pójść z nią do Old Vic zobaczyć "Stracone zachody miłosne".

Ginger wyjęła mi list z ręki i podarła go.

- Jeśli w przyszłości zechcesz pójść do Old Vic - oświadczyła stanowczo - pójdziesz ze mną.

* Agatha Christie, "Wigilia Wszystkich Świętych" (przyp. red.).

1 Angielska kucharka, nosicielka duru brzuszego (przyp. tłum.).